



SOPHIE JORDAN

Cognista

BUKOWY LAS

Jordan Sophie

Ognista

Jacinda tęskni za wolnością i buntuje się przeciw oczekiwaniom innych. Gdy łamie najświętszą regułę swojej wspólnoty, o mało nie kończy się to tragicznie. Piękny nieznajomy daruje jej życie, mimo że poluje na takich jak ona. Jacinda jest bowiem dragonką – potomkinią smoków, mającą zdolność do przybierania ludzkiej postaci.

Zmuszona wraz z rodziną do ucieczki i zaszycia się w świecie ludzi, Jacinda usiłuje dostosować się do nowego otoczenia. Marzy o Willu, zachwycającym i jednocześnie trudno osiągalnym chłopaku. Will i jego krewni są myśliwymi, których za wszelką cenę powinna unikać.

Smocza natura Jacindy powoli usycha, a jeżeli umrze, pozostanie jej tylko życie w ludzkim wcieleniu. Dragonka stara się zrobić wszystko, by temu zapobiec. Nawet jeżeli oznacza to zbliżenie się do najgroźniejszego wroga.

ROZDZIAŁ 1

Widok cichego jeziora utwierdza mnie w przekonaniu, że warto zaryzykować.

Tafla wody jest spokojna i gładka. Jak wypolerowane szkło. Ciemnego lustra nie szpeci nawet najmniejsza wietrzna zmarszczka. Mgiełka znad rozmytych konturów gór unosi się ku niebu usianemu purpurowymi kleksami. Oddycham niecierpliwie, usta mi drżą z przejęcia. Wkrótce wszędzie słońce.

Nadjeżdża zdyszana Azure. Nie przejmuję się parkowaniem roweru. Po prostu z łoskotem upuszcza go na ziemię obok mojego.

- Nie słyszałaś, że wołałam? Nie potrafię pedałować tak szybko jak ty, przecież wiesz.

- Nie chciałam tego przegapić.

Wreszcie zza gór wyziera słońce w postaci cieniutkiej czerwonożłotej linii, która obrysowuje ciemne jezioro.

Azure obok mnie wzdycha i wiem, że robi dokładnie to samo co ja - wyobraża sobie, jak światło wczesnego poranka będzie smakować na jej skórze.

- Jacindo - mówi - nie powinniśmy tego robić. W jej głosie brakuje jednak przekonania.

Wciskam ręce w kieszenie i kołyszę się na czubkach palców.

- Pragniesz być tu równie mocno jak ja. Spójrz na słońce.

Zanim Azure zdoła wymamrotać następną skargę, zrzucam ubranie i chowam je za krzakiem. Staję nad brzegiem wody, drzę, ale nie z powodu przenikliwego zimna wczesnego poranka. Przeszywa mnie dreszcz podniecenia.

Ciuchy Azure osuwają się na ziemię.

- Cassianowi to się nie spodoba - stwierdza. Wzdrygam się. Mam w nosie jego zdanie. On nie jest moim chłopakiem. Nawet jeżeli wczoraj podczas Lotnych Manewrów Wymijających zaskoczył mnie niespodziewanym atakiem i próbował przytrzymać za rękę.

- Nie psuj tego. Nie chcę teraz o nim myśleć.

Ten mały bunt jest częściowo ucieczką przed nim. Cassian. Zawsze gdzieś w pobliżu. Zawsze tuż obok. Z tymi wlepionymi we mnie ciemnymi oczyma. Wyczekujący. Niech Tamra go sobie weźmie. Jak długo już pielęgnuję to pobożne życzenie, by jej zapragnął - żeby stado wskazało ją zamiast mnie? Każdą inną, byle nie mnie. Z ust wyrywa mi się westchnienie. To nieznośne, że oni nie dają mi wyboru.

Na razie jednak daleko jeszcze do chwili, kiedy klamka zapadnie. Nie chcę teraz o tym myśleć.

- Ruszajmy.

Wyciszam obawy i chłonę wszystko, co szumi i drży wokół mnie. Gałęzie o szarzielonych liściach. Ptaki budzone brzaskiem. Lepką mgiełkę otulającą moje łydki. Przebieram palcami u nóg po chropowatym podłożu, w myślach licząc kamyczki pod stopami. W piersi budzi się znajoma siła. Moja ludzka powłoka rozplywa się, zanika - zastąpiona grubszą dragońską skórą.

Rysy twarzy tężeją, policzki wyostrzają się, delikatnie się unoszą i rozciągają. Mój oddech zmienia się, gdy podnosi mi się nos, a nozdrza się rozdymają. Kończyny rozluźniają się i wydłużają. Czuję przyjemny ciężar własnych kości. Kieruję twarz ku niebu. Chmury stają się czymś więcej niż kleksami szarości. Widzę je tak, jakbym już wśród nich szybowała. Czuję na ciele chłodne pocałunki skroplonej pary.

Wszystko to trwa krótko. To chyba jedna z mych najszybszych przemian. Jest mi łatwiej, gdy moje myśli są wolne i jasne, gdy nie obserwuje mnie nikt oprócz Azure. Gdy nie ma Cassiana i jego zamyślonych spojrzeń. Ani mamy i strachu w jej oczach. Ani nikogo innego, kto by mnie obserwował, osądzał, mierzył wzrokiem.

Nic tylko mnie oceniają.

Rosną mi skrzydła, nieco dłuższe niż moje plecy. Ich leciutka tkanka uwalnia się i rozpościera w powietrzu cicho jak westchnienie. Tak jakby one również pragnęły ukojenia, wolności.

W piersi narasta znajoma wibracja. Prawie jak mruczenie. Obracam się i patrzę na Azure. Jest obok mnie, gotowa do lotu. Piękna i opalizująco niebieska. W coraz jaśniejszym świetle dostrzegam odcienie różu i fioletu w głębokim błękicie jej dragońskiej skóry. Niby drobiazg, ale nigdy przedtem go nie zauważałam.

Widzę to dopiero teraz, o brzasku, gdy mamy poszybować. Mimo że stado tego zabrania. Nocą tak wiele tracimy.

Zerkam w dół i podziwiam czerwonozłocisty połysk mych ramion. Daję się ponieść myślom.

Przypominam sobie kawałek bursztynu w rodzinnym schowku na klejnoty i kamienie szlachetne. Tak właśnie wygląda teraz moja skóra.

Bałtycki bursztyn usidlony w słonecznym blasku. Pozory mylą. Ta skóra wydaje się tak delikatna, a przecież

jest twarda jak zbroja. Upłynęło dużo czasu, odkąd patrzyłam na siebie w taki sposób. Zbyt długo nie smakowałam słońca.

Azure łagodnie mruczy obok mnie. Patrzymy sobie w oczy - oczy o powiększonych tęczówkach i ciemnych pionowych szparach zamiast źrenic - i wiem, że już nie będzie narzekać. Wpatruje się we mnie roziskrzonym błękitem, równie szczęśliwa jak ja z bycia tutaj. Nawet jeżeli opuszczając chroniony teren, złamałyśmy wszelkie reguły stada. Żyjemy tą chwilą. Jesteśmy wolne.

Odbijam się na palcach i wzbijam w powietrze. Moje skrzydła trzepoczą, a silne membrany napinają się, unosząc mnie w górę.

Obrót - i szybuję.

Azure jest obok mnie, śmieje się niskim gardłowym tonem.

Ponad nami hula wiatr, a słodki blask słońca całuje nasze ciała. Gdy już jesteśmy wystarczająco wysoko, Azure zniża lot i jak wirujący korkociąg pikuje ku tafli jeziora.

Wykrzywiam usta.

- Szpanerka! - wołam. Dudnienie dragońskiego głosu wibruje mi głęboko w krtani, tymczasem Azure nurkuje w jeziorze i na kilka minut pozostaje pod wodą.

Jest wodną dragonką, zawsze więc, gdy wchodzi do wody, na bokach jej ciała pojawiają się skrzela, które pozwalają jej przebywać w zanurzeniu... wiecznie, jeśli taki będzie jej wybór. To jeden z wielu użytecznych talentów, które nasi smoczy przodkowie wykształcili w sobie, aby przeżyć. Oczywiście nie wszyscy z nas to potrafią. Ja nie umiem.

Robię za to inne rzeczy.

Krażąc nad jeziorem, czekam, aż Azure się wynurzy. Wreszcie rozrywa tafłę w migoczącej chmurze wodnego pyłu. Jej błękitne ciało lśni, skrzydła rozsiewają kropelki.

- Ekstra - mówię.

- Teraz ty!

Potrząsam głową i ruszam dalej, nurkując w gąszcz górskich szczytów i ignorując jej „hej, no chodź, to takie fajne!”.

Mój talent nie jest fajny. Dałabym wszystko, by go zmienić. Żeby być wodną dragonką. Albo znikającą. Albo fazerem. Albo onyksem. Albo... Ta lista jest naprawdę długa.

Cóż, jestem tym, czym jestem.

Zieję ogniem. Jedyna ognioziejka w stadzie od ponad czterystu lat. Przysporzyło mi to więcej popularności, niżbym chciała. Od kiedy jako jedenastolatka zademonstrowałam to podczas mej pierwszej przemiany, przestałam być Jacindą. Jestem tylko ogniozijką. To sprawiło, że członkowie stada postanowili nadzorować moje życie tak, jakby było ich własnością. Są gorsi niż moja matka.

Nagle ze wszystkich stron poprzez gwizd wiatru i szum mgieł na ośnieżonych szczytach gór coś słyszę. Niewyraźny, odległy dźwięk.

Nadstawiam uszu. Zatrzymuję się i wiszę w gęstym powietrzu.

Azure przechyla głowę na bok, skupiona mruga smoczymi oczyma.

- Co to? Samolot?

Hałas nasila się, zbliża się szybko, przeradza się w jednolite dudnienie.

- Musimy zejść niżej.

Azure kiwa głową i nurkuje. Podążam za nią, oglądając się za siebie i widząc tylko wyszczerbione granie gór, ale słyszę więcej. I czuję więcej.

Ten dźwięk nas ściga.

Jest coraz bliżej.

- Może wracajmy? - Azure spogląda na mnie, jej czarne włosy z niebieskimi pasemkami trzepoczą jak flaga na wietrze.

Waham się. Nie chcę, żeby to się skończyło. Kto wie, kiedy znów uda nam się wymknąć? Stado tak bacznie mnie pilnuje, a Cassian zawsze...

- Jacindo! - Azure wyciąga przed siebie jeden ze swych opalizująco niebieskich palców.

Odwracam się i patrzę. Serce mi staje.

Helikopter okrąży niskie wzniesienie, z daleka jest malutki, ale kiedy nadlatuje, staje się coraz większy. Śmigła tną mgłę.

- Szybko! - krzyczę. - Spadamy!

Pikuję, rozpruwam powietrze, stuliwszy skrzydła tuż przy ciele. Trzymam nogi nieruchomo, wyprostowane jak strzała. Nachylam się pod kątem optymalnym dla szybkości.

To nie wystarcza.

Śmigła helikoptera z gorączkowym łomotem tną przestworza. Myśliwi. Wiatr smaga mnie po oczach, jakbym leciała szybciej niż kiedykolwiek dotychczas.

Azure pozostaje w tyle. Oglądam się za siebie i widząc mroczną rozpacz w jej zamglonym spojrzeniu, wołam:

- Wytrzymaj, Az!

Szybkość nie jest żywiołem wodnych dragonów. Obie to wiemy. Jej głos przechodzi w szloch i w łamiących się słowach słyszę, jak dobrze ona o tym wie:

- Staram się! Nie zostawiaj mnie! Jacindo, nie zostawiaj mnie!

Śmigłowiec za nami jest coraz bliżej. Trwoga ściska mi gardło, gdy dołączają do niego dwa następne, bo wraz z nimi umiera nadzieja, że to tylko jeden przypadkowy helikopter robiący zdjęcia lotnicze. To cała eskadra, która najwyraźniej nas ściga.

„Czy właśnie tak było z tatą? Czy tak wyglądały jego ostatnie chwile?”

Odchylam głowę do tyłu i odrzucam tę myśl. Nie, ja dzisiaj nie zginę - nie zniszczą mojego ciała i nie wyprze-dadzą go pociętego na kawałki.

Ruchem głowy pokazuję pobliskie wierzchołki drzew.

- Tam!

Dragony nigdy nie latają nisko nad ziemią, ale my nie mamy wyboru.

Azure slalomem podąża w ślad za mną. Jest tuż obok, w dzikim popłochu ledwie udaje się jej wyminąć pojawiające się po drodze drzewa. Zatrzymuję się i dryfuję w miejscu, zziębnięta z trudem łapię oddech. Nad nami słychać ogłuszający furkot śmigieł, które zmieniają korony drzew we wzburzoną zieloną pianę.

- Musimy się przemienić - mówi zdyszana Az. Gdybyśmy tylko mogli. Jesteśmy zbyt wystraszone.

Przerażone dragony nigdy nie są w stanie utrzymać ludzkiej postaci. To mechanizm przetrwania. W głębi naszej istoty jesteśmy dragonkami i stąd czerpiemy naszą siłę.

Spoglądam w górę poprzez plataninę chwiejących się gałęzi, które nas osłaniają. Nozdrza wypełnia mi woń sosen i lasu.

-Jestem w stanie zapanować nad sobą - nalega Az w naszym gardłowym języku. Potrząsam głową.

- Nawet jeśli to prawda, to zbyt ryzykowne. Musimy przeczekać, aż odlecą. Jeżeli wypatrzą tutaj dwie dziewczyny... a przecież dopiero co widzieli dwie dragonki, mogą nabrać podejrzeń.

Czuję, jak lodowata dłoń ściska mi serce. Nie mogę do tego dopuścić. Nie chodzi tylko o mnie, lecz o stado.

O wszystkie dragony. Zdolność przybierania ludzkiej postaci to nasza najskuteczniejsza broń.

-Jeśli w ciągu godziny nie wrócimy do domu, to mamy przechlapane!

Przygryzam wargi, by nie powiedzieć jej, że mamy większe zmartwienia niż to, że nasza wycieczka się wyda. Nie chcę jej jeszcze bardziej wystraszyć i tak już umiera z przerażenia.

- Musimy na chwilę się ukryć...

Przez dudnienie śmigieł helikoptera przebija się inny dźwięk. Niski warkot. Mrowienie języ malutkie włoski na moim karku. Coś tu jeszcze jest. Na ziemi. I zbliża się.

Patrzę w niebo, rozczapierzam i zaciskam długie szponiaste palce, skrzydła wibrują w ledwie kontrolowanym rytmie. Instynkt każe zerwać się do lotu, tymczasem ja wiem, że oni tam są. Czekają. Krążą niczym myszołowy. Poprzez korony drzew dostrzegam ich ciemne kształty. Czuję ucisk w piersi. Wciąż nie odlatują.

Daję znak Az, żebyśmy schowały się wśród gęstych konarów wysokiej sosny. Stuliwszy po sobie skrzydła, przeciskamy się między łaskoczącymi igłami i drapiącymi gałązkami. Wstrzymujemy oddech, czekamy.

I wtedy ziemia ożywa, aż roi się od pojazdów: ciężarówek, jeepów i motocykli terenowych.

- O nie - chrypię, wpatrując się w wehikuły i uzbrojonych po zęby ludzi. Na skrzyni jednej z ciężarówek dwóch mężczyzn siedzi w kucki przy wielkiej wyrzutni sieci. To wytrawni myśliwi.

Dobrze wiedzą, co robią. Wiedzą, na co polują.

Az dygocze tak mocno, że konar, na którym się przyczaiłyśmy, zaczyna się trząść, igły szeleszczą. Kurczowo ściskam jej dłoń. Motocykle na czele kolumny gnają z zawrotną szybkością. Kierowca jednego z jeepów wyciąga rękę przez okno.

- Sprawdzajcie drzewa! - woła głębokim, przerażającym głosem.

Moja przyjaciółka się wierci. Ściskam jej dłoń jeszcze mocniej. Jeden z motocykli jest akurat tuż pod nami. Kierowca ma na sobie czarną koszulkę, która opina jego młode umięśnione ciało. Skóra tężeje mi tak, że prawie boli.

- Nie mogę tutaj zostać - łka Az. - Muszę lecieć!

- Az - warczę, w głębokim tonie mojego głosu przebija żar i rozpacz. - Właśnie o to im chodzi. Oni próbują nas wypłoszyć. Nie panikuj.

Spomiędzy jej zaciśniętych zębów wydobywają się pojedyncze słowa:

- Nie. Dam. Rady.

Czuję ucisk w żołądku i wiem, że Az nie wytrzyma. Jednym rzutem oka oceniwszy sytuację na dole i w powietrzu, błyskawicznie podejmuję decyzję.

- Dobrze - mówię i przetykam ślinę. - Oto nasz plan: rozdzielimy się...

-Nie...

- Pierwsza wyjdę z ukrycia. Kiedy już odjadą, ścigając mnie, leć do wody. Zanurkuj i zostań tam.

Niezależnie od tego, ile to będzie musiało potrwać.

Ciemne oczy Az wypełnia migotliwa wilgoć. Pionowe szpary jej źrenic pulsują.

- Zrozumiałaś? - pytam stanowczo.

Nerwowo przytakuje, jej nozdrza rozpycha głęboki oddech.

- A ty c... co zrobisz?

Zmuszam się do uśmiechu. Wygięcie warg w łuk sprawia mi ból.

- Oczywiście polecę.

ROZDZIAŁ 2

Gdy miałam dwanaście lat, ścigałam się z Cassianem i wygrałam.

Było to podczas grupowego lotu. Oczywiście nocą. Jedyne czas, kiedy wolno nam latać. Cassian był arogancki, popisywał się, a ja nie mogłam nic na to poradzić. Kiedyś, jako dzieci, przyjaźniliśmy się. Było to przed naszymi pierwszymi przemianami. Potem nie potrafiłam już znieść widoku tego, czym się stał. Zachowywał się tak, jakby był darem niebios dla naszego stada.

Zanim się zorientowałam, ścigaliśmy się po nocnym niebie, w uszach dźwięczały mi dopingujące okrzyki taty. Cassian, onyksowy dragon, miał wtedy czternaście lat. Całe jego ciało składało się z czarnych lśniących mięśni i sprężystych ścięgien. Mój ojciec też był onyksem. To nie tylko najsilniejsze i największe wśród dragonów, lecz także najszybsze.

Jednak nie tamtej nocy. Wtedy pokonałam Cassiana, księcia stada, naszego przyszłego alfę, którego od małego trenowano na najlepszego.

Nie powinnam była wygrywać, ale to zrobiłam. W cieniu księżyca okazałam się czymś więcej niż cenną ognio-

ziejka. Czymś więcej niż tamtą małą dziewczynką, którą kiedyś Cassian przewiózł gokartem. To zmieniło Cassiana. Nagle nie koncentrował się już na byciu najlepszym, lecz na wygraniu tego, co najlepsze. Stałam się trofeum.

Przez całe lata żałowałam, że zwyciężyłam w tym wyścigu, drażniło mnie dodatkowe zainteresowanie, jakie mi to przyniosło. Ubolewałam, że umiem tak szybko latać. Dopiero teraz, czując pod bosymi stopami chropawy dotyk kory i szykując się do lotu, wdzięczna jestem losowi, że potrafię. Że poruszam się z szybkością wiatru.

Za moimi plecami Az dygocze, szczeka zębami. Z jej ust wyrывa się szloch. Wiem, co muszę zrobić. I po prostu... odlatuję. Zeskoczywszy z drzewa, rozcinam powietrze rozpiętymi skrzydłami - są jak dwa wielkie żagle z ognistego złota.

W uszach dudnią mi okrzyki. Silniki zwiększają obroty, przyspieszają, mieszając się z głośnymi, niewyraźnymi nawoływaniami - twardymi, męskimi głosami. Śmigam wśród drzew, a myśliwi w gorączkowym pościgu przedzierają się przez las swymi ziemiożernymi maszynami. Gdy pozostają w tyle, czuję radość i zwiększam przewagę. Słyszę swój śmiech.

I wtedy ogień przeszywa moje skrzydło. Czuję raptowne szarpnięcie, tracę równowagę i mocno się przechylam. Oberwałam.

Z trudem usiłuję utrzymać się w powietrzu na jednym skrzydle, ale po kilku machnięciach gwałtownie tracę wysokość. Świat wiruje wokół mnie w zawrotnej eksplozji bujnej zieleni i brązu. Ramieniem ocieram się o drzewo i bezładnie uderzam w ziemię bez tchu, zasapana i zdruzgotana. W nosie czuję intensywny miedziany zapach własnej krwi.

Wbijam palce w wilgotną glebę, ostra, treściwa woń wsiąka w moją skórę. Potrząsam głową, błoto wypełnia mi dłonie, wdziera się pod pazury. Gdy się czołgam, przepychając jedną rękę za drugą, ramiona rozrywa mi piekący ból.

W mojej krtani narasta dźwięk - trochę jak stęknienie, trochę jak pomruk. „Nie ja. Nie ja”, myślę. Podkulam kolana i sprawdzam skrzydło, ostrożnie rozciągając je nad plecami. Przygryzam wargę, by stłumić okropny ból, który przeszywa sztywne membrany i promieniuje głęboko aż do pleców, pomiędzy łopatki. Gdy podpieram się i próbuję wstać, sosnowe igły kłują mnie w dłonie.

Słyszę, jak się zbliżają, słyszę ich okrzyki. Kiedy pokonują zbocza pagórków, ryk silników narasta i opada. W myślach przemyka mi obraz ciężarówki z siecią.

Dokładnie tak samo jak z tatą. Teraz spotyka to mnie.

Podniósłszy się, stulam skrzydła tuż przy ciele i biegnę, gnam na oślep przez gąszcz drzew, a silniki wyją coraz głośniej.

Zerkam do tyłu i w leśnej mgłę dostrzegam rozmyty blask reflektorów. Tak blisko. W uszach czuję dudnienie serca. Patrzę w górę, rozglądam się w poszukiwaniu jakiejś kryjówki. I wtedy słyszę coś jeszcze - równomierny szum wody.

Podążam za nim, staram się jak najciszej biec po leśnym poszyciu. Zatrzymuję się w samą porę, by chwytając się pnia drzewa, uchronić się przed upadkiem ze stromej skarpy. Zdyszana spoglądam w dół. Strumień małego wodospadu spokojnie szemrze, stapiając się z taflą wielkiego stawu, który ze wszystkich stron otaczają ściany poszarpanych skał.

Powietrze nade mną rozrywa huk. Włosy mi się jeżą, skórę czaszki przeszywa mrowienie - i na szczęście w po-

rę rzucam się w bok. Na ziemię tuż obok mnie ze świstem opada sieć.

- Ładujcie następną!

Zerkam przez ramię na ciężarówkę z dwoma mężczyznami w czerni szykującymi drugą sieć. Motocykle podskakują na nierównym podłożu, a ich silniki zwiększają obroty, gdy zbliżają się do mnie. Kierowcy spozierają przez ogromne metalowe gogle. Nawet nie wyglądają jak ludzie. To potwory. Dostrzegam wyraźne, zacięte kontury ich ust. Śmigła helikoptera coraz bliżej nade mną wzbijają gwałtowny wiatr, który rozwiewa mi włosy na wszystkie strony.

Nabieram głęboko powietrza, odwracam się... i skaczę.

Powietrze mija mnie ze świstem. Dziwne uczucie. Bezwładne spadanie poprzez wiatr bez możliwości wzbicia się w górę, by polecieć. Właśnie to robię. Az uderzam w taflę stawu.

Jest tak zimna, że krzyczę. Łykam haust pełnej alg wody. Jak Az to robi? W jej wydaniu wydaje się to... przyjemnością, a nie tym gorzko-lodowatym cierpieniem.

Burzę spokojną toń, śpiesznie zataczając pieskiem kółko, rozglądam się, szukam. Czegoś.

Czegokolwiek. I wtedy widzę grotę. A właściwie niewielką półkę w skalnej ścianie, wystarczająco głęboką, bym mogła się zaszyć, zniknąć im z oczu. Chyba że po mnie zanurkują.

Płynę tam, wskakuję. Wciskam się do kryjówki najgłębiej, jak tylko mogę, zwijam się w mały kłębek. Mokra i drżąca wstrzymuję oddech i czekam. Niebawem powietrze nade mną wypełnia się twardymi głosami. - To skoczyło!

Trzaskają drzwi, ten dźwięk przeszywa mnie dreszczem. Już wiem, że powysiadali ze swych pojazdów. W zacienionej grocie nie panuję nad drzeniem ciała.

Z palców kurczowo zaciśniętych na śliskich kolanach odpłynęła mi krew.

- ...zanurkowało!

- Może odleciało? - pyta ktoś, przekrzykując ryk motocykli.

- Wykluczone! Nie jest w stanie latać. Trafiłem w skrzydło.

Triumfalne zadowolenie w tym głosie przyprawia mnie

o dreszcz. Mocno pocieram ramiona, strząsając z siebie uczucie zimna. I strachu.

- Nie widać go.

- Ktoś musi zejść na dół.

- O, cholera! Tam? Jest strasznie zimno. Ty idź!

- A dlaczego nie ty? Co, masz cykora...

-Ja pójdę - ten głos mnie porusza. W porównaniu z szorstkością innych brzmi, głęboko, spokojnie i aksamitnie.

-Will,jesteś pewny, że dasz radę?

W oczekiwaniu na jego odpowiedź silniej zaciskam ramiona wokół kolan. Tak bardzo chciałabym teraz stać się niewidzialna, móc zniknąć.

W okamgnieniu, zakreślając łuk, ciało szybuje ku wodzie. Rozcina mokre lustro tak czysto, że woda prawie się przy tym nie rozpryskuje. Will. To ten z aksamitnym głosem. Wpatruję się w połyskującą tafelę, wstrzymuję oddech

i czekam, aż się wynurzy. Lada moment wychyli głowę ponad powierzchnię stawu i się rozejrzy.

Zobaczy grotę. Zobaczy mnie.

Zwilżam usta, czuję, jak wrze we mnie krew, jak w mych płucach zbiera się dym. Czy jeśli zajdzie taka potrzeba, zrobię to? Czy zdołam wykorzystać mój talent w obronie własnej?

Głowa rozrywa tafłę jeziora, z impetem rozbryzgując wodę. Jego włosy połyskują, przylegają do czaszki niczym ciemny kask. Jest młody. Niewiele starszy ode mnie.

- Wszystko w porządku, Will? - woła ktoś z góry.

- Tak! - odkrzykuje.

Nagła bliskość tego głosu ściska mi serce. Cofam się tak głęboko, jak tylko mogę, nie zwracam uwagi na ból w skrzydłach wywołany uciskiem ostrych skał. Wpatruję się w niego i modłę się, by jego wzrok nie sięgał tam, gdzie siedzę.

Dostrzega skalną półkę i nieruchomieje. Patrzy dokładnie w moją stronę.

- Tam jest grota!

- Czy to tam jest? Jestem tym.

Zjeżam się, skóra mi się marszczy, drząc jak nadszarpnięta skrzypcowa struna. Skrzydła zaczynają pulsować gorącem, ból przeszywa membranę i plecy Bolesny grymas wykrzywia mi twarz, staram się rozluźnić.

Will podpływa bliżej.

Z nosa ulatuje mi dym. Nie chcę tego, ale to po prostu... się dzieje. Przeważnie lepiej nad tym panuję, lecz strach pozbawia mnie samokontroli. Górę bierze dragoń-ski instynkt.

Gdy chłopak się zbliża, serce wali mi jak młotem. Rozpoznaję dokładnie chwilę, w której mnie dostrzega. Nieruchomieje, dryfuje, zanurza się, aż ustami dotyka linii wody.

Wpatrujemy się w siebie.

Zaraz to zrobi. Zawoła tamtych. A oni całą chmarą rzucą się na mnie jak wygłodniałe drapieżniki.

Myśląc o tacie, próbuję się nie trząść. Jestem pewna, że w ostat-

niej chwili nie drżał, nie kulił się ze strachu. A poza tym ja mam broń, której tato nie miał. Ogień. Chłopak porusza się, spokojnie pod pływa bliżej. Mięśnie jego szczęki się naprężają, tymczasem ja czuję jakiś trzepot w żołądku. Nie wygląda na tak okrutnego, jak sobie wyobrażałam. Nie widzę w nim zła. Tylko... zaciekawienie.

Kładzie dłoń na brzegu półki i podciąga się na niej. Jest tu ze mną. Dzieli nas nie więcej niż trzydzieści centymetrów. Gdy podiera się w przysiadzie, lekko muskając dno groty, napięte mięśnie jego ramion wyraźnie pracują. Nasze spojrzenia prześlizgują się po sobie. Dwa obce zwierzęta po raz pierwszy taksujące się wzajemnie.

Łykam powietrze, staram się wciągnąć je do rozżarzonych płuc. Zaczynam płonąć od środka.

Nie żebym wcześniej nie widziała ludzi. Widywałam ich mnóstwo razy podczas zakupów z mamą i Tamrą w mieście. Przeważnie sama wyglądałam jak człowiek, nawet na sekretnym terytorium naszego stada. Mimo to wciąż gapię się na niego tak, jakbym nigdy przedtem nie widziała chłopaka. I chyba faktycznie takiego jak on nie widziałam. Nie jest przecież zwykłym facetem. To myśliwy.

Czarna koszulka przylega do smukłej klatki piersiowej jak druga skóra. W cieniu grotyjego mokre włosy sprawiają wrażenie prawie czarnych. Mają chyba jaśniejszy kolor, gdy są suche. Średni brąz lub nawet ciemny blond. Moją uwagę przykuwają oczy. Osadzone głęboko pod grubymi brwiami, świdrują mnie z ogromną intensywnością, skanują całą. Wyobrażam sobie, jak on mnie widzi. Te skrzydła stulone na plecach i wystające zza ramion oraz gibkie, lśniące ciało, które nawet w mroku jaskini żarzy się jak ogień. Moją wąską twarz o wyraźnych rysach, garbaty nos. Wysokie łuki brwi i smocze oczy - dwie czarne pionowe szpary w miejscu, w którym powinny być źrenice.

Podnosi rękę. Nawet nie próbuję drgnąć, gdy zamyka szeroką, ciepłą dłoń na mym przedramieniu. Wyczuwa, sprawdza. Dotyk przesuwa się niżej, a ja jestem pewna, że porównuje moją dragońską skórę z ludzką. Jego ręka zatrzymuje się i rozprostowuje na wierzchu mojej dłoni, spoczywa na długich, szponiastych palcach. Ten dotyk oblewa mnie falą gorąca.

On też to czuje. Rozszerza oczy. Są cudownie orzechowe. Zieleń nakrapiana brązem i złotem. Moje ulubione kolory. Barwy ziemi. Spojrzenie przesuwa się po płataninie moich mokrych włosów, które dotykają skalistego podłoża. Przyłapuję się na pragnieniu, by dostrzegł w tym smoku dziewczynę. Z jego ust wydobywa się jakiś dźwięk. Słowo. Słyszę je, ale myślę: „Nie, on tego nie powiedział”.

- Will! - dobiega wołanie z góry.

Obydwoje wzdrygamy się i wtedy jego twarz się zmienia. Łagodny, zaciekawiony wyraz znika, ustępując miejsca złości, groźbie. Patrzy tak, jak jego gatunek powinien patrzeć na mój. Wypuszcza z ręki moją dłoń, urywając wszelką zażyłość. Pocieram miejsca, w których mnie dotknął.

- Wszystko w porządku tam na dole? Mam do ciebie zejść?

-Wszystko okej! - Głębokie dudnienie jego głosu odbija się od ścian naszej małej kryjówki.

- Znalazłeś to?

Znowu t o. Sapię. Z nosa uchodzą mi obłoczki dymu. W moich płucach wzbiera żar.

Człowiek wnikliwie mnie obserwuje surowymi i bezlitosnymi oczyma. Czekam, aż zaanonsuje moją obecność. Wytrzymuję jego spojrzenie, nie zamierzam odwrócić wzroku. Chcę, by ten piękny chłopiec zapamiętał moją twarz, zanim wyda wyrok śmierci.

-Nie.

Wciągam powietrze, a żar w moich płucach gaśnie. Przez dłuższą chwilę wpatrujemy się w siebie. On, myśliwy. I ja, dragonka.

Potem on odchodzi.

A ja pozostaję sama jak palec.

ROZDZIAŁ 3

Czekam całą wieczność. Jeszcze długo po tym, kiedy cichnie odgłos śmigieł i silników. Przemoczona i drżąca kulę się w grocie, obejmując kolana, masując czerwono-złocistą skórę sprężystych łydek. Rana w skrzydle piecze, pulsuje. Zwlekam z wyjściem z kryjówki. Nasłuchuję, ale nie dociera do mnie nic poza szumem lasu i łagodnym tchnieniem Gór Kaskadowych.

Żadnych ludzi. Ani myśliwych. Ani Willa.

Marszczę brwi. Z jakiegoś powodu mnie to niepokoi. Już nigdy go nie zobaczę. Nie dowiem się, dlaczego darował mi wolność. Nigdy nie upewnię się, czy rzeczywiście wyszeptał to, co mi się wydawało. Piękna.

Na tamtą krótką chwilę coś nas połączyło. Jakimś cudem tak się stało. Trudno mi to zrozumieć.

Myślałam, że na pewno mnie wyda. Myśliwi raczej nie znają litości. Postrzegają nas tylko jako łup, podrzędny gatunek, który można prześladować i sprzedawać naszej największej zmorze - enkronom. Od zarania ludzkości były one żądne darów w postaci osobników naszego gatunku, miały obsesję na punkcie rozszarpywania nas na strzępy lub trzymania w niewoli, by móc wykorzystywać magiczne właściwości na-

szej krwi, naszego ciała o cechach zbroi i naszej umiejętności wykrywania kamieni szlachetnych pod ziemią. Jesteśmy dla nich niczym. Niczym, co miałyby duszę albo serce.

Dlaczego w takim razie Will darował mi wolność? Jego niezwykła twarz odcisnęła się w mojej pamięci niczym gorąca pieczęć. Te połyskliwe mokre włosy. Te ponure oczy wpatrujące się we mnie intensywnie. Powinnam widzieć twarz Cassiana. To on jest moim przeznaczeniem. Zaakceptowałam to, mimo że narzekam i ryzykuję lotem w świetle dnia, by się od niego uwolnić.

Czekam tak długo, jak to możliwe, aż nie mogę już znieść wilgotnego chłodu kryjówki. W obawie przed ewentualną pułapką ostrożnie się wykradam i zsuwam do lodowatej wody. Wspinam się po poszarpanych skałach, moje zdrowe skrzydło ciężko pracuje, wzbija wiatr, napięte membrany bolą od gorączkowego wysiłku.

Gdy docieram na górę, ciężko dyszę. Padam i chłonę lepka, gliniasta woń ziemi. Wbijam dłonie w wilgotną glebę, która mnie krzepi, jej wibracje wnikają w moje ciało. Gdzieś daleko i głęboko wulkaniczna skała pomrukuje jak śpiący kot. Wyłapuję to: słyszę, czuję, karmię się tym.

Zawsze tak jest - ta łączność z żywną glebą. To ona, a nie jakieś zrobione przez człowieka lekarstwo, uleczy moje skrzydło. Czerpię siłę z płodnej, życiodajnej ziemi.

We mgle unosi się zapach deszczu. Wstaję i zanurzam się w niej, ruszając w stronę jeziora, gdzie zostały moje ubrania i rower. Przez korony drzew przedziera się słabe światło słoneczne, wymiata mgłę i nadaje mej zmarzniętej skórze rdzawobrunatny odcień.

Jestem przekonana, że Az udało się dotrzeć do domu. Nawet nie dopuszczam do siebie innej myśli. Teraz stado wie już o moim zniknięciu. Zaczynam wymyślać różne wytłumaczenia.

Klucząc wśród drzew, stąпам jak najciszej i nasłuchuję dźwięków, które nie są leśne. Muszę być czujna, bo myśliwi mogą wrócić, ale pod tą ostrożnością czai się nadzieja.

Nadzieja, że jeden myśliwy powróci i zaspokoi moją ciekawość, przyniesie odpowiedzi na pytania... i wytłumaczy ten dziwny trzepot w żołądku na dźwięk wyszeptanego przezeń słowa.

Stopniowo powietrze wypełnia hałas, dudnienie, które płoszy ptaki z drzew. Po mojej dragońskiej skórze przebiegają ciarki, a jej powierzchnia mieni się to czerwono, to złociście.

Opada mnie przerażenie, gdy słyszę zbliżający się słaby warkot silników. Początkowo myślę, że wrócili po mnie myśliwi.

Czy ten piękny chłopiec zmienił zdanie? Wtedy słyszę swoje imię.

- Jacinda! - okrzyk rozpaczliwie niesie się przez labirynt wysokich sosen.

Unoszę twarz, składam dłonie w lejek i wołam:

- Tutaj!

Po chwili jestem otoczona. Pojazdy gwałtownie hamują. Mrugam oczami, słyszę trzaśnięcia drzewczek.

Pojawia się parunastu przedstawicieli starszyny. Z zaciętym wyrazem twarzy przedzierają się przez mgłę. Nie widzę Az, ale jest wśród nich Cassian - z ustami, podobnie jak u jego ojca, zaciśniętymi w bezlitosną kreskę. Przeważnie podobam mu się we wcieleniu dragonki, woli mnie taką, ale teraz w jego oczach nie widać podziwu. Podchodzi blisko, góruje nade mną. Zawsze taki jest. Taki wielki, taki męski... taki dominujący. Na chwilę przypomina mi się ciepła siła jego dłoni, gdy wczoraj chwycił mnie za rękę podczas Lotnych Manewrów Wymijających.

Tak łatwo byłoby pozwolić mu się do siebie zbliżyć i robić to, czego wszyscy chcą... czego wszyscy oczekują.

Nie potrafię mu spojrzeć w oczy, więc przyglądam się połyskowi jego czarnej, krótko przyciętej fryzury. Pochyla się, pośpiesznie odgarnia włosy z mojej skroni i dudni mrocznym głosem:

- Przestraszyłaś mnie, Jacindo. Myślałem, że cię straciłem.

Na dźwięk tych słów przeszywa mnie dreszcz sprzeciwu. To, że stado uznaje nas za parę, wcale nie oznacza, że nią jesteśmy. W każdym razie jeszcze nie. Po raz chyba setny ogarnia mnie pragnienie bycia przeciętną dragonką. A nie tą wspaniałą ognioziewką, od której wszyscy tak dużo oczekują. Życie byłoby wtedy takie proste. Byłoby moje. Moje życie.

Przez grupę przepycha się moja matka, odsuwa Cassiana na bok, jakby był zwykłym chłopcem, a nie prawie dwumetrowym onyksiem, który byłby w stanie ją zmiążdżyć. Jej twarz, otoczona bujnymi lokami, jest piękna -przyjemny owal o bursztynowych oczach podobnych do moich. Po śmierci taty kilkunastu dragonów usiłowało zabiegać o jej względy. Nawet Severin, ojciec Cassiana. Na szczęście nie była zainteresowana. Żadnym z nich. Dogadywanie się z mamą jest wystarczająco trudne. Nie potrzebuję jeszcze jakiegoś dragońskiego macho, który próbowałby zająć miejsce mojego ojca.

Teraz akurat mama sprawia wrażenie postarzałej. Jej usta otaczają pełne napięcia zmarszczki. Nie wyglądała tak nawet tamtego dnia, gdy powiedzieli nam, że tato nie wróci do domu. I zdaję sobie sprawę, że to przeze mnie. Czuję ucisk w żołądku.

-Jacindo! Dzięki Bogu, żyjesz! - obejmuje mnie, a ja krzyczę, gdy przyciska ranę w skrzydle.

Odsuwa się ode mnie.

- Co się stało?

- Nie teraz - ojciec Cassiana zaciska dłoń na ramieniu mamy i odsuwają na bok, by sam mógł stanąć naprzeciwko mnie. Severin jest tak wysoki jak Cassian i muszę wyciągać szyję, żeby móc na niego spojrzeć. Okrywszy moje dygoczące ciało kocem, rzuca:

- Przemieniaj się. Natychmiast.

Zaciskając z bólu zęby, posłusznie wchłaniam skrzydła. Postrzał rozciąga się i pogłębia, gdy przeobrażające się ciało wygina się i napina. Rana wciąż jest - teraz jednak tylko jako broczące rozcięcie w łopatce. Krew ciepłym strumieniem spływa mi po plecach, ciaśniej otulam się kocem. Moje kości się kurczą, dostosowują do człowieczej postaci, a gruba dragońska skóra znika. Teraz zimno bardziej mi dokucza, przeszywa ludzką powłokę i zaczynam się trząść. Tracę czucie w bosych stopach.

Mama jest tuż obok, opatula mnie drugim kocem.

- Co ty sobie wyobrażałaś? - to ten ton, krytyczny, ostry jak brzytwa, którego tak nienawidzę. - Tamra i ja zamartwiałyśmy się na śmierć. Czy ty chcesz skończyć jak twój ojciec? - gwałtownie potrząsa głową, a jej oczy płoną stanowczością. - Straciłam już męża. Nie zamierzam stracić córki.

Wiem, że czeka na przeprosiny, ale ja raczej połknęłabym swoje paznokcie. To właśnie od tego uciekam - od życia wypełnionego rozczarowaniami matki, od tłamszenia samej siebie. Od reguł, zasad i nakazów.

- Złamała naszą najświętszą regułę - oznajmia Severin. Wzdrygam się. Latać tylko pod osłoną ciemności.

Otarcie się o śmierć z ręki myśliwych obala chyba wszelką dyskusję na temat bezsensowności tej zasady.

- Koniecznie trzeba coś z nią zrobić - Severin i moja matka wymieniają spojrzenia, w grupie rozlega się szemranie. Odgłosy aprobaty. Dragonkę we mnie dopada ostrzegawcze mrowienie. Z wściekłością rozglądam się dookoła. Tuzin twarzy, które znam przez całe życie, i ani jednego sprzymierzeńca.

- Nie, tylko nie to - szepcze mama. Nie co?

Jej ramię mocniej zaciska się wokół mnie, a ja, szukając oparcia, przytulam się do niej. Nagle matka okazuje się moim jedynym sprzymierzeńcem.

- Ona jest naszą ognioziewką...

- Nie. Ona jest moją córką - grzmi głos mamy. Uświadamiam sobie, że ona też jest dragonką, nawet jeśli kiedyś zaczęła tego żałować. Nawet jeśli od lat się nie przemieniała... i prawdopodobnie już nie potrafi.

- Musimy to zrobić - nalega Severin.

Twarz wykrzywia mi grymas, gdy palce mamy wrzynają się poprzez koce w moje ciało.

- To przecież tylko dziewczynka. Nie. Odzyskuję głos:

- O co chodzi? O czym wy mówicie?

Nikt nie odpowiada, ale to typowe. Wkurzające, ale normalne. Wszyscy - mama, starszyzna, Severin - mówią coś obok mnie, o mnie, do mnie, nie słuchając mnie, lecz nigdy nie rozmawiają ze mną.

Mama kontynuuje pojedynki na spojrzenia z Severinem, a ja wiem, że chociaż się nie odzywają, to między nimi płyną słowa. Przez cały ten czas Cassian natarczywie i zachłannie mnie obserwuje. Te jego purpurowoczarne oczy bez reszty usidlilyby większość dziewczyn. Łącznie z moją siostrą.

Zwłaszcza ją.

- Porozmawiamy o tym potem. Teraz zabieram ją do domu.

Mama szybko prowadzi mnie do samochodu. Zerkam przez ramię na Severina i Cassiana, ojca i syna, króla i księcia. Stojąc ramię w ramię, obserwują mnie na odchodnym, a ich oczy połyskują zemstą. I czymś jeszcze. Czymś, czego nie potrafię rozszyfrować.

Po plecach przebiega mi niepokojący dreszcz.

ROZDZIAŁ 4

Az czeka przed naszym domem, spaceruje po werandzie w postrzępionych dżinsach i niebieskim bezrękawniku, który nie jest w stanie konkurować z lśniącymi niebieskimi pasemkami w jej ciemnych włosach. Na nasz widok jej twarz się rozjaśnia.

Mama parkuje, podczas gdy Az biegnie przez wieczną mgłę, która dzięki Nidii spowija nasze miasteczko. Ta mgła to gwarancja przetrwania. Żaden samolot, który przypadkiem wleci w taką przestrzeń powietrzną, nie może nas wykryć.

Gdy tylko wysiadam z samochodu, Az ściska mnie tak mocno, że o mało nie udusi. Pojękuję. Zatraskana odsuwa się.

-Jesteś ranna? Co się stało?

- Nic - szepczę, rzucając spojrzenie w stronę mamy. Ona już wie, że jestem ranna. Nie ma sensu jej o tym przypominać. - A co z tobą? Wszystko w porządku? - pytam.

Kiwa głową.

- Tak, zrobiłam to, co kazałaś. Zostałam pod wodą, dopóki nie upewniłam się, że odjechali, a potem uciekłam do domu wezwać pomoc.

Nie przypominam sobie, żebym mówiła jej coś o wzywaniu pomocy. Lepiej by było, gdyby tego nie zrobiła, ale nie mogę winić jej za to, że próbowała mnie ratować.

- Do środka, dziewczyny. - Mama gestem kieruje nas do domu, lecz na nas nie patrzy. Spogląda przez ramię, na drugą stronę drogi. Tam na werandzie stoi Jabel, ciotka Cassiana, i z założonymi rękoma bacznie nam się przygląda. Ostatnio często nas obserwuje. Mama jest przekonana, że zdaje Severinowi relację ze wszystkiego, co robimy. Energicznym ruchem głowy mama ponagla, byśmy weszły do środka. Ona i Jabel były niegdyś najlepszymi przyjaciółkami. Gdy byłam dzieckiem. Przed śmiercią taty. Zanim wszystko się zmieniło. Teraz prawie ze sobą nie rozmawiają.

Gdy wchodzimy do domu, Tamra siedząca po turecku na tapczanie podnosi wzrok znad miski płatków. Z telewizora dobiega ryk starej kreskówki. Moja siostra nie wygląda na „śmiertelnie zmartwioną”, jak twierdziła nasza rodzicielka.

Mama podchodzi do telewizora i go przycisza.

- Czy ty naprawdę musisz słuchać tego tak głośno? Tamra wzrusza ramionami i szuka pilota pomiędzy poduszkami na tapczanie.

- Nie mogłam z powrotem zasnąć, więc uznałam, że spróbuję zagłuszyć ten alarm.

Czuję, że zaczyna mi się zbierać na mdłości.

- Ogłosili alarm?

Ostatni raz zdarzyło się to, gdy zaginął tato i zbierali grupę poszukiwawczą.

- No, tak. - Az kiwa głową i wytrzeszcza przy tym oczy. - Severin się wkurzył.

Tamra znajduje pilota i podkręca głośność. Odrzucając go na tapczan, unosi do ust wielką, kapiącą łyżkę.

- Dziwisz się, że zwołali oddział pościgowy? - rzuca mi zmęczone spojrzenie. - Rusz mózgowicą. Wzbiera we mnie bunt, chęć obrony mojego postępowania, ale biorę głęboki wdech i odzyskuję panowanie nad sobą. Próbowałam to już wcześniej tłumaczyć, ale Tamra tego nie pojmuję. Nie potrafi zrozumieć dragońskiego impulsu. Bo niby jak?

Mama wyłącza telewizor. Nie zważając na wiszące w powietrzu napięcie, Az żywo gestykułuje:

-No, mów! Co się stało? Jak uciekłaś? Mój Boże, oni byli wszędzie. Widziałaś tych z wyrzutnią sieci?

Mama wygląda tak, jakby była chora.

-Już myślałam, że nie dasz rady. To znaczy, wiem, że jesteś szybka... i że ziejesz ogniem, i w ogóle, ale...

- Tak jakbyśmy kiedykolwiek mogli o tym zapomnieć

- mamrocze Tamra z ustami pełnymi płatków i teatralnie przewraca oczyma.

Tamra nigdy nie przeszła przemiany. Zdarza się to dragonom coraz częściej, co z kolei niepokoi starszyznę, której tak bardzo zależy na utrzymaniu naszego gatunku. Praktycznie rzecz biorąc, moja siostra bliźniaczka jest przeciętnym człowiekiem. To ją dobija. I mnie też. Przed moją pierwszą metamorfozą byliśmy blisko, wszystko robiłyśmy razem. Teraz łączą nas tylko rysy twarzy.

Zauważam, że mama krąży po salonie, zamyka wszystkie drewniane okiennice i zaciemnia pokój.

- Az - odzywa się mama - czas się pożegnać. Moja przyjaciółka zaskoczona mruga oczyma.

- Pożegnać?

- Tak, pożegnać - powtarza dobitniej mama.

- Och - Az marszczy brwi, a potem spogląda na mnie.

- Chcesz iść jutro do szkoły? - Oczy wymownie jej błysz-

czą, dając mi do zrozumienia, że wtedy mogę jej o wszystkim opowiedzieć. - Wstanę wcześniej. Mieszkamy po przeciwnych stronach miasteczka. Osada naszej wspólnoty ukształtowana jest jak wielkie koło o ośmiu szprychach, z których każda stanowi ulicę. Środek, czyli piasta tego koła, to serce gminy. Znajdują się tam szkoła i dom obrad. Ja mieszkam na Ulicy Pierwszej Zachodniej, a Az na Trzeciej Wschodniej. Dalej już być nie mogło. Gminę otacza porośnięty winoroślą mur, nie można więc chodzić na skróty po zewnętrznej krawędzi koła.

- Pewnie, że tak. Jeżeli chce ci się wcześniej wstać i wybrać się tutaj na wycieczkę.

Zaraz po wyjściu Az mama rygluje drzwi. Nigdy przedtem nie widziałam, żeby to robiła. Zwróciwszy się do nas, patrzy przez chwilę na mnie i na moją siostrę, słychać tylko uderzenie łyżki Tamry o miskę. Mama odwraca się i wyziera przez okiennice... tak jakby się obawiała, że wciąż może nas usłyszeć Az. Albo ktoś inny.

Ponownie się do nas odwraca i oznajmia:

- Pakujcie swoje rzeczy. Dziś wieczorem wyjeżdżamy. Żołądek osuwa się we mnie, jak zawsze gdy nagle nurkuję podczas lotu.

-Co?

Tamra zrywa się z kanapy tak szybko, że miska z mlekiem i płatkami spada na podłogę. Mama nawet z tego powodu nie krzyczy, nawet nie patrzy na ten bałagan. I teraz już wiem, że wszystko się zmieniło - albo wkrótce się zmieni. To nie żarty.

- Mówisz serio? - oczy Tamry gorączkowo płoną, pojaśniały. Jest ożywiona po raz pierwszy od... hm, od chwili, gdy ja się przemieniłam i kiedy stało się jasne, że jej to nie spotka. - Proszę, powiedz, że nie żartujesz.

- To nie jest temat do żartów. Zaczynicie się pakować. Zabierzcie jak najwięcej ubrań i wszystko, co uważacie za ważne. - Wzrok mamy zatrzymuje się na mnie. - Nie wrócimy tu.

Nie ruszam się. Nie jestem w stanie. Pieczenie w ramieniu nasila się, jakby tkwił tam nóż, który obraca się i wrzyna głębiej.

Tamra pędzi do swojego pokoju z entuzjastycznym piskiem. Słyszę, jak drzwi jej szafy otwierają się i uderzają o ścianę.

- Co ty robisz? - pytam mamę.

- Coś, co powinniśmy były zrobić już dawno temu. Po śmierci twojego ojca. - Odwraca wzrok, gwałtownie mruga powiekami, by za chwilę znów na mnie popatrzeć. - Zawsze chyba żywiłam nadzieję, że któregoś dnia on wejdzie przez te drzwi i dlatego mamy tu na niego czekać. - Wzdycha. - Ale on nie wróci, Jacindo. A ja muszę zrobić to, co jest najlepsze dla ciebie i twojej siostry.

- Chcesz powiedzieć to, co jest najlepsze dla ciebie i Tamry.

Opuszczenie stada to nic takiego dla mamy i mojej siostry. Nagle zdaję sobie z tego sprawę. Mama przed laty umyślnie zabiła w sobie dragonkę. Zaniechawszy metamorfoz, pozwoliła jej wywietrzeć, gdy stało się oczywiste, że Tamra nigdy się nie przemieni. Chyba po to, żeby moja siostra nie czuła się taka osamotniona. Akt solidarności.

Ja jestem jedyną, która czuje więź ze stadem. Która będzie cierpieć, jeśli wyjedziemy.

- Nie rozumiesz, o ile łatwiej, o ile bezpieczniej będzie, jeśli po prostu odetniesz się od swojej dragońskiej natury?

Wzdrygam się, jakby ktoś dał mi klapsa.

- Chcesz, żebym się jej wyparła? Żeby stała się taka jak ty? Uśpiona dragonka uchodząca za człowieka? - Potrząsam głową. - Nie obchodzi mnie, dokąd mnie zabierzesz. Nie zrobię tego, nie zapomnę, kim jestem.

Kładzie mi rękę na ramieniu i lekko ją zaciska. Chyba dla dodania mi odwagi.

- Zobaczymy. Może za kilka miesięcy zmienisz zdanie.

- Ale dlaczego? Dlaczego musimy wyjechać?

- Wiesz dlaczego.

Część mnie chyba wie, lecz wzbrania się przed przyznaniem tego. Nagle mam ochotę udawać, że całe nasze życie tutaj jest w porządku. Chcę zapomnieć o niepokoju, który budzi we mnie Severinowe dyktatorstwo względem stada. Nie chcę pamiętać zaborczych spojrzeń Cassiana. Zapomnieć o wyobcowaniu mojej siostry w społeczności, która traktuje ją jak trędowatą, i o poczuciu winy, jakie zawsze mnie z tego powodu dręczyło.

- Pewnego dnia zrozumiesz - mówi mama. - Kiedyś podziękujesz mi za ocalenie cię przed życiem tutaj.

- Przed stadem? - dopytuję się. - Ono jest moim życiem! Moją rodziną. - Gówniany alfa nie zmienia tego faktu. Severin nie będzie wiecznie rządził.

- A Cassian? - jej usta się wyginają. - Jesteś gotowa na życie z nim?

Cofam się, nie podoba mi się emocjonalne drżenie jej głosu. Kątem oka widzę, że Tamra nieruchomieje.

- Cassian i ja jesteśmy przyjaciółmi - mówię.

No, coś w tym rodzaju. W każdym razie nimi byliśmy.

- Owszem.

- O co ci chodzi?

- Ty nie masz już ośmiu lat, a on dziesięciu. Jakaś część ciebie musi wiedzieć, przed czym cię osłaniam. Przed kim cię cały czas chronię. Od kiedy po raz pierwszy się prze-

mieniłaś, stado naznaczyło cię jako swoją własność. Czy to tak źle, że domagam się od nich praw do własnej córki? Twój ojciec próbował. Wciąż spierał się z Severinem. Jak myślisz, dlaczego wybrał się wtedy w samotny lot? Szukał drogi... - urywa, głos jej się łamie. Słucham jak rażona gromem. Nigdy nie mówiła o tamtej nocy. O tacie. Boję się, że nie dokończy tej opowieści. I zarazem boję się, że ją dokończy.

Jej wzrok znów zatrzymuje się na mnie. Chłodny i zdecydowany. I to właśnie mnie przeraża.

Wzbiera we mnie znajomy żar, pali i ściska mi gardło.

- Przedstawiasz stado jak jakąś demoniczną sektę... W jej oku pojawia się błysk. Gwałtownie macha ręką.

- Bo oni nią są! Kiedy to wreszcie zrozumiesz? Gdy zażądają mojej szesnastoletniej córki dla ich ukochanego księcia, bylebyście tylko zaczęli się parzyć? Oni są demonami! Jacindo, oni chcą, żebyś była ich klaczą zarodową! By stado zaroilo się od małych ogniozijeków! - Teraz stoi blisko. Krzyczy mi prosto w twarz. Zastanawiam się, czy Jabel lub ktoś inny z sąsiedztwa to słyszy. I czy mama się tym jeszcze w ogóle przejmuje.

Cofa się i bierze głęboki wdech.

- Dziś wieczorem wyjeżdżamy. Zaczynaj się pakować.

Biegnę do swojego pokoju i zatrzaskuję drzwi. To teatralny gest, ale lepiej się po nim czuję.

Spacerując po pokoju, głęboko oddycham. Z mojego nosa uchodzą małe, gniewne obłoczki. Wodzę dłonią po twarzy i szyi, po swej ciepłej skórze.

Opadam plecami na łóżko i wypuszczam kłęb dymu. Patrząc wprost przed siebie, ale niczego nie widzę. Czuję tylko wewnętrzne wrzenie. Stopniowo ogień w głębi mnie przygasa, a oczy zaczynają błędzić wśród połyskujących

gwiazd zawieszonych na sznurkach pod sufitem. Tato pomagał mi je tam zawieszać, gdy pomalowaliśmy strop na niebiesko. Mówił, że to jak spanie w niebie.

Gardło pali mi gorzki szloch. Już nigdy nie znajdę się w tym niebie. I jeżeli mama ma na to jakikolwiek wpływ, nigdy też już nie będę latać.

Wiele godzin później, gdy osada śpi, chyłkiem przemykamy się przez mgłę Nidii. Ta sama rzecz, która nas chroni, która nas osłania przed zewnętrznym światem mogącym nas skrzywdzić, pomaga nam w ucieczce.

Gdy skręcamy z naszej ulicy na Główną, mama włącza jałowy bieg. Tamra i ja pchamy, a ona kieruje samochód przez centrum miasteczka. Szkoła i dom obrad cicho obserwują nas ciemnymi oknami.

Opony zgrzytają na żwirze. Pchając samochód, czuję ból w łydkach.

Gdy zbliżamy się do zielonego łuku wieńczącego wejście do naszej osady, z zapartym tchem nasłuchuję alarmu. Przed nami - jak strażnica obok bramy - majaczy mały, porośnięty bluszczem domek Nidii. Z dużego wielodzielnego okna salonu sączy się przyćmione światło. Na pewno nas nakryje. Jej praca polega na tym, by nikogo ani niczego nie wpuszczać... ani nie wypuszczać.

Każde stado ma przynajmniej jednego kamuflona - czyli dragona, który mgłą spowija i wioskę, i rozum każdego człowieka, który przypadkiem by się tam zabłąkał. Mgła Nidii może sprawić, że otumaniona osoba zapomina, jak się nazywa. Jej talent jest jeszcze cenniejszy niż mój. Stado żyje w obawie przed jej śmiercią... przed dniem, gdy kamuflaż zniknie, a nasze terytorium stanie się widoczne dla przelatujących samolotów i wszystkich, którzy głębiej zapuszczają się w góry.

Z jej domu nie dobiega żaden dźwięk. Nic. Nawet wtedy, gdy trochę za głośno szuram butami po żwirze, co Tamra kwituje piorunującym spojrzaniem.

Wzruszam ramionami. No i co z tego. Może ja akurat chcę, żeby Nidia nas przyłapała. Gdy jesteśmy za bramą, mama zapala silnik starego kombi. Zanim wsiądę do środka, po raz ostatni oglądam się za siebie. W łagodnym świetle salonu Nidii stoi cień.

W gardle dziko wali mi puls. Gwałtownie wciągam powietrze. Ona teraz na pewno podniesie alarm. Cień się porusza. Oczy aż boją mnie od wpatrywania się weń.

Nagle światło w oknie gaśnie. Zdezorientowana mrugam oczami i potrząsam głową.

- Nie - szepczę. Dlaczego ona nas nie zatrzymuje?

- Wsiadaj, Jacindo - syczy przyczajona w samochodzie Tamra.

Odrywając wzrok od miejsca, w którym stała Nidia, rozważam możliwość odmowy wyjazdu.

Mogłabym to zrobić. Tu. Teraz. Zaprzecić się i odmówić. Nie zabiorą mnie przecież siłą. Nawet nie będą próbować.

Koniec końców jednak nie jestem tak samolubna. Ani dzielna. Nie bardzo wiedząc, czy prawdą jest pierwsze czy drugie, wskakuję do samochodu.

Wkrótce potem mkniemy górskim zboczem w dół, gdzieś w nieznane. Przyciskam dłoń do zimnej szyby okna i nie mogę pogodzić się z myślą o tym, że nigdy już nie zobaczę Az. Szloch ściska mi gardło. Nie mogłam się z nią nawet pożegnać.

Mama zaciska dłonie na kierownicy i przez przednią szybę w skupieniu patrzy na mało uczęszczaną drogę. Kiwa głową. Tak, jakby każde skinienie utwierdzało ją w przekonaniu o słuszności tego, co robi.

- Nowy początek. Tylko my, dziewczyny - oznajmia przesadnie radosnym głosem. - Już dawno powinnyśmy to zrobić, prawda?

- Pewnie - przytakuje Tamra z tylnego siedzenia.

Spoglądam na nią przez ramię. Zawsze łączyła nas bliźniacza więź, empatia dla myśli i uczuć tej drugiej. A teraz nie potrafię wyrzeć poza mój własny strach.

Tamra uśmiecha się, gapi się przez okno, tak jakby pośród tej ciemnej nocy coś dostrzegała.

Przynajmniej jej życzenie nareszcie się spełnia. Gdziekolwiek pojedziemy, to ona będzie tą normalną.

A ja tą, która będzie z trudem dopasowywać się do świata niestworzonego dla mnie.

Moje miejsce jest w stadzie. Może nawet u boku Cassiana. Może tak ma być, mimo że to łamie serce Tamry. Może on jest tym właściwym. Nie wiem. Wiem tylko tyle, że nie potrafię żyć bez latania. Bez przestworzy, bez wilgoci i oddechu ziemi. Nigdy nie umiałabym dobrowolnie zrzec się mojej zdolności do metamorfozy. Nie jestem moją matką.

Jak ja się odnajdę pośród ludzi? Stanę się taka jak Tamra - będę martwą dragonką. Tylko że jeszcze gorszą. Bo będę pamiętać, jak to jest nią być.

Kiedyś widziałam przedstawienie o kalece, który stracił nogę i wciąż ją czuł. Naprawdę budził się w nocy, żeby się w nią podrapać - tak jakby nadal ją miał, jakby była jego częścią. Nazywają to urojoną kończyną.

Zupełnie jak ona będę urojoną dragonką, prześladowaną wspomnieniem o tym, kim kiedyś była.

ROZDZIAŁ 5

Gdy mama rozmawia z naszą nową gospodynią, oddech z ledwością przeciska mi się przez krtań i usta. Mimo że klimatyzator pracuje na maksymalnych obrotach, powietrze jest rozrzedzone, suche i jałowe. Wyobrażam sobie, jak musi się czuć w takich warunkach astmatyk toczący walkę o każde tchnienie. Tak, jakby nigdy nie można było wypełnić płuc wystarczającą ilością powietrza. Gniewnie spoglądam na mamę. Ze wszystkich miejsc na świecie, do których mogłybyśmy się przeprowadzić, musiała wybrać pustynię. Nie mam wątpliwości, że jest sadystką.

Podążamy za drepczącą kaczym krokiem panią Hennessey przez tylne drzwi jej domu i natychmiast lądujemy w pustynnym skwarze. Upał wrzyna mi się w skórę, niczym wielki odkurzacz wysysa z mojego ciała wilgoć i sprawia, że czuję się osłabiona. Zaledwie dwa dni w Chaparral, a pustynia już odbiera swój haracz. Zupełnie tak, jak przewidywała to mama.

- Basen! - krzyczy Tamra.

- Nie do waszego użytku - ucina pani Hennessey.

Tamra tylko na moment się krzywi. Nic nie zdoła stłumić jej optymizmu. Nowe miasto, nowy świat. Nowe życie na miarę jej zdolności pojmowania.

Pozostaję w tyle za mamą i Tamrą. Każde uniesienie stopy wymaga ogromnego nakładu energii. Pani Hennessey zatrzymuje się nad wygiętym brzegiem basenu. Wskazuje na płot za naszymi plecami.

- Możecie wchodzić i wychodzić przez tylną furtkę. Mama kiwa głową, uderzając o udo zwiniętą gazetą,

w której znalazła ogłoszenie o tym domu do wynajęcia.

W dłoni pani Hennessey pobrzękują klucze. Otwiera nimi drzwi domku przy basenie i wręcza je mamie.

- Czysznisz za następny miesiąc jest płatny pierwszego. - Kaprawe spojrzenie gospodyni prześlizguje się po mnie i Tamrze. - Lubię ciszę - dodaje.

Zapewnienia pozostawiam mamie i wchodzę do domku. Tamra podąża za mną. Patrzą na pusty salon, w którym unosi się lekka woń pleśni i chloru. Serce, o ile to w ogóle możliwe, osuwa się we mnie jeszcze niżej.

- Nie jest źle - oznajmia Tamra. Rzucam jej krótkie spojrzenie.

- Powiedziałybyś to niezależnie od tego, gdzie byśmy wylądowały.

- No cóż, przecież to tylko tymczasowo. - Wzrusza ramionami. - Wkrótce będziemy miały własny dom.

Chyba jak jej się przyśni. Potrzęsając głową, oglądam resztę pomieszczeń i zastanawiam się, skąd ona czerpie tę pewność. Już żeby zapłacić za wczorajszą kolację, mama liczyła każdy grosz.

Zatrząskują się frontowe drzwi. Wciskam ręce do kieszeni i skubiąc klaczki w ich kącikach, wracam do salonu. Mama opiera dłonie na biodrach i dokonuje oględzin domu - i nas - z wyrazem czegoś, co zdaje się autentycznym zadowoleniem. Tylko że ja nie mogę w to uwierzyć. Jak ona może tak bardzo się cieszyć, gdy ja jestem tak... nieszczęśliwa?

- No, dziewczynki. Witajcie w domu.

Dom. To słowo odbija się we mnie pustym echem.

Jest wieczór. Siedzę na brzegu basenu i moczę w nim nogi. Nawet ta woda jest ciepła. Odchylam głowę w nadziei na powiew wiatru. Brakuje mi mgły, gór, wilgotnego powietrza.

Drzwi za mną się otwierają. Mama przykuca obok i patrzy przed siebie. Podążam za jej spojrzeniem. Jediną rzeczą, którą widzę, jest tylna ściana domu pani Hennessey.

-Może po jakimś czasie spędzonym tutaj zdołamy ją przekonać, żeby zmieniła zdanie co do basenu - mówi mama. - Miło byłoby popływać tego lata.

Na swój sposób próbuje mnie pocieszyć, ale jedynymi słowami, które słyszę, są „po jakimś czasie spędzonym tutaj”.

- Mogłaś zdecydować się na tysiąc innych miejsc. Dlaczego akurat tutaj? - odburkuje, szybciej przebierając nogami.

Miała nieograniczony wybór. Jakaś małą miejscinę ukrytą wśród chłodnych, spowitych mgłą wzniesień lub gór. Ale nie. Wybrała Chaparral, ogromne miasto w samym środku pustyni, niespełna sto pięćdziesiąt kilometrów od Vegas. Bez chłodnej, skroplonej pary odżywiającej moje ciało. Bez łatwego dostępu do wzniesień lub gór. Bez żyznej gleby. Bez możliwości ucieczki. To po prostu okrutne.

Wzdycha.

- Myślałam, że tak ci będzie łatwiej... Prycham.

- Nie ma w tym nic łatwego.

- No cóż, to miejsce dokona wyboru za ciebie. - Wyciąga rękę i odsuwa mi włosy z ramienia. - Nic tak szyb-

ko nie zabija dragona jak suche środowisko. Wiem coś na ten temat.

Spoglądam na nią.

- Co masz na myśli? Głęboko wciąga powietrze.

- Mieszkałam tutaj podczas mojej wyprawy. Odsuwam się i wlepiam w nią wzrok. Wiele dragonów wybiera się w podróż, by zetknąć się ze światem zewnętrznym. W każdym razie na krótko. Rok, może dwa. Nigdy jednak do gorących i suchych miejsc. Nigdy na pustynię. Dragon, aby przeżyć, musi wiedzieć, jak udawać człowieka. Sporadycznie, rzadko kiedy, decyduje się na pozostanie w świecie ludzi.

- Myślałam, że byłaś w Oregonie. Ty i Jabel wspólnie podróżowałyście i razem tam mieszkalyście. Mama kiwa głową.

- Rozpoczęłam wyprawę z Jabel, ale po kilku miesiącach postanowiłam... - urywa, by zaczerpnąć tchu. - Postanowiłam, że nie chcę wracać do stada.

Prostuję się.

-Jak to możliwe, że o tym nie wiedziałam? Wykrzywia usta.

- To proste. Wróciłam. Nie musiałam przecież wszystkich informować, że nie obyło się przy tym bez pewnej presji.

Wtedy kapuję. Rozumiem, kto wywierał ten nacisk.

- Tato - mówię.

Jej uśmiech łagodnieje.

- Wiesz, on nigdy nie podejmował takich wypraw. Nie było powodu. Nigdy nie chciał być niczym innym jak tylko dragonem. - Usta jej drżą, dotyka mojego policzka. - Bardzo jesteś do niego podobna.

- Wzdychając, opuszcza rękę. - W każdym razie raz w miesiącu odwiedzał

mnie w Oregonie... i za każdym razem próbował mnie namówić, bym wróciła do domu z nim. - Poważnieje. -Bardzo to wszystko utrudniał. Patrzy mi prosto w oczy:

- Chciałam oderwać się od stada, Jacindo. Nawet wtedy. Źle się tam czułam, ale twój ojciec nie ułatwiał mi decyzji, więc uciekłam. Przyjechałam tutaj.

- Tutaj?

- Pomyślałam sobie, że twój tato mnie tu nie odnajdzie. Rozcieram ramię. Moja skóra już teraz sprawia wrażenie suchej i gipsowatej.

- No, raczej marne szanse, by szukał tutaj. -Prawie natychmiast moja dragońska natura zaczęła usychać. Nawet gdy się podłamywałam i kilka razy zaryzykowałam lot, nie było łatwo się przemienić. To działało. Byłam na prostej drodze do tego, by stać się człowiekiem. -Jednak wróciłaś.

- Ostatecznie zmierzyłam się z rzeczywistością. Chciałam opuścić stado, ale tęskniłam za twoim ojcem. On nie potrafił żyć bez bycia dragonem, a ja nie mogłam żyć bez niego.

Spoglądałam na błękitną taflę, spokojną i martwą, bez choćby najmniejszej zmarszczki, i próbuję sobie wyobrazić tak wielką miłość. Tak silną, żeby dla kogoś zrezygnować ze wszystkiego, czego się pragnie dla siebie. Mama to zrobiła.

Czy i ja nie mogłabym się poświęcić dla tych, których kocham? Dla mamy i Tamry? Tatę już straciłam. Czy ja naprawdę chciałam stracić także je obie?

Przez myśl przemyka mi obraz myśliwego Willa. Nie wiem dlaczego. Może dlatego, że darował mi wolność. Nawet mnie nie znał, ale wypuścił... chociaż nauczono go postępować wręcz przeciwnie.

Zduślił w sobie to, co niewąt-

pliwie byłoby dla niego rzeczą naturalną: tropienie i niszczenie mojego gatunku. Skoro on zdołał wyłamać się ze swojego świata, to i ja mogę wyrwać się z mojego. Potrafię być na tyle silna.

Zza tych myśli przebija się głos mamy:

- Wiem, że teraz trudno ci się z tym pogodzić. To właśnie dlatego wybrałam to miasto. Pustynia załatwi za ciebie sprawę. Ostatecznie.

Ostatecznie. Muszę tylko poczekać, aż moja dragonka umrze. Czy wtedy będę zadowolona? Czy pewnego dnia podziękuję mamie, tak jak ona się tego spodziewa?

Ściska mnie za kolano.

- Chodź do środka. Chcę omówić z tobą i twoją siostrą kilka spraw przed zapisaniem was do szkoły. Na te słowa czuję ucisk w klatce piersiowej, ale wstaję, myśląc o wszystkim, z czego mama dla mnie zrezygnowała, o wszystkim, co straciła. I o Tamrze. Ona nigdy nie miała niczego dla siebie. Może wreszcie nadszedł czas? Czas dla nich obu.

-Jacindo Jones, proszę, wyjdź tu na środek i przedstaw się.

Żołądek mi się skręca, gdy to słyszę. To trzecia lekcja, co oznacza, że muszę to zrobić po raz trzeci.

Wysuwam się z ławki i omijając po drodze plecaki, idę na przód klasy, by stanąć obok pani Schulz.

Trzydzieści par oczu wpatruje się we mnie.

Mama zapisała nas w miniony piątek. Upierała się, że to najwyższy czas. Że chodzenie do liceum to pierwszy krok do asymilacji. Pierwszy krok ku normalności. Tamra jest zachwycona, gotowa na to, nie boi się.

Na myśl o dzisiejszym dniu całą noc nie spałam, leżałam w łóżku i czułam mdłości. Myślałam o stadzie i wszyst-

kim, co porzucam. Latanie za dnia było zabronione. No i co z tego. Ja przynajmniej sobie polatałam. Reguły, o które spierałam się ze stadem, nagle bledną w obliczu tej nowej rzeczywistości. Już nawet nie jestem pewna, dlaczego tak bardzo opierałam się Cassianowi. Czy tylko ze względu na Tamrę? A może tkwiło we mnie coś, co buntowało się przeciw byciu z nim?

Otoczają mnie nastolatki. Nastoletni ludzie. Całe setki. Wokół wibrują ich głosy, hałaśliwie i nieustannie. Powietrze wypełniają sztuczne, przesłodzone zapachy. Istne piekło dla dragona. Nie chodzi o to, że nigdy nie wyobrażałam sobie życia w świecie zewnętrznym. Wśród ludzi. Prawdopodobnie wybrałabym się na wyprawę, ale nikt nie podróżuje w okresie dojrzewania. Dopiero jako dorośli, silny i w pełni rozwinięty dragon. I nigdy nie na pustynię. Wszystko to ma swoje uzasadnienie.

Opieram się pragnieniu podrapania się w ramię. To dopiero maj, ale upał i susza sprawiają, że swędzi mnie skóra. W gwarnym, oślepiającym blasku czuję mdłości, jakby coś we mnie wędło.

Odchrząknąwszy, mówię ochrypłym głosem:

- Cześć, jestem Jacinda Jones.

Dziewczyna w pierwszej ławce bawi się pasmem włosów.

- Taaa. Już to wiemy. - Uśmiecha się nieprzyzwoicie błyszczącymi ustami.

- Skąd jesteś? - wybawia mnie pani Schulz. Odpowiedzi mama wbiła mi do głowy.

- Z Kolorado. Zachęcający uśmiech.

- To wspaniale. Jeździsz na nartach? Mrugam oczyma.

-Nie.

- Gdzie chodziłaś do szkoły? Mama pomyślała również o tym.

- Uczyłam się w domu.

To było najprostsze wyjaśnienie, by móc zapisać nas do szkoły. Nie możemy przecież poprosić stada o przesłanie arkusza ocen.

Parunastu uczniów z miejsca wybucha śmiechem. Dziewczyna kręcąca puklem włosów przewraca oczami.

- Ale dziwoląg!

- Dość tego, Brooklyn. - Pani Schulz znów na mnie patrzy, tym razem mniej przychylnie. Raczej z rezygnacją. Zupełnie, jakbym się przyznała, że czytam na poziomie pierwszej klasy. - Jestem pewna, że było to ciekawe doświadczenie.

Skinąwszy głową, ruszam do ławki, ale jej głos mnie zatrzymuje - bierze na zakładnika.

- I masz siostrę bliźniaczkę, prawda?

Przystaję. Tak bardzo chciałabym, żeby to przesłuchanie się skończyło. -Tak.

Chłopak o nieregularnej czerwonej twarzy i małych łasicowa tych oczach mamrocze:

- Podwójna frajda.

Śmiech. Przeważnie wśród chłopaków.

Pani Schulz go nie słyszy albo udaje, że tak jest. Na jedno wychodzi. Ja chcę mieć to za sobą, żeby zaszyć się w mojej ławce i starać się być niewidzialna.

- Dziękuję, Jacindo. Jestem pewna, że się tu odnajdziesz.

Jasne.

Wracam na swoje miejsce. Pani Schulz zatapia się w jednostronnej dyskusji *naA Antygoną*. Czytałam tę sztukę dwa lata temu. W oryginale, czyli po grecku.

Moje spojrzenie odpływa ku oknu i widokowi na parking. Nad lśniącymi maskami samochodów, hen daleko, horyzont przecinają góry. Wzywają mnie.

Postanowiłam spróbować latania. Mama robiła to, gdy tu mieszkała. A więc nie jest to niemożliwe. Akurat teraz trudno się wymknąć. Mama prawie mnie nie odstępuje. Postanowiła odwozić i zabierać nas ze szkoły jak siedmiolatki. Nie jestem pewna, czy to z obawy przed tym, że stado wytropi mnie w szkole, czy przed tym, że ucieknę. Wolę myśleć, że ufa mi dostatecznie, by wiedzieć, że tego nie zrobię.

Krótką wycieczka dla rozprostowania skrzydeł nie przeszkodzi mamie i Tamrze w cieszeniu się takim życiem, za jakim tak bardzo tęskniły.

Unoszę się na siedzeniu, sięgam do kieszeni po pognieciony plan miasta, moją jedyną nadzieję. Już kilkanaście razy nad nim ślęczałam, zapamiętując każdy tutejszy park. To, że tu mieszkam, nie oznacza, że chcę uschnąć i wywietrzeć. Myśl o ponownym wzbiciu się w powietrze jest jedyną rzeczą trzymającą mnie przy życiu. Nieważne, czy to ryzykowne, czy nie, znowu poszybuję z wiatrem. Dzwoni dzwonek i tak jak reszta zrywam się z miejsca. Łasicowate Oko odwraca się do mnie i się przedstawia:

- Hej - powoli kiwa głową, dokładnie mnie taksując. -Jestem Ken.

- Hej - wyduszam z siebie i zastanawiam się, czyjego uwaga o „podwójnej frajdzie" miała na celu pozyskanie mojej przychylności.

- Potrzebujesz pomocy w znalezieniu sali na następną lekcję?

- Nie, dzięki. Poradzę sobie. - Wymijam go i ze spuszczoną głową śpieszę do mojej szafki.

Tam czeka na mnie siostra.

-Jak tam? - pyta radośnie Tamra i uśmiecha się. - Musisz otworzyć się na to, Jace. Bycie szczęśliwą to tylko twoja decyzja.

Wprowadzam szyfr, knocę i próbuję od nowa.

- Dość tej psychologii, proszę cię.

Wzrusza ramionami i przeczesuje palcami wygładzone prostownicą włosy. Ten wyczyn kosztował ją godzinę zmagania w łazience, ale zobaczyła to w jakimś magazynie i chciała dorównać zdjęciu. Moje rudozłociste włosy opadają mi na plecy w bujnych, szeleszczących lokach. Elektryzują się jak szalone. Podobnie jak reszcie mnie, brakuje im mgły.

Przyglądam się uważnie Tamrze. Wygląda tak szykownie w tym dopasowanym czerwonym topie, ciemnych džinsach i kozaczkach do kolan, które podczas weekendu kupiła w sklepie z używaną odzieżą. Mija nas kilkunastu chłopaków i dwa razy się oglądają. Moja siostra czuje się w tym świecie jak w domu, nie cierpi z powodu żadnej z moich bolączek, już nawet nie usycha z tęsknoty za Cassianem. I to mnie cieszy. Naprawdę. Gdyby tylko jej szczęście nie było moją udręką.

- Spróbuję - obiecuję, mówiąc to szczerze. Nie chcę zrujnować jej szczęścia.

-Aha, prawie zapomniałam. - Sięga do torby. - Popatrz. Organizują eliminacje do przyszłorocznej drużyny cheerleaderek.

Rzucam okiem na jasnopomarańczową ulotkę w jej dłoni i krzywię się na widok pomponików i wykonujących fikołki dziewcząt w krótkich spódniczkach.

Tamra wymachuje kartką.

- Powinnyśmy zgłosić się razem.

Nareszcie udaje mi się otworzyć szafkę i wymienić podręczniki.

- Nie. A ty idź, idź...

- Ale ty jesteś taka - wymownie przejeżdża po mnie bursztynowym wzrokiem - wysportowana.

Równie dobrze mogła powiedzieć „dragonowata”.

Potrząsam głową i otwieram usta, by podkreślić swoją niechęć. I milknę. Przeszywa mnie dreszcz.

Jeżą się maleńkie włoski na moim karku. Książka wysuwa mi się z ręki, ale nawet nie zamierzam się po nią schylać.

Tamra opuszcza rękę z ulotką.

- Co jest?

Spoglądam ponad jej ramieniem w głąb zatłoczonego korytarza. Rozlega się dzwonek i wszyscy zaczynają się poruszać bardziej gorączkowo. Trzaskają drzwiczki szafek, na wykafelkowanej podłodze piszczą podeszwy butów.

Nadal stoję nieruchomo.

- Jace, co się dzieje?

Potrząsam głową, niezdolna wydusić z siebie słowa, a mój wzrok przesuwają się po wszystkich twarzach. I odnajduję go. Widzę go. Człowieka, którego szukałam, zanim jeszcze zdałam sobie z tego sprawę. Zanim zrozumiałam... To ten piękny chłopiec.

Skóra napina się tak, że jest mi w niej za ciasno.

- Jacindo, co jest? Spóźnimy się na lekcję.

Mam to gdzieś. Nie ruszam się. To nie może być on. Dlaczego miałby być tutaj?

Ale to jest on.

Will.

Stoi oparty o szafkę, wyższy niż wszyscy dookoła niego. Kudłata Brooklyn bawi się rąbkiem jego koszuli, bezwstydnie się o niego opierając, a jej błyszczące usta bez przerwy się poruszają. On uśmiecha się, kiwa głową, słucha jej paplaniny, ale wyczuwam, że tak naprawdę wcale

się nią nie przejmuję, że jest myślami gdzie indziej... albo chce tam być. Zupełnie tak jak ja.

Nie potrafię oderwać od niego wzroku.

Miodowobrazowe włosy niedbale opadają mu na brwi, a ja pamiętam je mokre, pociemniałe i gładko odgarnięte do tyłu. Pamiętam nas sam na sam w grocie, jego dłoń na mojej i tę iskrę, która przeszła pomiędzy nami, zanim jego twarz przybrała brutalny i gniewny wyraz. Zanim zniknął.

Tamra wzdycha i ogląda się, by podążyć za moim wzrokiem.

-Aha - mamrocze porozumiewawczo. - Niezłe ciacho. Jaka szkoda... Wygląda na to, że ma dziewczynę. Będziesz musiała upatrzeć sobie kogoś innego... - Spoglądając z powrotem na mnie, wydaje z siebie stłumiony okrzyk: - Jace! Ty się żarzysz!

To gwałtownie wytrąca mnie z odrętwienia. Patrzę na swoje ręce, skóra niewyraźnie pulsuje i migocze, jakbym była przyprószona złotem.

Dragonka we mnie budzi się i mrowi, pragnąc się wydostać na zewnątrz.

-Boże, opanuj się, rany! - syczy Tamra, nachylając się bliżej. - Widzisz fajne ciacho i zaczynasz się przemieniać? Weź się w garść.

Nie potrafię. Tego właśnie moja siostra nigdy nie rozumiała. Gdy wzbierają emocje, wynurza się dragon. Wyłania się w chwilach strachu, ekscytacji, podniecenia... Tacy jesteśmy.

Znów spoglądam na Willa i ogarnia mnie przyjemne uczucie. A gdzieś w głębi strach przed tym, co oznacza jego obecność tutaj.

Tamra chwytą mnie za ramię i ściska je w niemalże okrutny sposób.

- Jacindo, przestań! Natychmiast przestań!

Głowa Willa unosi się z raptownością drapieżnika wężącego ofiarę, a ja zastanawiam się, czy myśliwi to naprawdę ludzie. Czy może tak jak dragony są z innego świata. Rozgląda się po korytarzu, tymczasem ja usiłuję się opanować. Zanim mnie zobaczy. Zanim się zorientuje.

Płuca zaczynają mi się tlić, znajome pieczenie pojawia się dokładnie w tej samej chwili, gdy jego orzechowe spojrzenie sprzęga się z moim.

Trzaśnięcie drzwi wstrząsa mną. Odrywam oczy od Willa. To Tamra. Jej dłoń dopycha drzwiczki mojej szafki, a opuszki jej palców aż pobiełały od parcia na metal.

Rozlega się ostatni dzwonek.

Tamra szybko zbiera z podłogi moje książki i ciągnie mnie do toalety. Oglądam się przez ramię, tymczasem korytarz pustoszeje, gdy ciała w oparach nienaturalnych zapachów rozchodzą się do klas. Perfumy, wody kolońskie, balsamy, lakiery do włosów, żele... otumaniają mi zmysły. Tutaj nic nie sprawia naturalnego wrażenia. Oprócz chłopaka odprowadzającego mnie wzrokiem. Jego błyszczące spojrzenie podąża za mną, tropi mnie jak drapieżnik, którego w nim wyczuwam. Will odchodzi od szafek sprężystym kocim krokiem.

Głód w jego oczach sprawia, że moja dragonka nadal jest poruszona, przebudzona i pełna życia. Skórę przechodzą mi dreszcze, ciało na plecach mrowi, swędzi w miejscach, gdzie prą skrzydła. Trzymam je w okryciu. W ukryciu, ale nie w uśpieniu.

Dłoń siostry szarpie, ciągnie mnie mocniej. Tracę Willa z oczu. Znika w kotłującej się wokół mnie masie ludzi, którzy jak chmara ciem zderzających się i tańczących wokół światła zasłaniają korytarz.

Wciąż go wyczuwam. Tęsknię za nim. Wiem, że tam jest, chociaż już go nie widzę.

Ostra woń detergentu przeżera mi nozdrza. Pod wpływem nienaturalnego zapachu dragonka w okamgnieniu usycha. Zatykam dłonią nos i usta. Żar w płucach gaśnie. Ustaje mrowienie w plecach. Tamra ponownie bacznie mnie lustruje i oddycha z ulgą, najwyraźniej zadowolona, że to znowu ja. Ta ja, którą ona akceptuje, jedyna ja, którą chce mieć w swoim otoczeniu. Zwłaszcza tutaj, w tym nowym świecie, który ma nadzieję podbić.

-Przestałaś się żarzyć. Dzięki Bogu! Próbujesz nam narobić bigosu czy co?

Gapię się na drzwi toalety. Jakbym się niemal spodziewała, że on tu za nami przyjdzie.

- Czy on coś zauważył?

- Nie sądzę. - Wzrusza ramieniem. - I tak by przecież nie zdawał sobie sprawy, co widzi.

To chyba prawda. Nawet myśliwi nie mają pojęcia o tym, że dragony przyjmują ludzką postać. To nasz najściślej strzeżony sekret. Najskuteczniejsza broń. A ja nie rozwinęłam skrzydeł na korytarzu. W każdym razie nie całkiem.

Obejmuję się ramionami, podczas gdy szum we mnie się ucisza. Zdaję sobie sprawę z tego, że to moja szansa. Mogę powiedzieć jej o Willu... zwierzyć się, jak wiele ryzykowałam tamtego dnia w grocie... na jakie niebezpieczeństwo narażam nas teraz. Stojąc w tej ohydnej łazience, mogę wyrazić wszystko. Na widok mojej miny Tamra mruży oczy:

- Dasz jakoś radę czy mam zadzwonić po mamę? Rozważam tę możliwość. I jeszcze więcej. Na przykład

to, co powiedziałaaby mama, gdybym jej wszystko wy-

jawiała. Co by zrobiła? I od razu to wiem. Czym prędzej wypisałaby nas ze szkoły. Nie zabrałaby nas jednak z powrotem do stada. Tylko do jakiejś innej szkoły na innej pustyni. Za tydzień od nowa przeżywałabym ten okropny pierwszy dzień, cierpiałabym z powodu upału i klimatu gdzieś indziej, bez pięknego, intrygującego chłopaka w pobliżu. To on, już samą swoją obecnością, przywrócił do życia dragonkę, tę część mnie, która od wyjazdu z gór sprawiała wrażenie obumarłej. Jakże mogłabym to zostawić? I zostawić jego?

Tamra odgarnia swą piękną, bujną czuprynę, dokonując dokładnych oględzin mojej osoby.

- Myślę, że wszystko w porządku - oznajmia i grozi mi palcem. - Trzymaj się od niego z daleka, Jacindo. Nawet na niego nie patrz. Przynajmniej dopóty, dopóki nie będziesz nad sobą lepiej panować. Mama mówi, że to nie potrwa długo, zanim...

Zauważa chyba coś w wyrazie mojej twarzy. Odwraca wzrok.

- Przepraszam - mamrocze. Mówi to, bo jest moją siostrą i mnie kocha. Nie dlatego, że naprawdę jej przykro. Pragnie śmierci mojej dragonki tak samo jak mama. Chce, żebym była normalna. Taka jak ona. Żebyśmy mogły razem żyć i robić takie rzeczy, jak występy w drużynie cheerleaderek.

Czuję skurcz w żołądku. Biorę od niej książki.

- Spóźnimy się.

- Dadzą nam trochę luzu. Przecież jesteśmy nowe. Kiwam głowę, skubiąc pokaźne ośle uszy mojego podręcznika do geometrii.

- Widzimy się na przerwie obiadowej?

Tamra podchodzi do lustra, by sprawdzić fryzurę.

- Pamiętaj, co ci mówiłam.

Przystaję, spoglądając na jej piękne odbicie w lustrze. Aż trudno uwierzyć, że jestem siostrą bliźniaczką tak doskonałej istoty. Perfekcyjnie układa pasmo rudoczystych włosów na ramieniu. Koniuszek delikatnie zawija się do środka.

- Trzymaj się od tego faceta z daleka.

- Dobrze - przytakuję, ale nawet wychodząc na opuszczony korytarz, zatrzymuję się i rozglądam na prawo i lewo. Wypatruję. Szukam. Mam nadzieję. I zarazem się boję. Jego jednak tam nie ma.

ROZDZIAŁ 6

Podczas przerwy obiadowej ukrywam się. Wiem, że to tchórzostwo, ale gdy tylko stanęłam przed dwuskrzydłowymi drzwiami stołówki, już od samego hałasu zrobiło mi się niedobrze. Nie mogłam znieść myśli o wejściu tam.

Zamiast tego snuję się korytarzami, ignorując głód i poczucie winy, że nie wspieram Tamry. Coś jednak podpowiada mi, że ona sobie poradzi. W każdym razie sama siebie chcę przekonać tą myślą. Czekala na ten dzień, odkąd byłyśmy dziećmi. Od czasu gdy ja przeszłam pierwszą przemianę, a ona nie. Od kiedy Cassian zaczął ją ignorować i stał się dla niej nieuchwytnym marzeniem.

Odnajduję bibliotekę. Od razu wychwytyuję zatechłą woń książek i delectuję się ciszą. Siadam przy stole w pobliżu okien z widokiem na wewnętrzny dziedziniec i opieram głowę o chłodny laminat.

Pozostaję tam aż do dzwonka.

Snuję się przez resztę dnia. Ogarnia mnie ulga, gdy udaje mi się dotrzeć do ostatniej godziny. Jeszcze trochę i już będzie po wszystkim.

Salę do nauki własnej, gdzie spędzam siódmą lekcję, zapęłniają ludzie, którzy zrezygnowali z lekkiej atletyki albo do uprawiania sportu brakuje im wymaganej śred-

niej. Dowiaduję się tego od Nathana, który nie odstępuję mnie od piątej lekcji.

Sadowi się obok mnie. Jego mięsiste wargi wypluwają każde słowo z lekkim deszczykiem śliny.

- A ty co, Jacindo?

Mrugam oczami i powolutku się odsuwam, aż wreszcie kapuję. Oczywiście. Przecież on nie mógł mieć tego na myśli.

- Och, nie wiem.

-Ja - wskazuję kciukiem swoją wzdętą klatkę piersiową - mam kłopoty z zaliczeniem angielskiego. A to naprawdę pech, bo nasza drużyna futbolowa mogłaby wygrać mecz, gdybym był w teamie. -

Wzrokiem taksuję moje długie nogi. - Co ty robisz w tej sali? Masz warunki do gry w koszykówkę. Mamy dobry zespół dziewczyn.

Zakładam niesforne pasmo włosów za ucho, a ono zaraz znów się wymyka i opada mi na twarz.

- Nie chciałam dołączać do żadnej z sekcji w środku semestru.

Albo w ogóle nigdy.

W pomieszczeniu znajduje się kilkanaście stołów o czarnych blatach. Pan Henke, nauczyciel fizyki, stoi z przodu klasy. Patrzy na nas oszołomionym, smętnym wzrokiem, jakby nie pojmując, gdzie się podzieli najlepsi uczniowie z poprzedniej lekcji.

- Zajmijcie się czymś. Żadnych rozmów. Proszę po cichu się uczyć albo czytać. - Wymachuje pomarańczową kartką. - Czy ktoś potrzebuje przepustki, żeby gdzieś pójść? Do biblioteki?

Nathan wybuchą śmiechem, gdy połowa klasy ustawia się w kolejce po zaświadczenia. Przerwa jeszcze nawet się nie skończyła, a wygląda na to, że większość dzieciaków zniknie stąd, zanim rozlegnie się dzwonek.

- No i proszę, stadko ruszyło... - Nathan spogląda na mnie i pochyla się konspiracyjnie. - Chcesz się stąd wyrwać? Niedaleko jest Haagen-Dazs.

- Nie. Po lekcjach moja mama przyjeżdża po mnie i po siostrę.

- Szkoda.

Nathan osacza mnie. Odsuwam się do brzegu stołu. Jego spojrzenie prześlizguje się po mnie.

Łokciem zawadzam o jedną z książek i z ulgą zrywam się z krzesła, by ją podnieść. Gdy przykucam na brudnej, wykafelkowanej podłodze i sięgam po podręcznik, małe włoski na karku zaczynają mi się jeżyć. Oddycham szybciej. Zaciskam usta, starając się wyciszyć. Instynktownie przechodzą mnie ciarki. I jeszcze zanim wchodzi do klasy, wiem, że to on.

Po prostu wiem. I chcę, żeby to był on, chociaż w głowie dudnią mi napomnienia Tamry. Wycierając spoconą dłoń o dzinsy, wyzieram spod stołu. Rozpoznaję go i głęboko w płucach czuję żar, ale skulona na podłodze nie ruszam się z miejsca i obserwuję, jak wchodzi.

Siedzę cichutko, czekam. Może weźmie sobie przepustkę i zniknie wraz z innymi.

Tyle że on nie ustawia się w kolejce. Idzie w głąb klasy, tylko z jednym zeszytem niedbale niesionym w rękę. Za chwilę zatrzymuje się i dziwnie przechyla głowę. Jakby usłyszał jakiś dźwięk albo wywęszył coś osobliwego. Tak samo wyglądał dziś na korytarzu. Tuż przedtem, zanim mnie zobaczył.

Bawię się książką, pozwalając szpiczastym kantom wrzynać się we wrażliwe opuszki moich palców.

- Hej, wszystko w porządku? - dudni nade mną głos Nathana.

Ze skrzywioną miną zmuszam się, by wstać i z powrotem usiąść na krześle. -Tak.

Nie mogę się przecież wечно ukrywać. Jesteśmy w tej samej szkole. I najwyraźniej w tej samej sali do zajęć własnych.

Patrzę wprost przed siebie, na tablicę. Wszędzie, byle nie na niego, ale to niemożliwe. Zupełnie jakbym zmuszała oczy, by pozostały szeroko otwarte, gdy tymczasem biologia domaga się, bym mrugała. Zerkam więc.

Odnajduje mnie wzrokiem. Podchodzi do naszego stołu. Wstrzymuję oddech, czekam, aż nas wyminie. Tyle że on tego nie robi. Zatrzymuje się, lekkie szurnięcie jego podeszwy na podłodze odczuwam jak draśnięcie na plecach.

Z bliska spoglądam mu w oczy i nie potrafię określić ich koloru. Zielone, brązowe, złociste... Gdy patrzę zbyt intensywnie, przepadam, kręci mi się w głowie. Przypominam sobie grootę... nas dwoje zamkniętych w tym wilgotnym, ciasnym miejscu. Jego dłoń na mojej dragońskiej skórze. Słowo, które, jak mi się zdaje, wypowiedział.

Drzę. Uwalniam się od jego spojrzenia i zerkam na stół, skupiając się na tym, by oddychać powoli i miarowo. Podnoszę wzrok na dźwięk jego głosu, złapana w sidła tego przyjemnie aksamitnego dudnienia.

- Macie coś przeciwko temu, żebym się dosiadł? - pyta Nathana, lecz patrzy na mnie.

- Chyba nie. - Wzrusza ramionami, niepewnie zerka na mnie i sięga po swój plecak. - I tak zbierałem się do biblioteki. Na razie, Jacindo.

Will odczekuje chwilę, spogląda na wolne krzesło. Jakby czekał, żebym coś powiedziała.

Powstrzymała go? Zaprosiła? Nie wiem.

Siada, lekko odwraca się na krześle i posyła mi uśmiech. Po prostu uśmiech - krótki, ale cudowny. Seksowny.

W moim wnętrzu zaczyna wzbierać niebezpieczny żar. Akurat wtedy, gdy tego najbardziej nie chcę. Moja skóra tężeje, spragniona przemiany w dragońską powłokę. W piersi narasta znajoma vibracja. Głęboko w krtani budzi się głuchy dźwięk. Instykt przejmuje kontrolę i jestem prawie pewna, że jeżeli się odezwę, będzie to raczej smoczy pomruk.

To zabawne. Martwiłam się, że na pustyni moja dra-gonka uschnie, umrze tak, jak chce mama. A gdy w pobliżu jest ten chłopak, czuję, że nigdy przedtem nie miałam w sobie tyle życia, niestabilnego żywiołu. Pocieram dłonią przedramię, chcąc, by moja skóra się wyciszyła. By dra-gonka wyparowała. Przynajmniej na tę chwilę.

Siedzimy w ciszy. I to jest najdziwniejsze. On wie o mnie. To znaczy nie o mnie. Niemożliwe, żeby skojarzył, że ja to tamta ja. Wie o nas - o moim gatunku. Widział mnie. Ma świadomość, że istniejemy. Uratował mnie. Chcę dowiedzieć się wszystkiego na jego temat. Jednak nie jestem w stanie się odezwać, powiedzieć czegokolwiek. Wydusić choćby jednego słowa. Za bardzo jestem skupiona na zbieraniu myśli i utrzymywaniu w ryzach własnej natury. Na odganianiu dragonki. Chcę lepiej go poznać, lecz bez oddychania, bez rozmowy. Nie mam pojęcia jak.

Jedyną rzeczą, którą powinnam o nim wiedzieć, jest to, że jego rodzina poluje. Nigdy nie wolno mi o tym zapomnieć. Nigdy. Wybijają nas albo sprzedają enkronom. Z ich nikczemnych rąk trafiamy albo w niewolę, albo pod nóż. Po skórze przechodzą mi ciarki i przypominam sobie, że on jest częścią tego ciemnego świata. Nawet jeżeli pomógł mi w ucieczce, powinnam go unikać. I to nie

dlatego, że Tamra mi kazała. Powinnam pozbierać swoje rzeczy i przesiać się do innego stołu. Zamiast to zrobić, pozostaję na miejscu, ostrożnie balansując na krześle tak, by nasze ciała się nie zetknęły.

- Czyli - odzywa się, jakbyśmy byli w trakcie rozmowy. Jakbyśmy świetnie się znali. Na dźwięk jego głosu drga nerw przy moim oku. - Jesteś nowa.

Zbieram siły, by coś z siebie wydusić. -Tak.

- Widziałem cię wcześniej. Kiwam głową i mówię:

- Na korytarzu. Też cię widziałam.

Jego ciepłe spojrzenie przesuwa się po mnie.

- Tak. I na wuefie.

Marszczę brwi. Nie pamiętam, żebym widziała go podczas czwartej lekcji, nie przypominam sobie, żebym go wyczuwała.

- Biegłaś po torze - wyjaśnia. - Byliśmy na górze w pływalni. Widziałem cię przez okno.

- Och! - Nie wiem dlaczego, ale wstrząsa mną świadomość, że mnie obserwował.

- Szybka byłaś.

Uśmiecham się. Odwzajemnia uśmiech, pogłębiają się dołeczki w jego policzkach. Serce jeszcze bardziej mi się ściska.

- Lubię biegać.

Gdy biegnę naprawdę szybko, wiatr smaga mi twarz i prawie mogę udawać, że lecę.

- Czasami - ciągnie dalej - dziewczyny i chłopaki biegają na wuefie razem. Chociaż nie jestem pewny, czy dałbym radę dotrzymać ci kroku.

Jego głos jest niski, flirciarski. Oblewa mnie fala gorąca i zwija się gdzieś na dnie żołądka.

Wyobrażam sobie, jak biegnę z nim ramię w ramię. Czyż nie powiedział, że tego by chciał? Powietrze łaskocze mnie w usta. Oczywiście bardzo chciałabym z nim pobiegać... ale nie powinnam. Nie mogę. To nie byłby dobry pomysł.

Wraz z ostatnim dzwonkiem do sali wchodzi dwóch chłopaków. Niemal od razu patrzą w naszą stronę. To znaczy na Willa, nie na mnie. Ja nie jestem godna ich uwagi.

Jeden z nich - o kruczoczarnych, krótko ostrzyżonych włosach - idzie przodem. Ma wąską i piękną twarz, ciemne, wilgotne oczy. Przeszywa mnie lęk. Te oczy są zupełnie zimne, wyrachowane.

Za nim podąża rozkołysanym krokiem jego zwalisty towarzysz. Ma tak rude włosy, że aż mrużę oczy.

- Hej - brunet wita Willa skinieniem głowy i zatrzymuje się przy naszym stole. Kurczę się, ogarnia mnie dziwne poczucie zagrożenia.

Will odchyła się do tyłu na krześle.

- Co słyszeć, Xander?

Xander sprawia niemal wrażenie... zmieszanego. Unosi brew, zerka na mnie. I wtedy pojmuję. On nie rozumie, dlaczego Will siedzi tutaj. Ze mną.

Ja też nie rozumiem. Może w pewnym sensie Will pamięta, rozpoznaje mnie? Pot zwilża mi dłonie.

Zaciskam pod stołem uda.

Rudy przechodzi do sedna sprawy:

- Nie siadasz z nami? Will wzrusza ramieniem. -Nie.

- Wkurzony jesteś czy co? - dopytuje się Rudy. Xander się nie odzywa. Nie spuszcza ze mnie wzroku.

Od tego atramentowocznego spojrzenia robi mi się niedobrze. Głowę wypełnia mi jedno słowo. Zło.

Dziwaczna

myśl. Melodramatyczna. Ale ja jestem dragonką. I wiem, że zło istnieje. Ze nas tropi.

Nerwowo wiercę się na krześle. Najwyraźniej Xander rozumie to, czego nie pojął jego kompan. Z jakiegoś powodu Will chce ze mną siedzieć. Zastanawiam się nad przenosinami do innego stolika, ale to ściągnęłoby na mnie jeszcze większą uwagę.

Naturalnie, Jacindo. Po prostu zachowuj się naturalnie.

-Jestem Xander - mówi do mnie.

-Jacinda - odpowiadam, czując z boku spojrzenie Willa.

Xander uśmiecha się do mnie. Jestem pewna, że ten ponury i zniewalający zarazem wyraz twarzy działa na większość dziewczyn.

- Miło cię poznać.

Zdobywam się na wątły uśmiezek.

- Ciebie też.

- Chyba chodzimy razem na wychowanie zdrowotne. -Ma przyjemny, jedwabisty głos.

- Chodzi ci pewnie o moją siostrę Tamrę.

- Aha. Bliźniaczki?

„Bliźniaczki” wymawia z dekadenczką nutką, jakby czuł w ustach smak czekolady. Jestem w stanie tylko skinąć głową.

- Fajnie. -Jego spojrzenie zatrzymuje się na mojej twarzy w taki sposób, że czuję się obnażona. W końcu odrywa wzrok i klepie Rudego w plecy. - To mój brat, Angus.

Nie widać w nich żadnego podobieństwa. Poza groźbą, którą emanują.

- I sądzę, że poznałaś już Willa - ciągnie dalej. Kiwam głową, chociaż właściwie się nie przedstawiliśmy. -Jesteśmy kuzynami.

Kuzyni. Myśliwi. Tyle że nie tacy jak Will.

Płuca rozpycha mi tłący się żar. Wstrzymuję oddech. Hamuję gwałtowną falę gorąca w głębi mojego jestestwa, zduszam w sobie dudniące vibracje. Chociaż, co dziwne, nie czuję zaskoczenia. Ognisty alarm szalał, od kiedy oni weszli do klasy. Różnią się od innych otaczających mnie ludzi. Są zagrożeniem. Podpowiedział mi to instynkt.

Xander i Angus nigdy nie pozwoliliby mi uciec. Upajaliby się szansą zabicia mnie. Nie wiem, w którą stronę patrzeć. Dławi mnie ta świadomość, wiedza o tym, że są okrutnymi myśliwymi. Obawiam się, że mogą dojrzeć prawdę w moich oczach. Błądzą wzrokiem w poszukiwaniu bezpiecznego punktu zaczepienia.

- Naprawdę? - mówię stłumionym głosem, nie mogąc się powstrzymać od ponownego spojrzenia na nich. - Kuzyni. Fajnie.

Angus wygina usta, unosi je powyżej linii zębów, a ja wiem, że głupio gadam. Jak banalna dziewczucha. Z wyższością rzuca Willowi uśmiezek, wzrusza ramionami i idzie na tył klasy, zostawiając mnie w spokoju. Ogarnia mnie ulga, ale tylko częściowa. Xander zwleka. Jest tym groźniejszym, bystrzejszym z braci.

Spogląda to na mnie, to na Willa.

- Przyjdiesz dziś wieczorem? - pyta Xander.

- Nie wiem.

W demonicznie czarnych oczach pojawia się błysk rozdrażnienia.

- Dlaczego nie?

- Mam zadania domowe do odrobienia. -Zadania domowe. - Xander wymawia te słowa jak obce wyrazy, których nigdy przedtem nie słyszał. Przez chwilę wygląda tak, jakby miał wybuchnąć śmiechem. Zaraz potem poważnieje, a jego głos brzmi ostro: - Mamy robotę. Nasi ojcowie oczekują, że tam będziesz.

Dłoń Willa na stole zaciska się w pięść.

- Zobaczymy.

Jego kuzyn piorunuje go wzrokiem.

- Tak, zobaczymy. - Potem patrzy na mnie, atramentowe oczy łagodnieją. - Do zobaczenia, Jacindo. -

I leniwie klepnąwszy blat naszego stołu, odchodzi.

Oddycham z ulgą.

-Twoi kuzyni sprawiają... miłe wrażenie - odzywam się do Willa.

Przez chwilę się uśmiecha, ale jego oczy pozostają poważne.

- Powinnaś trzymać się od nich z daleka - mówi niskim głosem, powiew ciepłego powietrza dosięga mojej skóry.

Taki mam zamiar, ale mimo to zadaję pytanie. Chcę dowiedzieć się czegoś więcej, by lepiej go rozgryźć.

- Dlaczego?

- To nie są faceci, z którymi powinna się zadawać miła dziewczyna. - Ściągną jego przedramienia napinają się, gdy otwiera i zaciska dłoń. - Oni nie są dobrzy. Prawie każdy ci to powie.

By złagodzić ponury nastrój, próbuję uderzyć we flir-ciarski ton:

- A co prawie każdy powiedziałby mi o tobie? Jesteś „dobrym facetem“?

Odwraca się i spogląda na mnie. Te jego zmieniające się oczy pochłaniają mnie, przypominają mi bujne zielenie i brązy z rodzinnych stron, które opuściłam. W wyrazie twarzy Willa nie ma miękkości. Jest ostra, kanciasta.

- Nie, nie jestem - odpowiada i ponownie patrzy przed siebie.

Pan Henke ignoruje to, co się dzieje w klasie, i rytmicznie wystukuje staccato na swoim komputerze.

Czuję ucisk i klucie w klatce piersiowej. Tłący się tam żar.

- Dlaczego ze mną siedzisz?

Milczenie wlecze się tak długo, że już zaczynam się zastanawiać, czy Will w ogóle odpowie, aż wreszcie przyznaje:

- Nie wiem. Wciąż próbuję to rozgryźć.

Nie mam pojęcia, jakiej odpowiedzi się spodziewałam. Ze w pewnym sensie mnie zna? Żadne z nas nawet nie otwiera książki. Prawie nie oddycham w obawie, że żar narastający w moim wnętrzu może znaleźć ujście przez usta lub nos. Płytko zaczerpuję powietrza i czekam na dzwonek.

W klasie nieustannie toczą się rozmowy. Pan Henke przestaje pisać. Widzę, jak oczy mu się powoli zamykają, a głowa kiwa się na nieistniejącej szyi. Okulary zsuwają mu się z nosa.

Podskakuję na dźwięk przenikliwego śmiechu za moimi plecami. Zerkam przez ramię i z tyłu klasy widzę dziewczynę na krześle wciśniętym pomiędzy kuzynów Willa. Angus łaskocze ją z boku, ona podskakuje, a jej długie blond włosy szybują w powietrzu jak wstążki. Kurczowo trzyma rękę Xandra, tak jakby on mógł uratować ją przed przyjemną torturą.

Chłopak leniwie się uśmiecha... wygląda na znudzonego. Jakby wyczuwając mój wzrok, nagle spogląda na mnie. Z jego twarzy znika uśmiech. Ciemne oczy łapią mnie w pułapkę.

- Odwróć się.

Na dźwięk tego głębokiego głosu puls sznuruje mi krtań jak nóż przystawiony do gardła. Patrzę na Willa. Gdy mówi, jego usta prawie się nie poruszają.

- Uwierz mi. Nie chcesz być jedną z tych dziewczyn, które zauważa Xander. To nigdy się dla nich dobrze nie kończy.

- Prawie wcale z nim nie rozmawiałam. Nie sędę, żeby on...

- To ja ciebie zauważyłem.

Przeszywa mnie mroczny dreszcz. Wycieram wilgotne dłonie o džinsy.

Will zaczyna się śmiać. Niskim i ciepłym tonem, który brzmi nieszczęśliwie.

- Ale on też cię zauważył. - Jego wargi się wykrzywają. - Przykro mi, że tak się stało.

Rozlega się dzwonek. Jego nienaturalne brzęczenie mną wstrząsa, jak za każdym razem od rana.

Will znika. Jest już za drzwiami, jeszcze zanim udaje mi się pozbierać rzeczy lub się pożegnać.

ROZDZIAŁ 7

Znowu walczę z szafką, stalowy zamek odciska na moich palcach zimny pocałunek. Ludzie obok pędzą i zderzają się ze sobą.

To dziwne, ale pieką mnie oczy. Cisną się do nich łzy. Głupia sprawa. To, że nie mogę otworzyć zamka, nie jest przecież powodem, by się rozbeczeć.

Nie chodzi tylko o to. I świetnie o tym wiem. Chodzi o wszystko. Zerkam w lewo w nadziei, że wkrótce pojawi się tu Tamra i będziemy mogli opuścić to okropne miejsce.

- Will Rutledge. No proszę, to robi wrażenie. - Na dźwięk zabawnego głosu odwracam się i rozpoznaję dziewczynę, którą widziałam w swojej grupie na wuefie. Była szybsza od innych. Pamiętam, że tylko raz prześcignęłam ją dziś na torze. Lśniące brązowe włosy trochę przypominają mi Az, lecz jej oczy są duże, niebieskozielone i dziko zerkają spod potarganej grzywki, która jest trochę za długa, trochę nierówna, tak jakby właścicielka sama ją przycinała.

- Słucham?

- Will i jego kuzyni. Tutejsi gwiazdorzycy. - Jej głos jest niski, gardłowy. Przeciąga każde słowo.

- Naprawdę? - mamroczę.

- Bogaci, przystojni, a do tego otoczeni sławą niegrzecznych chłopców. - Kiwa głową. - Xander i Angus to wykorzystują. Zaliczyli połowę dziewczyn w tej szkole. Ale Will nie. On jest...

Nachylam się, spragniona jakichkolwiek informacji na jego temat.

- No cóż. Will... - jej usta wykrzywia tęskny uśmiech. - On jest nieosiągalny. Nie interesuje go żadna z tutejszych dziewczyn. - Moja rozmówczyni przewraca swymi wspaniałymi oczami. - Co oczywiście czyni go jeszcze bardziej pożądanym ciachem.

Czuję w piersiach poryw głupiej radości.

- Nazywam się Catherine - oznajmia.

- Cześć, jestem...

- Jacinda. Wiem.

- Skąd...

- Wszyscy już znają twoje imię. I twojej siostry. Ta szkoła naprawdę nie jest aż taka duża. - Staje bliżej i odsuwa moje ręce od zamka. - Jaki masz szyfr?

Wyrzucam z siebie sześć cyfr, mgliście zastanawiając się, czy powinnam podawać kod obcej osobie i kiedy się w końcu nauczę otwierać to pudło samodzielnie. Palce Catherine śmigają szybko. Podnosi uchwyt i otwiera drzwiczki.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. - Opiera się ramieniem o sąsiednie szafki, sprawia wrażenie zadowolonej i naturalnej. Prawie jak my każdego dnia. - Dam ci radę. Lepiej trzymaj się od niego z daleka.

- Od Willa Rutledge'a? - pytam i już na sam dźwięk jego nazwiska przeszywa mnie dreszcz.

Kiwa głową. Przez chwilę czuję się tak, jakbym znowu rozmawiała z Tamrą. Ogarnia mnie frustracja.

Przez całe

życie nic tylko dawano mi rady i oczekiwano, że będę ich przestrzegać.

Przytrzymuję swój podręcznik do chemii i ściągam z półki książkę do literatury.

- Dlaczego?

- Dlatego, że Brooklyn Davis rozniesie w drobny mak ciebie i każdą inną dziewczynę, która będzie się za nim uganiać.

Myślałam, że ostrzega mnie przed Willem, bo jest niebezpieczny. Tak jak mi zresztą sam powiedział. W to mogłabym uwierzyć. Bo tyle i tak już wiem. Za każdym razem jego nadejście jest sygnalizowane przez skurcz moich mięśni.

- Aha - kiwam głową i przypominam sobie dziewczynę z lekcji angielskiego. Wzruszam ramionami. Odkąd przeżyłam śmiertelny pościg myśliwych, mój radar strachu nie reaguje na lalunie o przesadnie błyszczących ustach. Miałam już wcześniej do czynienia z dziewczynami, które mnie nie lubiły. Chociażby Miram, młodsza siostra Cassiana. Nienawidziła mnie. Nie potrafiła znieść tego, że jej rodzina - jej ojciec i brat poświęcają mi tyle uwagi. Nawet jej matka hołubiła mnie w sposób, który zawsze mnie odstręczał. Jakby była moją matką czy kimś w tym rodzaju. Ponieważ Catherine patrzy na mnie tak, jakby czekała na dalszy ciąg wypowiedzi, dodaje: - Nie uganiem się za nim.

- To dobrze. Jesteś nowa, więc Brooklyn może zamienić twoje życie w piekło. - Krzywi się i poprawia plecak na ramieniu. - Naprawdę, ona umie uprzykrzyć życie każdemu. Musisz mi uwierzyć. Sama to przerobiłam.

Zamykam szafkę. Trzaśnięcie wtapia się w dudniące po korytarzu echo uderzeń innych drzwiczek.

- Więc to w zasadzie bez różnicy, prawda?

- Po prostu ostrzegam cię. Prawdopodobnie już słyszała, że siedział z tobą, i już, jak to mówimy, planuje twój powolny zgon.

- Siedział ze mną. I co z tego? - Wzruszam ramionami. - Prawie wcale nie rozmawialiśmy.

- Hej, my mówimy o Willu Rutledge'u - napomina mnie tak, jakby miało to jakieś znaczenie. I owszem, ma. Tyle że nie takie samo co dla innych dziewczyn.

Czuję z Willem łączność, więź. Każda cząstka mojej istoty pamięta tamte chwile w grocie, kiedy ofiara i drapieżnik nawiązali ze sobą kontakt. I właśnie dlatego, że ostatnią rzeczą, jaką chcę wyjawić, jest wyjątkowy sposób postrzegania przeze mnie Willa, powtarzam:

- I co z tego?

- Co z tego? - Catherine akcentuje ostatnie słowo. - On nie umawia się z dziewczynami z liceum. Prawie nigdy nie rozmawia z żadną z nas. Nikt nie wie o tym lepiej niż Brooklyn. W każdym razie miej oczy dookoła głowy, gdy ona jest w pobliżu.

- Czyli skoro Brooklyn nie może go mieć, to żadna go nie dostanie?

- Coś w tym stylu - odpowiada.

Nie do wiary. Jestem tutaj dopiero jeden dzień, a już mam wroga?

- Dlaczego o tym mówisz?

- Powiedzmy, że jestem dobrą samarytanką. Uśmiecham się i uznaję, że chyba polubię Catherine. Może mimo wszystko uda mi się tu z kimś zaprzyjaźnić. Nie miałabym nic przeciwko temu. Strasznie tęsknię za Az. Nie żeby Catherine zdołała mi ją kiedykolwiek zastąpić, ale może dzięki niej pobyt w tym miejscu będzie znośniejszy.

- Dzięki.

-Jutro podczas zajęć własnych usiądź ze mną.

Zamiast z Willem. Tak jakby on mógł zechcieć znowu ze mną siedzieć. -Jasne.

- Super. - Odsuwa się od szafek i odrzuca postrzępioną grzywkę z oczu. - Lecę, żeby nie spóźnić się na autobus. Do jutra. - Gdy znika w tłumie uczniów, dostrzegam Tamrę idącą między jakimś chłopakiem a dziewczyną. Jeszcze mnie nie zauważyła. Uśmiecha się. Ba, wręcz promienieje. Tak szczęśliwej nie widziałam jej od czasu, kiedy zginął tato. A nawet dłużej. Od chwili kiedy okazało się, że moja siostra nigdy się nie przemieni.

I nagle ogarnia mnie smutek. Smutek i samotność na zatłoczonym korytarzu.

Gdy wychodzimy na zewnątrz, samochód mamy jest jednym z pierwszych czekających wzdłuż krawężnika. Powietrze aż faluje od upału. Przepływa przez moje usta i nos jak wrzący strumień. W tym gorącym, suchym klimacie skóra mnie swędzi, piecze. Zaciskam wargi i pędzę w stronę auta. Nasz niebieski, usiany plamami rdzy hatchback wolno podjeżdża na czoło długiej, pozakręcanej serpentyny pojazdów.

Tamra obok mnie wydaje z siebie jęk.

- Potrzebne nam własne auto.

Nawet nie kwapię się pytać, jak mamy tego dokonać. Gdy kilka miast temu mama przehandlowała kombi na tego hatchbacka, musiała do niego dopłacić. Do tego jeszcze takie detale jak nasze przetrwanie... zapewnienie dachu nad głową, napełnianie żołądków. Ledwie starczyło na czynsz i kaucję za wynajem. Na szczęście mama dziś wieczorem zaczyna pracę.

Siostra posyła mi znaczące spojrzenie:

- Nie żeby tobie wolno było wsiadać za kierownicę. Ja musiałabym nas wozić.

Przewracam oczami. To stary rodzinny dowcip. Umiem latać, ale nie potrafię prowadzić samochodu, nawet jeśli miałyby to uratować mi życie. Za kółkiem jestem beznadziejna, niezależnie od tego, ile razy mama próbowała mnie nauczyć jeździć.

Tamra sadowi się z przodu, ja pakuję się na tylne siedzenie.

- No i jak tam? - pyta mama, głośno i z werwą. Jaka szkoda, że nie może pójść razem Tamrą na eliminacje dla cheerleaderek. Ma entuzjazm na zawołanie.

- Ekstra - odpowiada Tamra i jakby na potwierdzenie tych słów macha do ludzi, z którymi widziałam ją na korytarzu. Odwzajemniają jej gest.

Niedobrze mi. Odchylam się na bok i opieram twarz o rozgrzaną słońcem szybę. Mama spogląda przez ramię.

- A ty jak, Jacindo? Spotkałaś jakichś fajnych ludzi? Przed oczami staje mi twarz Willa.

- Tak, paru.

- To fantastycznie. Widzicie, dziewczyny. Mówiłam wam, że ta zmiana dobrze nam zrobi.

Zupełnie jakbyśmy wspólnie podjęły decyzję o zaczęciu wszystkiego od nowa i nie uciekały w środku nocy. Jakbym miała jakikolwiek wybór.

Mama najwyraźniej nie słyszy cierpienia w moim matowym głosie albo woli je ignorować.

Podejrzewam tę drugą możliwość. Rodzicom łatwiej jest ignorować, udawać, że wszystko idzie świetnie, i robić to, co chcą, w przekonaniu, że też tego chcemy.

Na szczęście samochód posuwa się do przodu i skręca na zapelniony parking. Kilka razy gwałtownie hamuje-

my, gdy uczniowie bezmyślnie i niebezpiecznie wycofują swoje auta, zajeżdżając nam drogę. Inni jeszcze zwlekają i w grupach kręcą się wokół samochodów.

I wtedy go zauważam. Pojazd, który już kiedyś widziałam. Wraz ze wspomnieniem powraca przerażenie i jak krew wypełnia mi usta metaliczno-miedzianym smakiem. Skóra mi się napina, chce zniknąć. Zwalczam kumulującą się przemianę, odpędzam strach. Dragoński instynkt, stworzony po to, by mnie chronić, teraz działa przeciwko mnie.

Połyskujący czarny hummer z rzędem reflektorów na dachu stoi zaparkowany tyłem, jakby gotowy do szybkiej ucieczki. Ten samochód służy do wypełniania zadań. Jest czymś więcej niż symbolem statusu.

To maszyna przeznaczona do tego, by mnie dopaść.

Gdy nachylam się do przodu, słyszę pod sobą szum prastarych źródeł w głębi ziemi.

- Czy możemy się w końcu stąd wydostać? Mama wskazuje samochody przed nami.

- Co proponujesz? Mam przeorać ten korek?

Nie potrafię się opanować. Ponownie patrzę na hum-mera. Przy przednim zderzaku, w pobliżu Xandra i Angusa, którzy stoją oparci o maskę, kręci się grupa dziewcząt. Jest tam też Brooklyn. Rozmawia całym ciałem, żywo gestykulując i zarzucając włosami jak z reklamy szamponu.

Zapadam się w tylne siedzenie i zastanawiam, dlaczego jego nie ma wśród nich. Z jednej strony się cieszę, z drugiej jestem rozczarowana.

Tak jakbym go przywołała, czuję, że się zbliża. Moim ciałem wstrząsają dreszcze, a drobniutkie włoski na karku się jeżą. Tak samo jak dziś na korytarzu: jeszcze zanim go zobaczyłam, wiedziałam, że jest w pobliżu.

Teraz, znając już tę prawidłowość, sadowię się wyżej i rozglądam po parkingu. Wyłania się spomiędzy dwóch

samochodów, idąc wielkimi krokami z pewnością siebie i zwinnością dzikiego kota. Słońce pozłaca mu włosy.

Na widok Willa czuję ucisk w piersi i pieczenie w płucach. Głęboko oddycham przez nos, starając się ostudzić wewnętrzny żar.

Chyba wydałam z siebie jakiś dźwięk, może głośne westchnienie. Nie wiem, ale Tamra ogląda się na mnie. Może to po prostu bliźniaczy instynkt. Jak za czasów, kiedy wciąż istniała między nami więź. Moja siostra rzuca mi rozbawione spojrzenie, a potem wygląda przez okno. Nie umiem się opanować. Też patrzę. Nie mogę nie patrzeć.

Will zatrzymuje się, podnosi wzrok. Jakby wywęszył mnie w powietrzu, co oczywiście jest nieprawdopodobne. Nie jest w stanie wyczuwać mnie tak jak ja jego. Mimo to odnajduje mnie.

Nasze spojrzenia się spotykają. Jego usta wykrzywiają się w uśmiechu, który sprawia, że mój żołądek wykonuje salto. Will rusza dalej. Brooklyn jednym susem dołącza do niego. Jednak on nie zwalnia i dziewczyna pozostaje w tyle, z trudem usiłując dotrzymać mu kroku.

Tamra mamrocze coś pod nosem.

- Co? - pytam obronnym tonem.

- Mam nadzieję, że się nie przemieniasz.

- Co? - rzuca mama swym dawnym głosem. Tym wysokim zaniepokojonym tonem, do którego tak przywykłam. Ani śladu świeżego animuszu.

- Dziś w szkole Jacinda o mało co się nie przemieniła - papie Tamra ni to śpiewnym, ni to płaczkliwym dziecięcym głosikiem. Przypomina mi to czasy, kiedy podprowadzałam jej lalki i obcinałam im włosy.

Oczy mamy odnajdują mnie we wstecznym lusterku.

- Jacindo, co się stało? - pyta kategorycznie.

Wzruszam ramionami i odwracam wzrok, wyglądając przez okno.

Moja siostra jest na tyle miła, by udzielić odpowiedzi za mnie.

- Zaczęła się przemieniać, gdy zobaczyła tego fajnego faceta...

-Jakiego faceta? - pyta mama.

- Tego tam... - wskazuje palcem Tamra.

- Nie paluchem - warczę, a nowa fala gorąca oblewa mi twarz.

Za późno, mama już tam patrzy.

- Tylko go... zobaczyłaś?

- Tak - przyznaję, osuwając się głębiej na siedzeniu.

- I zaczęłaś się przemieniać? Pocieram czoło, czuję początki bólu głowy.

-Ja naprawdę nie robiłam niczego umyślnie. To po prostu się stało.

Przez brudną szybę przyglądam się, jak Will siada za kierownicą. Jego kuzyni też wskakują do samochodu. Jak na gości, których nie lubi, to spędza z nimi sporo czasu. Nie wolno mi zapominać o tym, że oni stanowią jedną paczkę.

Brooklyn też go obserwuje. Stoi obok przyjaciółek z rękoma ciasno skrzyżowanymi na piersi.

- Jacinda - mama wymawia moje imię cicho, z takim rozżaleniem, że chciałabym czymś rzucić.

Wrzeszczeć. To boli, że stanowią dla niej takie rozczarowanie. Odbieram to tak, jakby ona nie potrafiła kochać mnie taką, jaką jestem.

Tato mnie kochał... Był taki szczęśliwy, gdy pierwszy raz się przemieniłam. I pękał z dumy, gdy okazało się, że jestem ogniozijką. Pierwszą od wielu pokoleń.

Mama nie. Ona nigdy. Zawsze tylko nieufność... Jakbym była jakimś groźnym stworzeniem, które wydała na

świat i musiała pokochać, ale nigdy by go dobrowolnie nie wybrała.

Nasz samochód nareszcie rusza z miejsca. Staram się nie wypatrywać oczu za hummerem, który przepycha się w gąszczu pojazdów.

Gdy wyjeżdżamy z terenu szkoły, usta mamy okalają wąskie, ciasne zmarszczki. Kiwa głową tak, jakby ten ruch przekonywał ją o czymś.

- Nie ma problemu - mówi - dopóki faktycznie się nie przemienisz, co tutaj nie powinno być takie łatwe. - Rzuca mi surowe spojrzenie. - To jest jak mięsień. Wiotczeje, jeśli nie ćwiczysz.

Tak było z nią. Przemiany mamy pamiętam jak przez mgłę. Od tamtego czasu minęły całe lata. Nawet wtedy, gdy jeszcze mogła, rzadko to robiła. Wolała zostawać w domu z nami, podczas gdy tato latał. A kiedy Tamrze nie udało się przejść przemiany, całkowicie zrezygnowała z latania.

- Wiem.

Tyle tylko, że ja nie jestem taka jak ona. Chociaż stado tłamsiło mnie, chociaż obecność Cassiana budziła moją niepewność, to jednak życie na tej pustyni, umyślne mordowanie we mnie dragonki, jest jeszcze gorsze.

-Dla własnego bezpieczeństwa trzymaj się od tego chłopca z daleka.

Teraz moja kolej na kiwanie głową.

-Jasne - mówię, nawet jeśli myślę „nie”. Nawet jeśli sędzę, że mogłabym trochę znienawidzić swoją matkę. Bo chociaż wiem, że powinnam trzymać się od Willa z daleka, to mam dość tego, że ona o wszystkim za mnie decyduje. Co takiego okropnego mogło mieć dla mnie w zanadrzu stado, że musiałyśmy przyjechać aż tutaj, by być bezpieczne? Czy Cassian naprawdę jest taki zły? Nie chodzi o to, że go nie lubiłam. Po prostu nie podobało

mi się, że został dla mnie wybrany. Zwłaszcza że moja siostra wypatrywała za nim oczy, odkąd skończyła trzy lata. Zawsze urządzał dla Tamry przejażdżki na grzbiecie świni, nawet jeśli czekała go reprimenda mamy, żeby natychmiast postawił jej dziecko na ziemi. Tymczasem ja starałam się dotrzymać im kroku. Potem już nie musiałam. Cassian się przemienił i zapomniał o nas obu. Znów mnie nie zauważał, dopóki nie przeszłam metamorfozy. A Tamra... no cóż, brak przemian zdecydował o jej losie. Cassian zupełnie o niej zapomniał.

Bezpieczeństwo. Bezpieczeństwo. Bezpieczeństwo.

Mama często używa tego słowa. Bezpieczeństwo. Ono jest wszystkim. Ono mnie do tego doprowadziło. Do opuszczenia stada, do uśmiercania dragonki, do unikania chłopaka, który uratował mi życie, chłopaka, który obudził moją dragońską naturę w samym środku tego spalonego słońcem bezkresu. Chłopaka, którego tak bardzo chcę poznać.

Czy ona nie potrafi tego zrozumieć? Co mi po bezpieczeństwie, jeśli w głębi swojej istoty będę martwa?

ROZDZIAŁ 8

Pani Hennessey przygląda się nam przez żaluzje. Musiała chyba czekać na nasz powrót do domu.

Cicho wchodzimy przez tylną furtkę, uważając, by za nami nie trzasnęła.

A jednak, mimo że zachowujemy się tak spokojnie, jest gotowa, przyczajona i świdruje nas wzrokiem z zacisza swojego domu. Odkąd się wprowadziłyśmy, często to robi. Jakby nie była pewna, czy nie wynajęła domu rodzinie skazańców.

Najwyraźniej nie tylko ja to zauważam.

- Obserwuje nas - syczy Tamra. - Znowu.

- Nie patrz tam - strofuje mama. - I mów ciszej. Tamra posłusznie szepcze:

- Czyż życie na tyłach domu jakiejś starej baby nie jest odrażające?

- To świetna okolica.

- I wszystko, na co mogłyśmy sobie pozwolić - przypominam Tamrze.

Gęsiego okrążamy basen. Mama idzie przodem. Niesie przy biodrze małą torbę z drobnymi zakupami spożywczymi. Ja jestem ostatnia. W głębokim błękiecie base-

nu oglądam swoje drżące odbicie. W nozdrzach czuję woń chemikaliów.

Jednak mimo to woda wywołuje orzeźwiający wrazenie w tym suchym, wypalającym skórę upale, który sprawia, że moje spragnione pory się kurczą. Nie mamy nawet wanny. Jedyne kabinę prysznicową. Może później uda mi się ukradkiem popływać. Nigdy nie byłam dobra w przestrzeganiu reguł.

- Mam tylko nadzieję, że ona podczas naszej nieobecności nie grzebie w naszych rzeczach - narzeka Tamra.

W jakich rzeczach? W pośpiechu nie udało nam się zbyt wiele przeszmygłować. Ubrania i kilka osobistych drobiazgów. Wątpię, czy zdołaliby znaleźć nasze kamienie szlachetne. Nawet ja nie potrafiłam ich odszukać. A naprawdę się starałam, gdy mama pozwoliła nam, spragnionym ich widoku, urządzić poszukiwania. Żeby tylko ich dotknąć. Żeby poczuć ich ożywcze muśnięcie na skórze.

Mama otwiera drzwi. Tamra wchodzi za nią do środka. Ja zatrzymuję się i ponownie zerkam przez ramię. Pani Hennessey wciąż jest na czatach. Zauważywszy moje spojrzenie, zsuwa żaluzje.

Zastanawiając się, kiedy ona chodzi spać, odwracam się i wchodzę do cuchnącego pleśnią domu.

Ta woda mnie woła. Teraz jest bliżej niż niebo.

Gdy Tamra i ja myjemy naczynia, mama przebiera się do pracy. W małej kuchni unosi się zapach masła i sera. Makaron rurki z pięcioma serami i wyjątkową mieszanką ziół mamy to jedno z moich ulubionych dań. Nie żeby była genialną kucharką, ale jest... to znaczy była herbodragonką.

Herbodragonka wie wszystko na temat ziół, a zwłaszcza to, jak najlepiej je wykorzystać w jedzeniu i lekach.

Potrafi tchnąć życie w najbardziej nijaką potrawę. W podobny sposób mama umie przygotować kompres, który przez noc usuwa pryszcz albo wyciąga z rany truciznę. Gdy nie gotowała, pracowała w stadnej klinice zdrowia.

Dzisiejsza kolacja była dedykowana mnie.

Mama próbuje być dla mnie dobra. Chyba przykro jej z mojego powodu. Martwi się. Chce, żebym była tutaj szczęśliwa. Gdyby miała tylko Tamrę, opuściłaby stado już wiele lat temu.

Kolacja smakowała wyśmienicie. Jak w domu. Mój żołądek jest przyjemnie wypchany nadmiarem jedzenia.

Mama wychodzi ze swojej sypialni w czarnych spodniach i purpurowym cekinowym topie z odkrytymi plecami. Jej odsłonięte ramiona lśnią jak jasny marmur. Może dorobi się tutaj opalenizny. Marszczę brwi. Może nas wszystkie to czeka.

-Jesteście pewne, że sobie poradzicie? - mówiąc to, patrzy na mnie.

- Pewnie, że tak - odpowiada radośnie Tamra. - A teraz idź, powal ich na kolana i zgarniaj napiwki.

Mama niepewnie się uśmiecha.

- Spróbuję, ale nie znoszę zostawiać was same, dziewczynki.

Wiem, że to z mojej strony okropne i egoistyczne, ale cieszę się, że zatrudniono ją do pracy wieczorami. Akurat teraz trudno jest przebywać w jej towarzystwie. A tak muszę tylko przejmować się Tamrą, jeśli się wymknę. Kiedy się wymknę. Gdy już wybiorę sobie najbezpieczniejsze miejsce do przemiany. Powinno to być gdzieś niedaleko. Bądź co bądź, będę tam przecież musiała dojść na piechotę.

Zbiera mi się na śmiech. Bo tutaj żadne miejsce nie jest bezpieczne dla przemian. To pustynia. Bez osłony mgieł i gór nigdy nie będę całkowicie chroniona.

- Nie kładźcie się zbyt późno spać - poucza nas mama. -1 odróbcie lekcje.

To jej pierwszy wieczór w pracy w tutejszym kasynie. Nocna zmiana najlepiej zarabia. Mamy nie będzie w domu od dziesiątej wieczorem do piątej rano. Tym sposobem może odwozić nas do szkoły, zdrzemnąć się, a potem wrócić do pracy na kilka godzin i skończyć tak, by odebrać nas ze szkoły i spędzić z nami wczesny wieczór. Idealne rozwiązanie, dopóki da radę normalnie funkcjonować z pięcioma godzinami snu na dobę.

- Pamiętajcie, że pani Hennessey jest tuż obok. Prycham.

- Tak jakbyśmy zamierzały się jej naprzykrzać.

- Po prostu bądźcie ostrożne - jej wzrok wędruje wymownie między mną a Tamrą, tymczasem ja zastanawiam się, co naprawdę ją martwi. Ze stado mogłoby tu przysłać kogoś, by nas z powrotem zabrał? Czy że ja na własną rękę ucieknę i tam powrócę?

- Wiesz co - odzywa się Tamra - mogłabyś przecież po prostu sprzedać parę rubinów, szmaragdów lub diamentów. - Wzrusza ramionami. - Wtedy nie musiałabyś nas zostawiać. Nie musiałabyś tyle pracować. - Moja siostra rozgląda się po małym, obitym drewnianymi panelami salonie. - Mogłybyśmy wynająć jakieś ładne mieszkanie.

Mama zabiera swoją torebkę.

- Wiesz przecież, że nie możemy tego zrobić.

Bo stado natychmiast dowiedziałoby się, że puściłyśmy w obieg jakieś kamienie szlachetne, które są w naszej rodzinie od wielu pokoleń. Właśnie tego szukają. Spodziewają się, że zrobimy to, by przeżyć.

Gdyby nie ten fakt, wiem, że mama sprzedałaby każdy posiadany przez nas klejnot, bo wcale nie darzy ich sen-

tymenem. Te kamienie są spuścizną naszej dragońskiej rodziny. A ona chce odciąć wszelkie korzenie. Pilnowanie skarbów to część naszego rodowodu. Jeden z powodów, dla których się nas tropi. Pieniądze. Zachłanność. Oprócz pazerności na naszą krew, skórę i kości, które ponoć mają lecznicze właściwości dla ludzi, naszymi prześladowcami kieruje również chęć zdobycia klejnotów.

Dla nas jednak pieniądze się nie liczą.

Żyzna gleba żywi nas, ale kamienie szlachetne dają coś więcej. To kwestia przeżycia. To one są lukrem na cieście, najczystsza formą ziemskiej energii. Wzmacniają nas. Podobnie jak nasi smoczy praprzodkowie, potrafimy je wykrywać pod ziemią. Jesteśmy dostrojeni do ich energii. Jeżeli w pobliżu nie ma ani żyznej gleby, ani kamieni szlachetnych, jest to dla nas równoznaczne ze śmiercią głodową.

Tamra opiera ręce na biodrach.

- Daj spokój. Sprzedaj tylko jeden. Potrzebuję kilku nowych ciuchów.

Mama potrząsa głową.

- W piątek dostanę wypłatę. Zobaczymy, ile da się wtedy wygospodarować.

- Czy sprzedanie jednego małego kamyczka to naprawdę taki problem? - rzucam lekkim tonem, udając, że nie w pełni zdaję sobie sprawę z potencjalnego zagrożenia. Nie wspominając już o bólu utraty jakiegoś rodzinnego klejnotu. Pozbycie się bodaj jednego byłoby jak sprzedanie części mnie, ale może by się opłaciło. Bo jeżeli mam zostać tutaj, to nic ze mnie się nie uchowa. Tym sposobem stado może znalazłoby nas i zabrało z powrotem do domu.

Spojrzenie mamy przesuwa się na mnie, patrzy surowo, oczy jej błyszczą. Przejrzała moje słowa, poznała się na mojej grze.

- To byłby zły pomysł, Jacindo.

To ostrzeżenie. Groźny ton brzmi nieodwołalnie.

- Jasne - mówię, ustawiam ostatni talerz na suszarce i maszeruję przez salon do pokoju, który dzielę z siostrą.

- Jacindo! - woła mama, gdy opadam na łóżko. Przychodzi za mną i staje w drzwiach. Jej twarz łagodnieje. - Nie złość się.

Uderzam w cienką poduszkę.

- A niby z czego mam się cieszyć?

- Wiem, że to trudne.

Potrząsam głową i przewracam się na bok. Nie mogę nawet na nią patrzeć. Oczywiście, ona to rozumie. Sama to przechodziła. I to właśnie najbardziej doprowadza mnie do szału.

- Ty postanowiłaś skazać swoją dragonkę na śmierć. A teraz dokonujesz tego wyboru za mnie.

- Dla mnie to też nie jest łatwe.

Rzucam jej przez ramię gniewne spojrzenie.

- To ty zdecydowałaś, że tak musimy postąpić.

Ze smutkiem kręci głową i przez chwilę myślę, że może dam radę ją przekonać, że to był błąd. Może uświadomi sobie, że moje miejsce nie jest tutaj i nigdy nie będzie.

- Wiem, że to była moja decyzja. Nie pozostawiłam ci wyboru - przyznaje - ale chciałam zapewnić ci bezpieczeństwo.

Opada mnie deprymujące uczucie. Znowu to bezpieczeństwo. Jakimi argumentami zdołam je zbić?

- A pozostanie w stadzie - ciągnie dalej - już nie jest bezpieczne. Jestem twoją matką. Będziesz musiała mi w tej kwestii zaufać. Przeprowadzenie się tutaj było właściwą decyzją. - W jej głosie czai się coś jeszcze... coś, co

mi podpowiada, że mama nie mówi wszystkiego. Ze stado stanowi nawet większe zagrożenie niż to, które chciała mi uzmysłowić.

Ponownie odwracam wzrok, wpatruję się w kotary w szkocką kratę. Wdycham chemiczną woń tego domu, która parzy mnie w nozdrza. W tym pomieszczeniu jest silniejsza. Zabija nawet zapach pleśni.

- Nie spóźnisz się do pracy?

W powietrzu rozlega się jej ciche westchnienie.

- Dobranoc, kochanie. Do zobaczenia rano. I odchodzi.

Wymieniają z Tamrą jeszcze parę słów. Zbyt cicho, bym mogła coś zrozumieć, dzięki czemu wiem, że mówią o mnie.

Słyszę, jak drzwi wejściowe się zamykają, pogrążając mnie w więzieniu.

Nie dzieliłam z Tamrą pokoju, odkąd skończyłyśmy siedem lat. Nie jestem pewna, jak przetrzymam jej optymizm w epicentrum mojego nieszczęścia, ale próbuję. Nie ma sensu psuć jej zabawy.

- Co włożysz jutro? - zagłada do naszej szafy. Intensywnie lustruje jej zawartość. Przez dobrych kilka chwil. Tak jakby za sprawą czarów miało się pojawić coś, czego tam przed minutą nie było.

Dostałyśmy większy pokój z pojemniejszą szafą, lecz nie ma w niej zbyt wiele. Rozmiar szafy tylko podkreśla niedostatki naszej garderoby.

Wzruszam ramionami.

- Dzinsy.

- Dzisiaj je na sobie miałaś.

- Nic się nie stanie, jeśli znów je włożę. Zmienię tylko bluzkę.

Moja siostra opada na łóżko.

Ja siedzę na moim po turecku i wcieram w nogi balsam. Znowu. Zużyłam już prawie pół butelki, ale moje ciało nadal jest suche, spragnione, i woła o więcej.

- Nie tęsknisz za niczym? - pytam w nadziei, że może jednak coś takiego istnieje. Coś, co zachęciłoby ją do zastanowienia się nad powrotem.

-Nie.

- Nawet za Cassianem? - ryzykuję.

Jej nastrój błyskawicznie się zmienia, a twarz zachmurza, kiedy wyrzuca z siebie kolejne słowa:

- Przecież to nie ja powinnam za nim tęsknić, prawda? Stara rana wciąż boli.

-Ale to przez te wszystkie lata nie powstrzymywało cię od tego, żeby go pragnąć.

- Cassian nie może być z martwą dragonką. Jego ojciec nigdy na to nie pozwoli. Od początku to rozumiałam.

Czyżby? To dlaczego wyczuwam złość? Krzywdę? Dlaczego tak długo wypatrywała za nim oczy, skoro rozumiała?

- Kiedyś obydwoje byliście bliskimi przyjaciółmi - przypominam jej.

- Cała nasza trójka się przyjaźniła. I co z tego? -Ja nie byłam z nim tak blisko jak ty. Wzdycha.

- To było dawno temu, Jace. Byliśmy wtedy dziećmi. - Patrzy na mnie, kręcąc głową. - Do czego zmierzasz z tą gadką? Myślisz, że uda ci się przekonać mnie, że mam szansę u Cassiana? Ze wrócę dla niego? No, no, ty chyba naprawdę bardzo chcesz tam wrócić, skoro uważasz, że jestem dość głupia, by się na to dać złapać?

Ogarnia mnie zmieszanie. Czy moje intencje są aż tak oczywiste?

- Po prostu trudno mi uwierzyć, że całkiem o nim zapomniałaś.

Jej oczy iskrzą, a głos drży z przejęcia.

- Czy wolałabyś, żebym się łudziła? Nie mam szans na bycie z nim. Stado nigdy do tego nie dopuści. Cassian do tego nie dopuści. Tutaj zaczynam nowe życie. - W jej oczach pojawia się hardość i chłód. - Ja mam swoją godność, Jacindo. Nie pozwolę na to, by jakaś głupia słabostka powstrzymała mnie od tego, by nareszcie żyć. Możemy zakończyć ten temat?

Ignorując tę prośbę, pytam o coś, czego nie poruszałam od długiego czasu, nie ośmielałam się, nie chcąc dawać mojej siostrze złudnych nadziei.

- A co jeżeli nie odczekałaś swojego...

Jej oczy rozbłyskują gniewem.

- Nie zaczynaj. Jeżeli miałabym się przemienić, to już by to się stało.

Wzruszam ramionami.

- Może po prostu jesteś późnowidką? Nidia przemieniła się w późniejszym wieku...

- Późnowidką może być trzynastolatka, nie ja. A teraz, proszę, możemy dać sobie z tym spokój? Nie chcę już rozmawiać o stadzie.

-Dobrze już, dobrze - mówię, ponownie skupiając uwagę na nogach. Znowu suche.

Energicznie, ze złością kręcę głową. Dłoń pracuje mocniej i głębiej wmasowuje kosmetyk w skórę. Balsam jest bezzapachowy, bo mam dość tych wszystkich woni i smrodów, które nieustannie duszą mnie w tym ludzkim świecie.

Już teraz czuję się inaczej. To działa. Mama dopina swego. Dragonka usycha. Umiera na tej pustyni. Poza chwilami, gdy w pobliżu jest Will.

Moje palce przesuwiają się po skórze wolniej. W piersi trzepocze nadzieja. Poza chwilami, gdy w pobliżu jest Will. Przy nim moja dragonka żyje. Will. Pewnie, że to ryzyko, ale ostatnimi czasy ryzyko jest dla mnie jak powietrze. Jest wszędzie. Mojemu życiu strasznie daleko do bezpieczeństwa - niezależnie od tego, jak kurczowo mama obstaje przy tej idei.

ROZDZIAŁ 9

Podążam za tłumem dziewczyn do sali gimnastycznej. Staram się zachować zdrowy odstęp od ścisku ciał. On tak bardzo przytłacza. Cudze zapachy, zgrzytliwe odgłosy, brak wolnej przestrzeni i świeżego powietrza. Zatęchłe pomieszczenie wypełnia dudnienie kozłowanych piłek, niesie się echem po drewnianym parkiecie i narasta, gdy zbliżamy się do dwuskrzydłowych drzwi sali gimnastycznej.

- Wygląda na to, że dziś ćwiczymy z chłopakami - mówi Catherine, kiedy wchodzimy do sali wypełnionej cierpkim zapachem potu.

Znów dopada mnie to odczucie i od razu wiem, że on tu jest. Dostrzegam Willa na drugim końcu sali, obserwuję, jak wykonuje rzut za trzy punkty, lekko odbijając się od podłogi. Zauważa mnie, jeszcze zanim piłka wypada z kosza. Znajomy żar z głębi klatki piersiowej oblewa mi twarz.

- Chłopcy po tej stronie, dziewczyny po tej! - wuefistka dmie w gwizdek i pokazuje oddzielne połowy boiska.

- Oj ej ku, koszykówka, wuefowa zmora - mamrocze Catherine, jak zwykle przeciągając samogłoski.

- Ja już wolę ganiecie po bieźni.

Ustawiamy się w ogonku, by wykonywać rzuty wolne. W połowie sali koniec kolejki chłopców ustawia się równolegle z naszym. Wzdłuż linii boiska robi się trochę zamieszania i obie płcie dobrodusznie zaczepiają się i przekomarzają.

Kątem oka widzę, jak Will wychodzi z kolejki i cofa się do miejsca, gdzie na końcu ogonka stoję z Catherine.

- Hej - mówi, witając mnie. -Hej.

Catherine patrzy to na mnie, to na niego.

- Hej - sucho dorzuca na ochotnika. Will i ja spoglądamy na nią.

- Taaak - mówi powoli, odrzuca grzywkę z oczu i przesuwa się przede mnie, ustawiając się plecami do nas.

- To jak tam - zaczyna Will - grasz w piłkę tak dobrze, jak biegasz?

Śmieję się. Nie potrafię się opanować. Jest taki słodki i rozbajający, a moje nerwy wariują.

- Bez porównania gorzej.

Gdy nasze kolejki posuwają się do przodu, konwersacja dalej się nie rozwija. Catherine taksuje mnie przez ramię niebieskimi oczyma. Jakby nie potrafiła mnie rozgryźć. Uśmiech znika mi z twarzy i odwracam wzrok. Ona nigdy nie zdoła mnie rozgryźć. Nigdy jej na to nie mogę pozwolić. Ani nikomu innemu tutaj.

Odwraca się do mnie z założonymi rękoma.

- Szybko nawiązujesz znajomości. Od pierwszej klasy rozmawiałam chyba z... - milknie i patrzy w sufit, jakby liczyła w myślach. - Z trzema, nie, z czterema osobami. Ty jesteś tą czwartą.

Wzruszam ramionami.

- Przecież to tylko facet.

Catherine podchodzi do linii rzutów wolnych, kilka razy kozłuje i rzuca. Piłka czysto przechodzi przez kosz. Łapie ją i podaje do mnie.

Usiłuję skopiować jej ruchy, ale moja piłka leci nisko, przelatuje pod tablicą.

Will już czeka w połowie boiska, przepuszczając innych. Zauważywszy, że celowo zwleka, czuję na twarzy falę gorąca.

- Nie żartowałaś - droczy się, przekrzykując dudnienie piłek.

- A ty dałeś radę? - pytam, żałując, że nie patrzyłam, gdy rzucał.

-Tak.

- Akuuurat - przedrzeźniam go.

Przepuszcza kogoś w kolejce. Robię to samo. Catherine jest teraz o kilka osób przede mną.

Will przygląda mi się uważnie, wnikliwie studiuje moją twarz i włosy, jakby uczył się moich rysów na pamięć.

- No tak, ale ja nie potrafię biegać tak jak ty. Przesuwam się do przodu z kolejką, ale gdy zerkam do tyłu, on też się ogląda.

- O rany - mamrocze Catherine swym niskim, chropawym głosem, wpychając się do kolejki obok mnie. - Nie wiedziałam, że to się tak dzieje.

Rzucam jej zdziwione spojrzenie. -Co?

- No wiesz. Romeo i Julia... Miłość od pierwszego wejrzenia i takie tam.

- To nie tak - mówię szybko.

- Dobrze sobie!

Znowu nasza kolej. Catherine rzuca. Piłka czysto śmiga przez obręcz.

Kiedy rzucam ja, piłka odbija się od tarczy i dzikim rykoszetem trafia trenerkę w głowę. Zakrywam dłonią usta. Nauczycielce ledwie udaje się zachować równowagę i nie upaść. Kilkanaście uczennic się śmieje. A ona rzuca mi gniewne spojrzenie i poprawia czapkę.

Wykonawszy drobny przepraszący gest, biegnę na koniec kolejki.

Will już tam czeka i z trudem powstrzymuje się od śmiechu.

- Ładnie - mówi. - Cieszę się, że jestem po drugiej stronie boiska.

Krzyżuję ramiona i staram się nie uśmiechać, opieram się uczuciu, że dobrze mi w jego towarzystwie, lecz on mi tego nie ułatwia. Chcę się uśmiechać. Chcę go polubić, być blisko niego, poznać go.

- Cieszę się, że cię rozbawiłam.

Wtedy jego uśmiech ulatuje, a on znów patrzy na mnie z tą dziwną intensywnością. I tylko ja to rozumiem. Wiem dlaczego. On musi sobie coś przypominać... rozpoznawać mnie w jakiś sposób, nawet jeśli nie jest w stanie tego zrozumieć.

- Chciałabyś się ze mną umówić? - pyta nagle. Mrugam powiekami.

- Na randkę?

- Tak. To przeważnie facet ma na myśli, gdy zadaje takie pytanie.

Odzywają się gwizdki. Chłopcy i dziewczyny śpieszą w przeciwnych kierunkach.

- Wznawiają grę na środku boiska - mamrocze Will z niezadowoleniem, obserwując wuefistów rozdających uczniom koszulki. - Pogadamy potem podczas zajęć własnych, okej?

Kiwam głową, czuję nieprzyjemny ucisk w piersi, ledwie mogę złapać oddech. Siódma lekcja.

Zaledwie kilka

godzin do podjęcia decyzji o randce z myśliwym. Wybór powinien być prosty, oczywisty, ale głowa już mnie boli. I wątpię, czy kiedykolwiek coś będzie dla mnie łatwe.

Catherine zajmuje dla mnie miejsce podczas lunchu. Wślizguję się między nią i jej przyjaciela.

Zapewne jednego z tych trojga ludzi, z którymi dotychczas rozmawiała w tym liceum.

Przedstawia nas sobie. Brendan jest chudym dryblasem o wydatnym i ruchliwym jabłku Adama.

Siedzi skulony nad swoim pudełkiem z lunchem i skubie kanapkę z masłem orzechowym ukrytą w wielkich dłoniach tak, jakby ktoś miał mu ją zabrać.

- Hej - mówi cicho, prawie bezgłośnie. Jego szybkie brązowe oczy nigdy nie zatrzymują się zbyt długo na mojej twarzy. Na nikim i na niczym oprócz Catherine.

- Hej - odpowiadam, a zaraz potem rozglądam się za siostrą, ignorując gapiących się na mnie ludzi. Tak jak próbowałam ich ignorować przez cały dzień.

Dostrzegam ją po drugiej stronie zatłoczonej stołówki. Z tacą w ręku stoi z inną dziewczyną. Sprawia wrażenie tak pewnej siebie. Tak silnej. Nigdy jej takiej nie widziałam.

Wiercę się na krześle. Zakładam za ucho kręcony, niesforny lok. Obserwując ją, trochę rozpaczliwie drapię się w rękę, bo moja skóra się dusi. Piekący ból sprawia, że się krzywię. Spoglądam na plamy na podrażnionym ciele. Tak czułam się przez cały dzień. Nieswojo, trochę chora, a motyle w brzuchu raczej dokuczały, niż uskrzydlały. Oprócz dzisiejszej lekcji wuefu. W pobliżu Willa czułam się dobrze...

Tamra zauważa mnie, widzi, że siedzę z jakimiś ludźmi i wyraźnie oddycha z ulgą. Oznacza to dla niej zielo-

ne światło: może usiąść, gdzie chce. Kiwa do mnie głową i przysiada się do stołu, przy którym zgromadziły się piękne, dobrze ubrane dziewczyny. Niechybnie śmietanka Chaparral High.

Oczywiście jest wśród nich Brooklyn.

Swoim zachowaniem podczas trzeciej lekcji potwierdziła wszystko, co Catherine mi o niej powiedziała. Najwyraźniej słyszała o tym, że Will siedział wczoraj ze mną, i dała wyraz swym pretensjom. Za każdym razem, gdy pani Schulz odwracała się do tablicy, Brooklyn okręcała się na krześle i gromiła mnie zabójczym spojrzeniem. Ciekawe, czy wie, że rozmawiał ze mną na wuefie. Takie spojrzenie mogłoby chyba doprowadzić większość dziewczyn do łez. Mnie to nie ruszyło. Mam większe problemy.

Nie widziałam Willa od wuefu. To ulga, bo nie zdecydowałam jeszcze, czy się z nim umówię. Tak, przebywanie w jego towarzystwie karmi moją dragonkę, a teraz przecież na tym mi zależy. Na robieniu wszystkiego, co pozwoli jej przeżyć. On jednak jest zarazem wszystkim, czego powinnam unikać.

Dla dragonki jest śmiercią. Niezły bigos, co? Aby utrzymać przy życiu tę część mojej istoty, muszę być blisko tego, co ją zabija.

Ogarniam wzrokiem stołówkę, lecz go nie widzę. Chyba ma przerwę obiadową na drugiej zmianie. Zal przeszywa mi serce. I to mnie wkurza. Wprawia w konsternację. Miętoszę w palcach torebkę keczupu.

Na szczęście nie widzę też jego kuzynów. Co do nich nie mam wątpliwości. Należy ich za wszelką cenę unikać. Xandra z tymi jego przebiegłymi oczyma i Angusa z grymasem na ustach. Nie wiem, jak zniosłabym widok Tamry siedzącej z nimi przy jednym stole. Brooklyn to jedno. Ale oni?

- Twoja siostra świetnie tam pasuje - komentuje Catherine.
- Tak - bąkam, otwieram puszkę z napojem i usiłuję udawać, że to akceptuję. Bo akceptuję. Akceptuję. To ma sens. Ona powinna do nich pasować. Przecież sama jest w zasadzie człowiekiem. Zawsze uwielbiała wycieczki do miasta - wszędzie, gdziekolwiek odważaliśmy się zapuszczać w zewnętrzny świat, poza stado.
- Jest w tym dobra - mamroczę.
- W czym?
- W dostosowywaniu się - odpowiadam, popijając gazowany napój pomarańczowy. Takich niezdrowych rzeczy mama nigdy nie pozwala nam pić. Cytrusowy smak łaskocze i parzy mi gardło. Cierpki aromat wypełnia nos.
- Dlaczego nie siedzisz tam z tymi ślicznotkami? Wzruszam ramionami.
- Mogłabyś - wtrąca cicho Brendan, skubiąc skórę kanapki, a na jego ustach pojawia się nieśmiały półuśmiezek. - Jesteś taka ładna jak ona.
- Jasne - Catherine obdarza go żartobliwym szturchańcem. - To bliźniaczki. Uśmiecham się. Już chcę zjeść chipsa, ale zatrzymuję rękę w połowie drogi do ust.
- Czy tylko tyle potrzeba? Wystarczy być atrakcyjnym, żeby trzymać się z tamtą paczką? Ty też jesteś ładna. Musi chyba chodzić o coś więcej. - Chrupię chipsa, otwieram hamburgera i sprawdzam jego podejrzaną zawartość. Po czym marszcząc nos, z powrotem składam bułkę.
- W każdym razie twoja siostra powinna uważać. Brendan Oszczędnościowy dodaje:
- Zrobią z niej jedną z nich. Jakby to były wampiry.

Jego prorocze słowa przyprawiają mnie o lekki dreszcz, jednak szybko się z niego otrząsam. Tamra i ja jesteśmy siostrami. Kochamy się. Nigdy byśmy się wzajemnie nie zraniły. Nic tego nie zmieni. Może nareszcie przyszedł czas, żeby i ona się gdzieś odnalazła.

Catherine kiwa głową, odgarniając grzywkę z morsko-niebieskich oczu.

- On ma rację. Ty nie chcesz, żeby ona stała się jedną z nich.

Ja nie chcę wielu rzeczy. Nie chcę być tutaj. Nie chcę zatracić siebie w tym nowym, wysysającym życie świecie. Moja siostra w „gwiazdorskim” towarzystwie? Czy mam to dodać do tej listy? Nawet jeżeli to ją uszczęśliwia?

Catherine wymachuje hamburgerem w dłoni.

- Mówię ci, te dziewczyny to zgraja wilków.

Nie mam ochoty się tym zamartwiać, chcę po prostu przebrnąć przez ten dzień i podjąć jakąś decyzję w sprawie Willa. Odparowuję więc żartem:

- Ty to naprawdę tryskasz optymizmem! Potrafisz człowieka podbudować. Założę się, że jesteś cheerleaderką.

Brendan prychnął.

Usta Catherine wyginają się w podkówkę, a jej przerażoną twarz zalewa obfity rumieniec. Wzrusza ramionami.

- No dobra, może w przypadku Brooklyn mam w tym swój interes.

- Naprawdę? - pytam ironicznie.

- Kiedyś były najlepszymi przyjaciółkami - wyjaśnia ochoczo Brendan. - W pierwszej klasie liceum.

- Mówiłam ci, żebyś nigdy o tym nie wspominał.

- Naprawdę? - pytam znowu, tym razem już bez cienia ironii.

- No tak. Skończyło się to w pierwszym tygodniu pierwszej klasy, kiedy bogowie popularności...

- Starszyzna z ostatniej klasy - wtrąca Brendan.

- ...wybrali Brooklyn na swą małą protegowaną. - Catherine wzrusza ramionami. - Od tamtego czasu jestem tylko złym wspomnieniem.

Nie potrafię powstrzymać się od myśli o Cassianie, o sobie i innych utalentowanych dragonach, które stado uznaje za bezcenne. Mieliśmy szczęście. Tam ja byłam podziwiana, ceniona. Tymczasem Tamry w ogóle nie dostrzegano. Jej i innych, którzy nigdy się nie przemienili.

To zabawne. Tutaj ja się nie liczę. W oczach moich rówieśników jestem zbyt cenna. Obca, dziwna dziewczyna, źle czująca się w swojej skórze... hm, w swej ludzkiej skórze. Nieodnajdująca się w tym otoczeniu. Niewiedząca, jak rozmawiać, ubierać się, postępować.

Wszystko to tym bardziej sprawia, że chciałabym wrócić w rodzinne strony. Do stada. Nawet jeżeli ono faktycznie próbuje przejąć nade mną kontrolę. Tam przynajmniej jestem sobą.

Powoli narasta we mnie pewność. Muszę utrzymać dragonkę przy życiu, żeby móc tam wrócić. Myśl o jej powolnej śmierci przeraża mnie, wpędza w rozpacz. Rozpacz na tyle silną, by zrobić coś, czego nie powinnam.

By przyjąć propozycję Willa.

- Prawdopodobnie zastanawiasz się, co przeskrobałaś w poprzednim życiu, że wylądowałaś w naszym towarzystwie - mówi Catherine, maczając frytkę w keczupie, a jej liczne pierścionki połyskują, gdy porusza palcami.

-Jejku, dzięki... - bąka Brendan. Catherine spogląda na niego.

- Nie bądź taki przewrażliwiony. Wiesz, że cię uwielbiam.

Odsuwam od ust mój prawie nietknięty hamburger.

- Ależ skąd. Cieszę się, gdy ktoś chce się ze mną zaprzyjaźnić.

- Hej, Jacinda! - woła Nathan, który na wpeł podnosi się ze swojego miejsca przy innym stole. Macha i ruchem głowy zaprasza mnie do siebie.

Uśmiech Catherine znika. Sięga po następną frytkę, unikając mojego wzroku.

- Pełno ludzi chce się z tobą zaprzyjaźnić. No idź, usiądź z Nathanem. To przyzwoity gość, beznadziejnie różowa koszulka i takie tam. Nie będę mieć ci tego za złe.

Swobodnie odmachuję Nathanowi, ale pozostaję na swoim miejscu.

- Dobrze mi tu, gdzie jestem. - odpowiadam. Dobrze przynajmniej pod tym względem. W towarzystwie Catherine i cichego Brendana. Są mało absorbujący. Nieskomplikowani. Łatwo z nimi przebywać, gdy wszystko inne jest tak trudne. Tego właśnie potrzebuję. - Chyba że chcesz, żebym sobie poszła.

- Nie - po twarzy Catherine przemyka uśmiech. - Zostań.

Kiwając głową, sięgam po kolejnego chipsa. Wzrokiem błędzę po sali, patrzę na siostrę. Włosy miękko opadają jej na ramiona, błyszczą jak rozpalony jedwab.

Ten sam chłopak, który szedł z nią wczoraj korytarzem, siedzi teraz obok niej. Po przeciwnej stronie stołu inny rywalizuje o jej uwagę. Fajni faceci. Serce mi trochę rośnie. Ze względu na nią. Cieszę się jej szczęściem i jestem pod wrażeniem jej talentu do flirtowania. Kto by pomyślał? Cassian nie był przecież jedynym, który ją odrzucił. Chłopcy ze stada rzadko kiedy z nią rozmawiali. Nie mogli. Ich rodziny za bardzo się obawiały, że związałyby się z martwą dragonką. Ryzykowałyby skażenie swoich zasobów genetycznych.

Odwracam wzrok, patrzę na tacę. Przykro mi, że nie mogę podzielać jej przyjemności. Że muszę robić wszystko, co w mojej mocy, by jakoś znosić to życie, które jej daje tyle szczęścia. Przykro mi, że może ostatecznie przegram tę bitwę i będę musiała opuścić siostrę.

ROZDZIAŁ 10

Dzień wlecze się w nieskończoność. Zupełnie jakby siódma lekcja miała nigdy nie dojść do skutku. Wskazówki na okrągłym ściennym zegarze pełzną, nerwowymi drgnięciami przesuwają się z minuty na minutę. Gdy wreszcie docieram do sali zajęć własnych, puls w moich uszach dudni w rytmie wskazówek.

Przez chwilę waham się w drzwiach i lustruję prawie pustą klasę. Nareszcie. Teraz znowu go zobaczę. Serce wali mi jak młotem, siadam przy tym samym stole co wczoraj i mam nadzieję, że on pojawi się tu przed Catherine. I że nie będę musiała jej tłumaczyć, że ja chcę z nim siedzieć. Bo faktycznie tak jest - uświadamiam to sobie i godzę się z tą myślą. Chcę z nim siedzieć, rozmawiać z nim, widywać go, umawiać się z nim... Chcę tego wszystkiego. No, w każdym razie, dopóki tu jestem. I to nie tylko dla dobra mojej dragonki. Polubiłabym Willa Rutledge'a niezależnie od tego, kim bym była.

Rzucając mi przelotny uśmiech, Nathan gwałtownie skręca do innego stolika. Przynajmniej nie muszę się obawiać, że on będzie próbował znów ze mną siedzieć. W po-

wietrze rozlega się pierwszy dzwonek. Mój oddech staje się coraz szybszy. Obserwuję drzwi. Lada chwila.

Do klasy wpada Catherine, jej długa grzywka jest rozwiana. Próbuję ukryć rozczarowanie, gdy to ona, a nie Will siada koło mnie. Ostatni dzwonek. Nadal czekam, wyglądam Willa.

Przy tablicy pan Henke recytuje te same stwierdzenia co wczoraj. Tymczasem ja wciąż wpatruję się w drzwi.

- Nie ma go.

Wzdrygam się na dźwięk głosu Catherine.

- Kogo?

- Willa. Widziałam, jak on i jego kuzyni wychodzili podczas piątej lekcji.

Wzruszam ramionami, jakby mnie to nie obchodziło. Jakbym nie powzięła decyzji o randce z nim.

Jakby mnie o nią nie prosił. Jakby każda cząstka mojej istoty nie szlochała z tęsknoty za nim.

- Spoko. Po tym iskrzeniu między wami wczoraj i dziś na wuefie, doszłam do wniosku, że go wypatrujesz.

Nie odpowiadam. Ręce mi drżą. Chowam je pod stołem. Liczyłam na to, że go zobaczę. Że znów poczuje się dragonką. Że on tchnie we mnie życie, przypomni mi... mnie. Potrzebowałam tego, a teraz, gdy tego nie mam, czuję się zdruzgotana. To rozczarowanie mnie przytłacza.

Catherine sięga do plecaka. Moja desperacja okazuje się na tyle silna, że pytam:

- To gdzie on jest?

Zupełnie, jakbym oczekiwała, że ona to wie.

- Proszę. - Kładzie na blacie kartkę i przesuwając ją w moją stronę. - Dał mi to, żebym ci przekazała.

Długo wpatruję się w kwadrat poskładanego papieru, a serce wali mi jak oszalałe. W końcu sięgam po kartkę. Papier jest chłodny i szeleści pod moimi drżącymi pal-

cami, gdy go rozkładam, starannie wyglądam zagięcia i studiuje charakter pisma.

Jacinto,

przepraszam, ale musiałem wyjechać z miasta w sprawach rodzinnych. Postaraj się nie zatłuc innych nauczycieli podczas mojej nieobecności.

Do zobaczenia wkrótce (choć nie tak szybko, jak bym chciał).

Will

Z ust wyrywa mi się westchnienie. Potrząsam głową, w której mi się kręci. To szaleństwo. Żebym ja usychała z tęsknoty za myśliwym. A myśliwy za mną. Powinnam być mądrzejsza, nawet jeżeli on nie zdaje sobie sprawy z tych faktów. Tym bardziej że on nie może ich pojąć.

- On i jego kuzyni często opuszczają szkołę - ciągnie Catherine.

Jestem w stanie w to uwierzyć. Niewiele ponad tydzień temu byli na północ stąd. Ścigali mnie w Górach Kaskadowych. Nie sądzę, żeby ograniczali się do weekendowych polowań. Na pewno opuszczają szkołę.

- Naprawdę? - Dotykam palcami ust. Sprawiają wrażenie spierzchniętych. Są wysuszone jak reszta mnie.

- Uhm. - Catherine wyjmuję książkę do chemii, otwiera układ okresowy i zaczyna wypełniać arkusz z ćwiczeniami. - A wiesz, dlaczego tyle opuszczają?

Potrząsam głową, mimo że wiem. O wiele lepiej niż ona. Serce się we mnie ściska... coraz mocniej... i mocniej...

- Ich rodzina ma bzika na punkcie wędkarstwa mucho-wego. Mocne, nie? Wagarują, żeby łowić rybki.

- Wczytuje się w zadania na arkuszu i bębni czubkiem ołówka o stół. Ten dźwięk jest jak echo mojego kołającego serca. Odsuwam krzesło, kurczowo trzymając się brzegu stołu.

Wędkarstwo muchowe. To byłoby nieomal zabawne. Gdyby nie ten ból w mojej klatce piersiowej.

Catherine mówi dalej:

- Wyjeżdżają na te wyprawy prawie co... Jacinda, dobrze się czujesz?

Will wyjechał... żeby znowu polować. Prawdopodobnie w tę samą okolicę, gdzie o mało co mnie nie schwytali. Polują na moje stado.

Will nie jest moim wybawcą. To zabójca.

To pobudka, której potrzebowałam. Głupia jestem, sądząc, że myśliwy mnie ocali. Ochroni. Utrzyma przy życiu. Znajdę inny sposób. Moja pięść zaciska się na jego liście, zbijając go w kulkę. Zapomnę o Willu. Zerwę wszelką więź, jaką z nim odczuwam. Tyle, że to postanowienie ani trochę nie poprawia mojego samopoczucia. Ból w piersi jest jeszcze silniejszy.

W ciągu kilku następnych nocy dwa razy udaje mi się wymknąć na pobliskie pole golfowe, żeby polować. Po każdej z tych prób czuję się okropnie. Przemiany są bolesne i trudne, ale nie odpuszczam. Muszę latać. Nawet gdyby Will tu był, musiałabym to robić - uczyć się, jak w pełni samodzielnie utrzymać dragonkę przy życiu.

Pracuję też nad mamą. Marudzę i argumentuję przy każdej sposobności, jaka mi się nadarza. Póki co nie zaczyna patrzeć na mnie bezbarwnie, cicho i już się nie kłóci, ale nadal jest nieugięta w kwestii pozostania w Chaparral. Tego wieczoru jednak to Tamra wierci jej dziurę w brzuchu.

Mama odwraca się od kuchenki, w rękę trzyma łyżkę oblepioną sosem pomidorowym.

- Ile? - pyta znowu tonem pełnym niedowierzania. Za jej plecami unosi się para z garnka z makaronem.

Usiłuję nie patrzeć na tę kłębiącą się chmurę, która przy-

pomina mi mgłę z naszych rodzinnych stron. Zaczyna mnie boleć skóra.

Zmuszam się, by znów patrzeć na mamę. Widać, że jest zmęczona, wyglądem bardziej zbliżona do swego rzeczywistego wieku, czyli pięćdziesięciu sześciu lat. Dragony starzeją się inaczej, wolniej. Nasza średnia długość życia wynosi około trzystu lat. Po osiągnięciu dojrzałości proces starzenia ulega spowolnieniu. Teraz wyglądam prawie na swoje lata, ale wygląd nastolatki zachowam na kilka następnych dekad. Nawet po trzydziestce.

Czas jednak dogania mamę. To konsekwencja rezygnacji z bycia dragonką. Teraz jest człowiekiem i tak też wygląda. Na czole ma zmarszczki. Kurze łapki wokół oczu. Te rysy są trwałe. Już nie pojawiają się tylko wtedy, gdy jest zmartwiona.

Stoję przy stole z trzema talerzami w ręku i przyglądam się, jak Tamra wymachuje ulotką, zręcznie unikając odpowiedzi na pytanie mamy.

- Zgódź się, mamó. To świetnie wygląda w podaniu do college'u.

Spuszczam wzrok. Ustawiam talerz na podkładce. Ukrywam fakt, że przewracam oczami.

Oto, czego chce Tamra. Powinnam starać się ją wspierać. I próbować nie krztusić się na widok siostry w towarzystwie Brooklyn i jej koleżanek.

- Tamra, to mnóstwo pieniędzy.

- Których nie mamy - nie mogę się powstrzymać od dodania tych słów, bo widzę, jak ciężko pracuje mama. Zatechły dym papierosowy z kasyna przylgnął do niej i nie ustępuje nawet po wzięciu prysznicą i umyciu włosów. Przesiąkła nim. Zagnieżdżył się głęboko w porach jej skóry.

Tamra rzuca mi gniewne spojrzenie. A ja twardo je odwzajemniam. Czy ona nie widzi cieni pod oczami mamy? Czy nie widzi, jak wraca do domu o piątej nad ranem?

- Mogę znaleźć jakąś dorywczą pracę. Proszę, mamó. Podpisz tylko ten formularz. Nie wiemy przecież nawet, czy dostanę się do drużyny. Musimy zapłacić tylko wtedy, gdy się dostanę. - Desperacja w głosie Tamry jest czymś nowym. Przedtem, w stadzie, widywałam ją tylko w jej oczach. Nigdy jednak nie słyszałam w jej wypowiedziach. Tam pragnęła wielu rzeczy, ale biernie przyjmowała życie takim, jakim było. Ciekawe, dlaczego teraz tak bardzo jej zależy? Wyskakuję z tym pytaniem bez zastanowienia. Siostra patrzy na mnie, a jej oczy przypominają twarde bryłki bursztynu.

- To coś, o czym nigdy nawet nie śmiałam marzyć, a teraz to jest możliwe. I pojmuję. Teraz może to mieć. Normalność. Akceptację. Dopóki pozostaniemy w Chaparral. Czuję na sobie to brzemie. Wiem, że to, czy nam się tu uda, w dużym stopniu zależy ode mnie. To część jej fantazji. Marzenia o byciu normalną dziewczyną wiodącą normalne życie. Dla niej cheerleaderstwo jest kawałkiem zwyczajności, której pragnie. Mama wpatruje się w formularz zezwolenia, bruzdy wokół jej ust się pogłębiają. Jeśli podpisze, Tamra będzie mogła wziąć udział w eliminacjach, a jeżeli dostanie się do drużyny, będziemy musiały wyłożyć pieniądze na stroje i inne materiały. Nie mam wątpliwości, że Tamra wejdzie do drużyny. Z ciekawością obserwuję, co zrobi mama. Czy skapituluje przed przynajmniej jedną córką. Wiem, że to co innego, ale nie mogę opędzić się od myśli: „Dlaczego ona nie przejmuje się tym, czego ja chcę?”.

Mama kiwa głową, a w tym ruchu widać zmęczenie i porażkę. - Dobrze.

W tej samej chwili ja też mam poczucie klęski.

Od wyjazdu Willa moje życie popadło w spokojną rutynę. Szkoła, kolacja z mamą, zadania domowe, słuchanie muzyki i oglądanie telewizji z Tamrą.

Przemierzam korytarze jak robot. Moja dragonka powoli kona. Cierpi w milczeniu i ulatuje w ciemność. Niczym gojąca się rana mniej pulsuje, mniej boli, jest mniej odczuwalna. Jak szalenie mam ochotę rozerwać ją, szeroko rozpruć poszarpane brzegi... sprawić, by krwawiła. By pamiętała.

W piątek zastanawiam się, czy Willowi coś się nie stało. Prawie co chwilę rozmyślam, gdzie jest, gdzie poluje. Moje stado nie jest jedynym, ale nie utrzymujemy kontaktów z innymi, więc nie mam pojęcia, gdzie one są... i gdzie mógłby być Will.

Wiem, że to nie w porządku, ale mam nadzieję, że jego rodzina poluje na inne stado. Byle nie na moje.

Chcę, żeby ci, których opuściłam, byli bezpieczni - Az, Nidia... a nawet Cassian.

W odniesieniu do Willa mam mieszane, okropne odczucia. W jednej chwili chcę, żeby szczęśliwie powrócił, ale zaraz potem modlę się, żeby dragon, którego on tropi, był wolny i bezpieczny. Dwa sprzeczne pragnienia.

Powtarzam sobie, że moje stado nie jest zagrożone. Nie jesteśmy słabym gatunkiem. Mamy nasze talenty, mocne strony. Gdy niewinni turyści zabłąkają się we mgle Nidii, ona przyćmiewa ich pamięć i wyprowadza z powrotem poza nasz teren. Ale co z myśliwymi?

Wzdrygam się. To jedna z tych rzeczy, o których się nie dyskutuje, ale są oczywiste. Stado musi być chronio-

ne. Nawet jeżeli Nidia zamroczyłaby pamięć myśliwego, to on i tak mógłby powrócić, by na nas polować. Zawsze pozostanie drapieżcą.

Drapieżcą, którego należy zniszczyć.

Do tej pory nigdy nie upatrywałam w tej praktyce niczego złego. Zwłaszcza po tym, co przytrafiło się tacie. Teraz jednak...

Widzę tylko twarz Willa. Na myśl o jego śmierci czuję ucisk w gardle. To jest chłopiec, który mnie oszczędził. Którego uroda wydaje się nieprawdopodobnym snem, wręcz nierealnym teraz, po tylu dniach, odkąd ostatnio go widziałam.

- Hej, Jacinda.

Przestraszona podnoszę wzrok. Znajoma twarz. Chyba chodzi ze mną na angielski.

- Hej - odpowiadam. Nie pamiętam jej imienia. Idąc korytarzem, staram się obudzić. Wyłączyć autopi-

lota. Stałam się jak pustynia, która otacza mnie z każdej strony. Sucha i jałowa. Przyzwyczajona do życia w stanie nicości.

Właśnie to. Ta cicha rutyna. Usypiający przyływ jej akceptacji grozi pochłonięciem mojego jestestwa. Mama ma rację. Nic tak skutecznie nie zabija dragońskiej natury jak pustynne środowisko. Nie mogę trwać w tym stanie. Nie wolno mi pozostać tutaj. Muszę znaleźć jakieś wyjście. Muszę latać, kontynuować próby.

Przed wejściem do sali zajęć własnych głęboko nabieram powietrza. Na wuefie nie widziałyśmy dziś chłopców. Ćwiczyli w siłowni, tymczasem my szarpałyśmy się w sali gimnastycznej. Nie wiem, czy Will wrócił, ale powtarzam sobie, że to i tak nie powinno mieć żadnego znaczenia. Nie mogę się z nim umówić ani pozwolić sobie na zaufanie mu. Nie zrobię tego.

Wielkie słowa. Czuję się jak oszustka, bo mimo że przysięgałam zapomnieć o nim, nie zapomniałam. Pamiętam wszystko, co ma z nim związek. Odczuwam jego nieobecność tak jak utratę zachmurzonego nieba, mgieł i pulsującej gleby.

On nie może być chyba wszystkim, co pamiętam, wszystkim, co tak bardzo pragnę znowu zobaczyć. Nawet jeżeli wiem, że to niewłaściwe. I że powinnam go unikać.

Gdy wchodzę do klasy, tracę pewność siebie na widok siedzących z tyłu Xandra i Angusa. Po karku przebiega mi zimny dreszcz.

Wrócili.

ROZDZIAŁ 11

Od razu rozglądam się za Willem. Nigdzie go nie widzę.

Moje zdradzieckie serce przystaje. Xander przygląda mi się nieprzeniknionymi, czarnymi jak smoła oczyma. Wita mnie skinieniem głowy. Angus rozmawia z dziewczyną w sąsiedniej ławce, jego wielkie, niszczycielskie ręce poruszają się w powietrzu. Nie zauważa mnie.

W głowie kołacze mi się tylko jedna rozpaczliwa myśl. Nie ma Willa. Nie ma Willa.

Osuwam się na krzesło. Patrzę tępo przed siebie. Catherine jeszcze nie dotarła do klasy. Ma do pokonania długą drogę z budynku, w którym odbywają się lekcje wychowania plastycznego.

Pocieram dłonie o džinsy. Uczniowie już ustawiają się w kolejce, czekają na przepustki, szukają drogi ucieczki. Czuję na plecach wzrok Xandra i zastanawiam się nad dołączeniem do ogonka.

Dopiero co wrócił z polowania. Czy dragońska krew, purpurowa i opalizująca, plami jego ręce? Czy on jak posokowiec potrafi zwietrzyć ofiarę? Dragona? Mnie? To wyjaśniałoby tę zachłanność, z jaką mnie obserwuje.

Ciszę rozdziera dzwonek. Z czasem przywykłam do tego dźwięku. Już prawie nie podskakuję, gdy go słyszę. Ogarnia mnie poczucie beznadziejności. Mrugam, mocno zaciskając powieki. Przecież nie chcę się do niczego tutaj przyzwyczajać.

- Hej, Jacinda. Chcesz iść do biblioteki ze mną i Mikiem? - przy moim stole zatrzymuje się Nathan. Na jego chłopięcej, zaokrąglonej twarzy rysuje się swobodny uśmiech.

- Dzięki, ale nie. Zostanę tutaj z Catherine.

Wzruszywszy ramionami, Nathan i jego kolega ustawiają się w kolejce po przepustki, a ja zastanawiam się, czy nie powinnam była do nich dołączyć. Czy nie zrobić tego teraz.

Zaraz potem moje myśli o ucieczce ulatują. W piersi zaczyna buzować wibracja, za którą tak bardzo tęskniłam. Rozsadza moje jestestwo. Skóra ożywa. Obracam głowę i wyostrzam wzrok, koncentrując się na Willu, który właśnie wchodzi do klasy.

Jasność, która od niego bije, jest intensywniejsza, niż miałam to w pamięci.

Złociste pasemka w jego włosach. Błysk orzechowych oczu. Wzrost. Szerokość ramion. Przy nim każdy chłopak wygląda na chuchro, małolata i głuptasa.

Nagle dni bez niego wydają się wiecznością. Zbyt długo czekałam na tę chwilę. Na ujrzanie go. Na ucisk w płucach. Na łomotanie serca o żebra.

Na przebudzenie dragonki.

Napotyka mnie wzrokiem, w orzechowych oczach pojawia się jasność i głód, który sprawia, że pali mnie skóra. Jego oczy nie są jedynymi, które na sobie czuję. W plecy głęboko wrzyna mi się świdrujące spojrzenie Xandra.

Will zbliża się do mojego stołu, a reszta świata przestaje istnieć. Zapominam, że mam się od niego trzymać

z daleka. Tak blisko Willa nie czuję nawet strachu, jakim napawa mnie Xander. Chcę tylko, żeby Will się zatrzymał, coś powiedział, podziałał swą magią na moją usychającą duszę. Potrzebuję tego. Teraz jest już prawie przy mojej ławce. Płuca mi puchną, tłą się. W gardle zbiera się dym. Cudowne uczucie. Życie.

Moja napinająca się skóra piecze, przez ułamek sekundy delikatnie mieni się czerwienią i złotem. Zaciskam dłoń na ramieniu tak mocno, że aż bołą palce. Tak jakby ręka mogła powstrzymać mnie przed przemianą w sali pełnej ludzi.

Will jest teraz tak blisko, że dostrzegam plamki zieleni, złota i brązu w jego oczach. Jeszcze tylko jeden krok i będzie przy moim stole.

Wstrzymuję gorący oddech. Obserwuję Willa, szukając jakiegoś znaku...

Jednak on nie patrzy na mnie, tylko dalej ponad moją głowę, tam gdzie siedzą kuzyni. Po jego twarzy coś przebiega, drobna fala, która całkowicie zmywa fascynującą intensywność. Ze znudzonym wyrazem twarzy mija mnie miotaną dreszczami.

To chłodne odrzucenie pozbawia mnie tchu. Zar z powolnym skwierczeniem ulatuje przez nos. Ogień w moich płucach gaśnie, rozsypuje się w drobne, rozżarzone węgielki.

Nic? Ani słowa?

Przypominam sobie ostatni raz, kiedy się widzieliśmy. Myślę o liście, który mi zostawił. To bez sensu. Ręce mi się trzęsą. Łączę je i mocno zaciskam. Nie powinnam czuć się tak zdruzgotana. Ostatecznie przecież postanowiłam go unikać. Zakończyć to, jeszcze zanim się zaczęło.

Dzwonek rozlega się akurat w chwili, gdy Catherine sadowi się obok mnie. Jej jasne oczy iskrzą się w surowym świetle klasowych jarzeniówek.

- Hej - mówi zdyszana po długiej wędrówce z wychowania plastycznego. - Co słyhać?

Zerka przez ramię i kontynuuje łagodnym tonem:

- Widzę, że wrócili. Och... oto i on.

Kątem oka obserwuję, jak Will mija nasz stół, dyskretnie opuszczając liścik tuż przy łokciu Catherine.

Jej usta wykrzywają się w uśmiechu.

- To chyba do ciebie.

Gniewnie patrzę na kartkę i opieram się pokusie sięgnięcia po nią.

- Nie chcę tego. Podrzyj to.

Catherine rzuca mi zaskoczone spojrzenie.

- Mówisz poważnie?

Zgarniam liścik i drę na drobne kawałeczki, tymczasem Will bierze przepustkę od pana Henkego. Gdy odwraca się, by wyjść z klasy, nasze oczy spotykają się na krótką chwilę. Jego wzrok prześlizguje się po małym stosie podartego papieru. Oczy mu ciemnieją jak las, nad którym zawisły chmury, a ja czuję ucisk w sercu.

- Nnnno doobra. - Catherine przenosi wzrok z podartej kartki na mnie. - Niezły teatr. Powiesz mi, co się dzieje?

Niezdolna wydusić ani słowa potrząsam głową, otwieram książkę do chemii i ślepo się w nią gapię, wmawiając sobie radość z tego, że mnie zignorował. To mi było potrzebne, bym przypomniała sobie o przysiędze trzymania się od niego z daleka. Cieszę się nawet z tego, że podarłam kartkę. I że on widział ten mały zniszczony stosik.

Dziś wieczorem bardziej niż kiedykolwiek potrzebuję wzbić się w powietrze, ponownie spróbować.

Mogę polegać tylko na sobie i to mi wystarczy. Muszę w to uwierzyć. Przedtem zawsze tak było.

W nocy wysuwam się spod koca i odnajduję buty w nogach łóżka. Zapamiętałam wcześniej, gdzie je zostawiłam, aby nie szukać po ciemku i nie ryzykować obudzenia Tamry.

O tej porze w pokoju panuje ciemność. Przez żaluzje nie przebija zewnętrzne światło. Ta strona pomieszczenia, która należy do Tamry, jest mroczna jak grobowiec. Mam nadzieję, że noc na zewnątrz okaże się równie ciemna. I pochmurna. Chmury i mrok. Idealna osłona.

Zaczepiwszy na ugiętych palcach dłoni zapiętki butów, wykradam się z sypialni, zamierając przy każdym skrzypnięciu podłogi. Wstrzymuję oddech, cicho przemykam przez dom i wypuszczam powietrze dopiero wtedy, gdy bezpiecznie wydostaję się na zewnątrz.

Światła u pani Hennessey są wyłączone. Na szczęście jej hałaśliwy piesek nie zaczyna ujadać na ciche szcęknięcie furtki.

Na ulicy przykucam na krawężniku i wkładam skarpetki i buty. Zawijając sznurówki, spoglądam w niebo. Bezchmurna pełnia księżyca. Co za pech. To jednak za mało, bym zmieniła zdanie.

Ruszam pieszo na pole golfowe, które już wcześniej odwiedzałam, i wmawiam sobie, że dziś będzie inaczej. Że z łatwością się przemienię, wzbiję się wysoko, popłynę w przestworzach tak jak niegdyś... w naturalny sposób. Pokonuję osiem kilometrów w dobrym czasie. Pole wznosi się niczym zielona fala wzburzonego morza - nagła odmiana pośród otaczających je skał i pustyni.

Ukradkiem rozglądam się dookoła i wkraczam w świat pulsującej, soczystej zieleni. To najobfitsza forma wegetacji, jaką widziałam od wyjazdu z gór. Gdyby nie gorąco, suchość, która powoduje łamliwość włosów i swędzenie skóry, mogłabym prawie udawać, że pustynia zniknęła.

Zdejmuję buty i staję na trawie, delektując się miękką murawą pod stopami. Mijam pasmo piasku, strategicznie ustawioną grupę głazów. Przede mną lśni tafla stawu. Mój krok wydłuża się, gdy dochodzę do małego zagajnika. Zrzucam ubrania, a suche, nagrzane powietrze otula moje ciało. Głęboko westchnąwszy, unoszę twarz i wdycham rozrzedzone, nagrzane powietrze, chłonę je, wypełniam nim płuca. Wyciągam ramiona, pełna zapału do przemiany...

Zamykam oczy i skupiam się jak nigdy przedtem.

Nie! Jest nawet trudniej niż poprzednimi razy.

Kości twarzy wciągają się i wyostriają, tworząc kanciaste rysy. Oddech przyspiesza, gdy unosi się nos, grzbiet wygina się z lekkim trzaskiem kości i chrząstek. Trochę boli. Jakby mojemu ciału to się nie podobało. Jakby z tym walczyło, nie chciało, by przemiana się dokonała.

Stopniowo kończyny się rozluźniają i wydłużają. Ludzka skóra znika i zastępuje ją grubsza, dragońska, opinająca zwartą tkankę.

Po policzku spływa mi gorąca łza. Z ust wyrywa mi się jęknięcie. Przekraczam granicę.

Moje ciało rozmywa się, mieni się złotem i czerwienią. W klatce piersiowej wzbierają głębokie, wibrujące pomruki.

Wreszcie uwalniają się skrzydła, ich cieniutka membrana rozwija się szeroko za moimi plecami, trzepocząc w rozrzedzonym powietrzu. Natychmiast odbijam się od ziemi i chce mi się płakać z ogromnego wysiłku, nieprawdopodobieństwa tego wszystkiego.

Czuję piekący ból w mięśniach, ich krzykliwy bunt. Skrzydła dziko łopoczą, unosząc mnie w górę - w powietrze, któremu brakuje gęstości, substancji. Skrzydła walczą o punkt oparcia, o coś namacalnego, z mozołem próbują nieść wyżej. Jakie! To! Trudne!

Wznoszę się, z wysiłku brakuje mi tchu. Łzy rozpaczy gryzą mnie w oczy, rozmywają pole widzenia. A przecież to wilgoć, której wcale nie chcę tracić.

Daleko pode mną faluje zieleń. Mrugam powiekami, rozglądam się, koncentrując się na czerwonych dachach, które ciągną się aż po horyzont. W dali, na autostradzie migoczą maleńkie światła samochodów. A jeszcze dalej rozciągają się góry - jak płyn rozlany na czarnym dnie nocy.

Zawisam w atramentowych przestworzach, skrzydła głośno trzepoczą w powietrzu.

Coś jest z moim ciałem nie tak. Nawet płuca sprawiają dziwne wrażenie... są takie małe. Bezsilne i zwyczajne. Już nawet zimna Jacinda-człowiek wydaje się naturalniejsza. To sprawia, że mam ochotę krzyczeć. Rozpaczać.

Nadal jednak zmuszam się do lotu nad zielonym polem golfowym, próbuję nabrać szybkości, ale uważam, by nie wylecieć poza ten teren - na wypadek gdybym nie zdołała utrzymać dragońskiej postaci. Łykam powietrze, wpompu-wuję je w siebie dużymi haustami. To nie pomaga. Nie wypełnia mnie. Nie rozszerza moich kurczących się, wysychających płuc.

Wytrzymuję, walczę, aż mój zmęczony oddech jest jedynym dźwiękiem, który dudni mi w głowie. I w końcu kapituluję, zatrzymuję się i obniżam lot, zataczając szeroki krąg. Jak umierająca ćma.

Zdyszana ląduję i wracam do zagajnika. Przemieniam się w człowieka. Zginam się w pasie, ściskam żołądek - moje ciało karze mnie za to, czym już nie chce być. Spazmy targają mną tak, że wymiotuję.

Okropne, obrzydliwe odgłosy. Bezkresny ból.

Jedną ręką chwytam się drzewa, wbijam palce w korę. Czuję, jak pod siłą nacisku pęka mi paznokieć.

Wreszcie i to ustaje. Drżącymi rękoma ubieram się, a potem osłabiona padam na plecy, szeroko rozkładam ramiona, rozpościeram dłonie. Kompletny bezwład. Bicie serca słabnie, aż staje się głuchym, upiornym odgłosem, który da się wychwycić tylko w nadgarstkach.

Gleba pode mną jest cicha. Nie wyczuwam żadnych kamieni szlachetnych. Żadnej energii. Pod dywanem murawy znajduje się jedynie twarda, martwa ziemia.

Zwijam dłoń w pięść i uderzam nią o podłogę. Mocno. Ale to nic nie daje. Pod cieniutką kołdrą z trawy ziemia nadal śpi. Nie ma w niej serca.

Przez korony drzew wpatruję się w czerń nocy. Na chwilę potrafię siebie oszukać. Poudawać, że nic mnie nie boli. Połudzić się, że jestem znowu w domu i patrzę w noc poprzez grubą plataninę sosnowych konarów. Wokół mnie jest gęsty, żywicielski las, który czule osłania mnie i chroni.

Obok mnie leży Az. Razem patrzymy w niebo, rozmawiamy, śmiejemy się, nie martwimy się o jutro. Jeszcze przez chwilę się łudzę. Jak głupia uśmiecham się w ciemności, dobrze bawiąc się tą grą w udawanie, wspominając lata, gdy wszystko było łatwe, a ja musiałam tylko znosić ciemnookie spojrzenia Cassiana.

Z perspektywy czasu wydaje się to zaledwie uciążliwą błahostką. Teraz, kiedy nastąpiło to piekło.

ROZDZIAŁ 12

W końcu podnoszę się i wracam do domu. Dom. To słowo nie daje ani krzty otuchy.

Idę powoli. Ciało ciąży mi z każdym krokiem i boli, jakbym została pobita. Noc jest cicha. O tej późnej porze w okolicy nie jeżdżą samochody. Podeszwy butów szurają po bruku. Podążam krętymi chodnikami, obserwując, jak stopy jedna po drugiej opadają na wypalony przez słońce beton. Skręcam w swoją ulicę.

Podnoszę głowę dopiero wtedy, gdy jestem blisko naszego domu.

Na przeciwległym rogu pojawiają się reflektory samochodu. Są coraz bliżej. Cofam się na brzeg chodnika, jak najdalej od jezdni. Pojazd znajduje się już prawie na wysokości ogrodu pani Hennessey. Jego silnik wydaje z siebie głęboki warkot.

Zwalnia. Ja też.

Nie chcę, by ktoś przyuważył mnie poza domem tak późno w nocy. Nie chcę, żeby jakiś znajomy pani Hennessey albo inny sąsiad wspomniał o tym mojej mamie.

Teraz już widzę, że to nie jest zwykły samochód. Może to ciężarówka? Gdy podjeżdża bliżej chodnika, przednia

szyba połyskuje jak lustro. Przeszywa mnie dreszcz, a puls rozrywa mi szyję. Naoglądałam się dość kryminalów, by z miejsca poczuć strach. Teraz muszę zaufać instynktowi.

Opanowuję się, zwalniam i prawie przystaję. Czekam, obserwuję, szybkim spojrzeniem oceniam sytuację. Odzyskuję kontrolę nad lękiem, jeszcze zanim przerodzi się w pełnowymiarowe przerażenie, a ja zacznę się przemieniać... oczywiście przy założeniu, że jestem w stanie się przemienić.

I wtedy dostrzegam rząd reflektorów na dachu. Są wyłączone. Jakby w przyczajeniu. Widzę i rozumiem.

To oni. Tu, gdzie mieszkam. Tropią mnie. Jakimś cudem się dowiedzieli. Rozgryźli prawdę o mnie. Może Will w końcu mnie rozpoznał i przyjechał uchylić akt miłosierdzia, którym obdarzył mnie wtedy w górach.

Zauważają mnie. Hummer podjeżdża bliżej, prosto do mnie.

Odwracam się i uciekam.

Adrenalina pulsuje we mnie i sprawia, że zapominam o mym niedawnym znużeniu. Znowu na mnie polują. Tyle tylko, że tym razem jestem w obcym mieście. W ciele, którego już nie znam.

Kiedyś w stanie takiego przerażenia natychmiast bym się przemieniła. To silny dragoński instynkt, któremu nie sposób się oprzeć. Fakt, że nadal pozostaję w ludzkiej postaci, może oznaczać jedynie to, że umieram, słabnę.

Moje tenisówki uderzają o chodnik, ich głośne dudnienie wypełnia mi głowę i miesza się z szumem krwi w uszach... za plecami słyszę warkot przyspieszającego silnika. Jak przebudzenie wielkiego potwora.

Przede mną tylko ulica. Żadnej kryjówki, ale też żadnej możliwości, żebym się zgubiła, dopóki nie zboczę z chodnika.

Ryzykuję. Przebiegam przez ulicę i ostro skręcam w prawo na jakieś podwórze. Pisk opon na asfalcie. Biegnę, nie oglądam się za siebie, tylko atakuję płot. Wspinam się nań, podeszwy moich butów ślizgają się po drewnie. Dosięgam wierzchołka. Ostre czubki sztachet wbijają mi się w dłonie. Pokonuję ogrodzenie i podwórze pełne głązów i kaktusów. Przechodzę przez jeszcze jeden płot i widzę, że znalazłam się w ogrodzie od frontu jakiegoś domu.

Moja skóra napina się, pulsuje gorącem. Grzbiet nosa unosi się. Płuca zaczynają się tlić i kotłować, w piersi narasta wibracja. Moja dragonka. Nareszcie. To chyba powinno mi dodać otuchy. Przynieść radość, że moje ciało właściwie reaguje. Że nie jestem jeszcze całkiem martwa.

Uszy rozdziera mi pisk hamulców. Reflektory tną ciemność. Zawracam i znów wpadam na płot.

-Jacinda! Zatrzymaj się! Poczekaj!

Jestem bezradna. Ten głos natychmiast mnie dosięga, ciągnie do tyłu jak niewidzialna ręka. Wisząc na ogrodzeniu, zerkam przez ramię.

Stoi w świetle ulicznej latarni, w którym jego brązowe włosy mieniają się złotem. Również jego oczy wydają się złociste. Spoglądając na mnie, połyskują i płoną, tymczasem hummer warczy zaledwie kilka metrów od niego. Wyciąga przed siebie rękę, jakby zamierzał uspokoić i ujarzmić jakieś dzikie stworzenie.

- Will - jego imię wyrywa mi się z ust. Zbyt cicho, by mógł je usłyszeć.

Przez dłuższą chwilę intensywnie mrugam, wyciszam w sobie lęk... a wraz z nim dragonkę.

Otworzywszy oczy, zeskakuję z płotu.

Omiatam wzrokiem ulicę w poszukiwaniu innych. Jest sam. Chyba że ktoś ukrywa się w samochodzie. Z krtani wydobywa mi się drżące tchnienie.

Jego dłoń jest wciąż wyciągnięta w moją stronę.

- Co ty tutaj robisz tak późno? - mówi z marsową miną. - Jest pierwsza w nocy.

-Ja? - powoli przecinam trawnik, wciąż nie w pełni mu ufam. - Co ty tu robisz? - Bo nie wierzę, że po prostu przypadkiem tędy przejeżdżał. - Śledzisz mnie? - pytam, chociaż właściwie chcę dodać: polujesz na mnie?

Mruga oczami. Część napięcia w jego twarzy ustępuje. Pojawia się coś innego. Pociera dłonią kark. To bezwiedny gest. Typowo ludzki. Zażenowanie.

-Ja...

- A więc jednak - mówię dobitnie, a mimowolny uśmiech ciśnie mi się na usta.

- No wiesz... - odpowiada opornie, a w oczach ma gniew. Broni się. - Po prostu chciałem zobaczyć, gdzie mieszkasz.

Staję przed nim.

- Dlaczego?

Znowu pociera ręką kark. Tym razem to gwałtowny gest złości. Nie jestem pewna, czy na mnie czy na siebie samego. Na lewo od nas zapala się jakaś lampa na werandzie. Wzdrygam się, mrużę oczy w snopie nieprzyjemnego żółtego światła.

- Chodź! - rzuca Will na dźwięk otwieranych drzwi wejściowych.

Uciekam w panice. Nawet się nie waham, gdy otwiera dla mnie drzwi od strony pasażera. Wskakuję do środka i natychmiast osacza mnie woń skórzanych obić. Drzwi za mną głucho się zatrzasują.

Przez chwilę jestem sama. Szybko rozglądam się dookoła, patrzę na wszystkie połyskliwe przyrządy i pokręta. Zerkam do tyłu. Mnóstwo miejsca, spokojnie mogłoby się tam pomieścić kilka osób. Na myśl, kto to przeważnie bywa, przeszywa mnie dreszcz.

Zanim udaje mi się pomyśleć, gdzie właściwie jestem, Will siada obok mnie i rusza z miejsca dokładnie w chwili, gdy mężczyzna w szlafroku wychodzi ze swojego domu.

Powoli wszystko do mnie dociera. Jadę z łowcą dragonów. O pierwszej w nocy. Sam na sam.

I nikt nie wie, gdzie jestem.

Przez myśl przebiega mi, że to chyba najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam. Nabieram pewności, gdy Will jedzie w kierunku przeciwnym niż mój dom.

- Wiesz, gdzie mieszkam, prawda? - pytam. - Tak.

- To dlaczego mnie tam nie wiesz?

- Pomyślałem, że moglibyśmy pogadać.

- Okej - mówię powoli, obydwoma rękoma ściskając uda. Will milczy, więc znów pytam:

- Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

- To nie takie trudne. Twój adres jest zapisany w szkolnych papierach.

- Włamałeś się do biura?

- Nie. Znam kogoś, kto tam pomaga. Załatwiła mi twój adres zaraz w pierwszy dzień.

Mój pierwszy dzień. On miał mój adres przez cały ten czas. Dlaczego? Krzyżuję ramiona. Z otworów wentylacyjnych wydobywa się chłodne powietrze. Lekko drzę. Nie tylko z zimna.

Reguluje pokrętko.

- Zimno ci?

- Po co ci był mój adres?

- W razie gdybym chciał cię odnaleźć. Zobaczyć się z tobą.

No i najwyraźniej mu się udało.

- To zabawne, biorąc pod uwagę to, jak zignorowałeś mnie dziś w klasie.

- Podarłaś mój list - rzuca oskarżycielskim tonem. Drga mu mięsień w szczękę.

- To nieważnie. - Wzruszam ramionami i wykonuję okrężny ruch, rozluźniając jeden z barków.

- Owszem. Ważne. Powinnaś była go przeczytać. Opieram się chęci zapytania, co tam napisał. Bronię się przed wciągnięciem w ten wir. Postanowiłam trzymać się od niego z daleka. Nie może mi zależeć, nie mogę mu pozwolić zbliżyć się do siebie.

- Planowałeś zadzwonić do moich drzwi o pierwszej w nocy?

- Jasne, że nie...

- W taki razie dlaczego...

- Zle sypiam. Pomyślałem sobie, że przynajmniej zobaczę, gdzie mieszkasz.

Źle spał. No, to w takim razie jest nas dwoje. Ale co nie pozwala mu zasnąć? Poczucie winy? Krew dragonów, która plami mu ręce? A może ma to coś wspólnego ze mną?

Prosił, żebym się z nim umówiła, a potem zmienił zdanie. Dziś w klasie potraktował mnie jak trędowatą. Dlaczego? Chcę się tego dowiedzieć, ale nie śmiem zapytać. To tylko ściągnie na mnie kłopoty. Otworzy drzwi, które poprzysięgłam na zawsze zarygłować.

Otacza nas cisza. Tak gęsta, że czuję jej smak. Will rzuca mi spojrzenie zza kierownicy. Złocisty blask jego orzechowych oczu budzi ciepło w mojej klatce piersiowej. Wznieca żar, o którym myślałam, że zamiera.

Jedno spojrzenie, a rozżarzone węgielki ożywają. Szumią liście obudzone nagłym porywem wiatru. Nieważne, jak bardzo się staram uwierzyć, że go nie potrzebuję, by obudzić moją dragonkę. Za każdym razem Will udowadnia mi, że się mylę. Być może nie da się oddzielić potrzeby od pragnienia.

ROZDZIAŁ 13

Jedziemy przez chwilę bez celu. Skręcamy w jedną ulicę po drugiej. Wszystkie wyglądają tak samo. Wzdłuż chodników wznoszą się domostwa klasy średniej w różnych odcieniach bieli i z beżową sztukaterią. Dachy pokryte czerwoną dachówką falują jak rubinowe morze.

Moje serce, podniecone jego bliskością, bije jak oszalałe. Jest tak pełne życia w przeciwieństwie do tych minionych dni, które ciągnęły się w nieskończoność jak całe lata.

Mam świadomość przyrzeczenia, które sobie złożyłam. Przysięgi unikania go. Czuję jej echo w głowie. W kościach.

Przypominam też sobie inne postanowienie, które powzięłam zaraz po przyjeździe tutaj. Obietnicę utrzymania dragonki przy życiu - za wszelką cenę. A w jego towarzystwie ledwie udaje mi się ją pohamować, bo wtedy ona niewątpliwie ożywa.

Delikatnie łapię się za uda i przesuwam po nich dłońmi, rozcierając gęsią skórę. Zanim zdołam przekonać mamę do powrotu, przebywanie z nim może stanowić jedyny sposób na przetrwanie. A dopuszczenie go bliżej siebie... Na samą myśl o tym wali mi serce.

Ciszę przerywa głęboki głos Willa.

- Nie powiedziałaś, co robiłaś poza domem o tej porze.

- Też nie mogłam spać - odpowiadam. I nie kłamię. Usta wyginają mi się w uśmiechu.

- No to idealnie do siebie pasujemy. Dwa nocne marki. Idealnie do siebie pasujemy.

Na moich wargach pojawia się szaleńczy, głupi uśmieszek.

Nawet gdy jego uśmiech znika, nie umiem przestać się uśmiechać. Nie potrafię stłumić pulsującego we mnie niemego szczęścia.

- Krwawisz - mówi, szybko zjeżdża na pobocze i parkuje.

Podążam za jego spojrzeniem i zauważam pasmo krwi na moim udzie. Panika ściska mi serce.

Zakrywając smugę ręką, widzę kropelkę wypływającą z pokaźnego rozcięcia po wewnętrznej stronie dłoni. Proszę, proszę, proszę. Zeby tylko nie zauważył.

W pełnym świetle łatwo dostrzec, że moja krew mieni się purpurą. W tym mroku jej połysk jest na pewno zbyt delikatny, by go dojrzał. Tak przynajmniej sobie wmawiam, nabierając głęboko powietrza.

- To nic takiego, zadrasnęłam się o płot.

Will ściąga koszulę przez głowę. Oddech więźnie mi w gardle. Ma szeroką, gładką klatkę piersiową. Pod skórą wyraźnie rysują się mięśnie i ścięgna. Zwija koszulę w kłębek i przyciska do wnętrza mojej dłoni. Jakbym odniosła jakąś śmiertelną ranę.

- N... nie, naprawdę nie trzeba - bełkoczę. Przebieram palcami, które aż mnie swędzą, żeby dotknąć jego piersi, by go poczuć. - Zniszczysz koszulę.

- To moja wina, że weszłaś na ten płot. Pozwól, że to zrobię, dobrze?

W milczeniu kiwam głową. Zresztą i tak nie potrafię się oprzeć. Ucisk jego palców jest jak wysepki gorąca na mojej skórze. Zamykam powoli oczy. Jego rycerskość przypomina mi nasz pierwszy dotyk. Gdy byliśmy razem w tej małej grocie. Bliskość. Sposób, w jaki jego oczy mnie pożerały.

Będąc tak blisko niego, wdycham, spijam jego zapach. Słone ciepło jego skóry. Bujny las. Wilgotny wiatr. Wiem, gdzie był. Gdzie polował. W jednej chwili jestem w domu.

Otwieram oczy i przyglądam się jego twarzy, szybkiemu pulsowi drgającemu na szyi. Jego nozdrza rozszerzają się, jakby rozpoznawał mój zapach.

Spojrzenie Willa przesuwa się na gładką powierzchnię mojego uda i smugę śliwkowej krwi. Moje ciało połyskuje złociście od światła pobliskiej latarni. Albo przynajmniej tak to sobie tłumaczę. Nie, tylko nie to, ja nie chcę się teraz przemieniać!

Opuszcza rękę. Ta drży, gdy ją obniża. Pochyla głowę ku mnie. Nasze oddechy mieszają się, zlewają. Dygoczę, spinam się, gdy jego dłoń dotyka mojego drżącego uda. Powietrze świszczy mi między zębami.

Jego spojrzenie przenosi się na chwilę na moją twarz. Jakby pytał. Źrenice w jego oczach są bardzo ciemne, a otaczające je tęczówki jaśnieją i płoną. Znow patrzy w dół, ma poważną twarz, skupioną na moim udzie, na smudze krwi stopionej ze skórą.

Znow przypomina mi się, że jest drapieżnikiem. W tym wygłodniałym wyrazie twarzy widzę w nim tego, kim jest. Myśliwego.

Muska kciukiem cienką smugę krwi, rozmazuje ją. A ja wzdycham, płonę od tej pieśczoły.

- Twoja skóra. - Kciuk znow się po niej przesuwa. Żołądek mi się ściska, nieomal boleśnie. Will marszczy brwi.

-Jest taka gorąca.

I faktycznie tak jest. Zdaję sobie z tego sprawę, czując żar kłębiący się w głębi mnie. Parę rozpychającą mi płuca. Muszę go powstrzymać. Oderwać się od jego dotyku. Znajoma wibracja narasta we mnie i wiem, co się stanie, jeśli się nie odsunę.

Tyle rzeczy związanych z tym - z nim - powinno mnie przerażać. Powinno motywować mnie do ucieczki. Tymczasem ja chcę więcej. Więcej Willa.

Dotyk jego dłoni na moim udzie sprawia, że czuję, jak kurczy mi się żołądek. Kciuk muska mnie, ściera krew, a potem się odsuwa. Oddycham przez nos.

Odsuwa materiał z mojej dłoni i przygląda się skaleczeniu.

- Nie jest źle - oznajmia.

Kiwam głową, serce bije mi zbyt szybko, bym zdołała coś powiedzieć.

- Masz w domu jakiś środek odkażający? - pyta. Nadal nie jestem w stanie mówić. Czy on naprawdę myśli o pierwszej pomocy? Noga mrowi, pulsuje w miejscu, którego dotykał. Jego delikatny uścisk mojej dłoni wywołuje ten sam efekt.

Moje milczenie sprawia, że Will podnosi wzrok. Łapie mnie w sidła orzechowych oczu o rozszerzonych źrenicach, wielkich i czarnych jak smoła. Dziwne, ale piękne. Zastanawiam się, czy nie jest na jakichś prochach. Jednak coś w głębi mnie temu zaprzecza. Albo dlatego, że nie potrafię w stanie tego w nim wyczuć, albo po prostu dlatego, że nie chcę, aby to była prawda.

-Jesteś inny - szepczę, wpatrując się w niego, zapominając o jego pytaniu. Wewnętrzne strony dłoni mrowią, w samym środku łaskoczą, tak bardzo chcą go poczuć... dotykać jego twarzy, szerokiego torsu.

On odwzajemnia to intensywne spojrzenie. Pożera mnie oczami.

Jesteś inny niż twoi kuzyni, myślę. Inny niż wszystko, co słyszałam o myśliwych. Inny niż chłopcy-dragoni, których znałam. Uważne oczy Cassiana nigdy nie zapierały mi tchu. Nigdy nie ożywiały mojej dragonki, nie napełniały taką świadomością.

Zwilżam wargi i - drżąc - głęboko nabieram powietrza.

- Gdzie są twoi kuzyni? Czy nie robicie prawie wszystkiego razem?

Bo muszę o tym pamiętać. Zawsze. Bo nawet jeżeli uważam, że on nie stanowi dla mnie zagrożenia, to jednak oni są niebezpieczni.

Oczy mu ciemnieją. Odsuwa się, wypuszcza z ręki moją dłoń.

- Widzę, że ktoś opowiedział ci o mnie i mojej rodzinie.

- To ty mi mówiłeś, żebym trzymała się od nich z daleka. Sam sprowokowałeś moją ciekawość. Ludzie gadają, a ja słuchałam.

Powoli kiwa głową.

- Tak powiedziałem. I rzeczywiście musisz ich unikać. - Wzdychając, przeczesuje palcami włosy. - A skoro już o tym mówimy, to chyba też powinnaś trzymać się ode mnie z daleka. To właśnie powinienem ci powiedzieć. - Odrzuca głowę na oparcie fotela i zamyka oczy, na jego twarzy widać smutek i skupienie. Znowu chcę go dotknąć. Pogłaskać go po policzku i przegnać to, co go dręczy. Jego słowa odbijają się we mnie echem. Powinnaś trzymać się ode mnie z daleka. Już niby to wiem, ale siedząc w jego samochodzie, jakoś nie umiem się do tego przekonać. Tak bardzo bym chciała nie czuć tego nieustannego magnetyzmu, tej siły przyciągania w jego stronę. Nie oży-

wać jako dragonka, gdy on jest w pobliżu. Wsuwam lewą rękę pod udo i tam ją blokuję.

- Ale to ty mnie śledziłeś — rzucam, a potem się krzywię. Wysuwam dłoń spod nogi, żeby podrapać miejsce, które wciąż mrowi i piecze po jego dotyku.

- Masz rację - otwiera oczy, uruchamia silnik i zjeżdża z krawężnika. Po kilku zakrętach zauważam, że wiezie mnie do domu. Desperacja popycha mnie do zadania nurtującego pytania:

- Dlaczego przyjechałeś dziś pod mój dom? W środku nocy?

Palce bieleją mu od zaciskania ich na kierownicy.

- Nie spodziewałem się, że zobaczę cię na zewnątrz, ale...

- Tak? - podpowiadam zachęcająco.

Gwałtownie zatrzymuje samochód przed moim domem. Wyłącza światła. Odwraca się na siedzeniu, by spojrzeć mi prosto w oczy. Pochyla się bliżej i kładzie rękę na oparciu mojego siedzenia, prawie dotykając mych ramion.

Ma nieprzenikniony wyraz twarzy. Oczy z powiększonymi źrenicami spoglądają w dziwny sposób.

- Ty nie jesteś taka jak inne dziewczyny. Jesteś wyjątkowa.

Odurzające ciepło rozlewa się po moich policzkach. Cieszę się, słysząc to wyznanie. To wspaniale, że jestem dla niego wyjątkowa tak jak on dla mnie. W rodzinnych stronach czułam się tylko bezpieczna, chroniona i szanowana. Nawet w obecności Cassiana miałam wrażenie, że on lubi mnie raczej ze względu na to, co wnoszę do stada, a nie za to, jaka jestem.

Przy Willu czuję nieustanne ryzyko. Niebezpieczeństwo czai się blisko, tak namacalne jak gęsta mgła, którą opuściłam. I nigdy nie mam go dość. Nie mam dość

Willa. Wciąż bardzo pragnę jego bliskości. Jak narkotyku potrzebnego, aby przeżyć każdy dzień. To nałóg. Silny i nieokiełznany.

- Próbowałem temu zaprzeczyć - mówi dalej - ale to istnieje, patrzy mi w oczy za każdym razem, gdy cię widzę. Gdybyś była jak inne dziewczyny... - Śmieje się ochryple. - Gdybyś była jak inne dziewczyny, w życiu bym tu nie przyjechał.

W nagłym przypływie samoświadomości wiercę się, zaciskam palce na kolanach. Nie byłoby go tutaj, gdyby znał prawdę. Gdyby wiedział, kim jestem, czym jestem.

Zwilżam wargi.

- Nie jestem taka, za jaką mnie uważasz...

Jestem blisko. Zbyt blisko. Tak blisko wyjawienia mu prawdy o sobie.

- Myślałem, że może... - Milknie, potrząsa głową.

- Co? - ledwie rozpoznaję swój głos. Jest bardzo spięty. W uszach słyszę bicie własnego serca. Gdzieś w brzuchu trzepocze nadzieja, której nie rozumiem i nigdy przedtem nie odczuwałam.

- Nieważne. To głupie. - Głos mu się załamuje, jest ochryply i prawie niesłyszalny. - Po prostu zapomnij o tym, że przyjechałem, by cię zobaczyć. - Mamrocze coś pod nosem, ale tak cicho, że nie mogę zrozumieć. Chyba jakieś przekleństwo. - To się nie uda. Nie z moją rodziną.

- Co jest nie tak z twoją rodziną? - pytam, chociaż i tak już wiem. W każdym razie wiem, co jest nie tak w odniesieniu do mnie. Powody Willa mogą się różnić od moich.

Wykrzywia wargi, wygląda niemalże okrutnie. Jak myśliwy, którego w nim nie chcę.

- Powiedzmy, że się nie dogadujemy. Staram się zrobić niewinną minę.

- Twój ojciec...

- Nie jest typem pocziwego tatuśka-równiachy. Zaraz po maturze zwijam manatki. Ogarnia mnie ulga. To potwierdza, że on nie jest taki jak oni. Nie jest myśliwym ani zabójcą. Próbuję nie okazywać radości, nie uzewnętrzniać tego, co czuję.

Zwilżając usta, pytam:

- A do tego czasu nie możesz mieć przyjaciół? Przeczesuje palcami włosy. Złocistobrązowe kosmyki wygładzają się, a potem układają po swojemu.

- To trochę skomplikowane, ale tak, ja nie chcę się do nikogo zbliżyć... wprowadzać kogokolwiek w kontakty z moją rodziną. - Jego spojrzenie spotyka się z moim. Jest smutne. Stanowcze. - Jacindo, oni są jak trucizna. Nie mogę narażać cię na zetknięcie z nimi. Nie narażałbym na to nikogo, na kim mi zależy. - Potrząsa głową. - Nie miałem zamiaru cię prowokować ani zwodzić. Przepraszam, że prosiłem cię o spotkanie, przepraszam, że nie mogę... - Jego palce zaciskają się na kierownicy, aż odzyskuje głos. - Po prostu przepraszam.

Boleśnie ściska mi się serce, bo on też to czuje. Tę więź między nami. Czuje ją i zarazem zabiłby ją, zaprzeczył jej istnieniu. Mimo że coś go tu ściągnęło, on nie będzie dalej podążał za tym instynktem. To chyba dobrze, ale jakoś nie potrafię wykrzesać z siebie zbyt wiele wdzięczności.

Ruchem głowy wskazuje posiadłość pani Hennessey.

- Lepiej wracaj do domu. Gorąca złość napina moją skórę.

- Nigdy nie uważałam cię za tchórza - wyrywa mi się. Gwałtownie odwraca głowę w moim kierunku.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Przyjechałeś tu dziś z jakiegoś powodu. Dlaczego się do niego nie przyznajesz? - Bez zastanowienia nachyliłam

się przez środkową konsolę i patrzę mu prosto w twarz. -Zawsze uciekasz od tego, czego pragniesz? Być może stawiam wszystko na jedną kartę, zakładając, że on chce mnie. I puls tętniący w jego szyi też podpowiada mi, że tak jest. A poza tym, bądź co bądź, przyjechał tu.

Jego wzrok przesuwa się na moje usta.

- Nie mam pojęcia, kiedy ostatnio miałem coś, czego naprawdę chciałem - mówi ochryplym głosem, tak cicho, że ledwie go słyszę, raczej tylko wyczuwam.

Jego słowa odbijają się we mnie echem i trafiają tak głęboko do serca, iż jestem pewna, że to wszystko ma sens. Że jest jakiś powód, dla którego się odnaleźliśmy - najpierw w górach, a teraz tutaj. Sens. Coś więcej. Coś poważniejszego niż zwykły przypadek.

-Ja też.

Pochyla się ku mnie. Otula dłonią mój kark, przyciąga bliżej mą twarz. Rozpływam się, lgnę do niego.

- Może więc nadszedł czas, żeby to zmienić. Najpierw muśnięcie jego warg. Przenika mnie palący żar, który sprawia, że nie jestem w stanie się poruszyć. Moje żyły i skóra szaleją, pulsują.

Unoszę się w fotelu, chwytam go za barki, próbując znaleźć się jak najbliżej. Moje dłonie wędrują po jego gładkich ramionach i twardej jak skała klatce piersiowej. Pod palcami czuję, że serce bije mu jak oszalałe. Krew we mnie płonie, płuca się rozszerzają i tną. Nie mogę wciągnąć przez nos wystarczająco dużo powietrza... albo przynajmniej tyle, by ostudzić ten wewnętrzny żar.

Dłonie Willa przesuwiają się po moich policzkach, ujmują moją twarz. Jego dotyk na moim rozpalonym ciele sprawia wrażenie lodowatego. I całuję go jeszcze mocniej.

-Twoja skóra - szepcze tuż przy mych ustach - jest taka...

Chłonę go, jego słowa, jego dotyk, mrużę, delektując się jego smakiem. Nagle pojawia się gorące mrowienie na skórze. Czuję przyjemne ciepło na plecach.

Jego chłodne, suche wargi całują mnie jeszcze namiętniej. Will przesuwając dłonie ku dołowi mej twarzy, dotyka brody, szyi. Jego palce muskają skórę poniżej mojego ucha. Przeszywa mnie dreszcz.

- Twoja skóra jest taka miękka, taka ciepła...

I wtedy w okamgnieniu pojmuję, co właściwie oznacza to mrowienie na plecach. Obudziły się moje skrzydła. Są gotowe i chętne do lotu jak nigdy, odkąd przyjechałam do Chaparral. Przepychają się na powierzchnię skóry i jeszcze chwila, a się uwolnią.

Z krzykiem odrywam się od Willa i łapię za kłamek. Boleśnie wciągając powietrze, gwałtownie otwieram drzwi i wyskakuję. Potykam się przy tym i ląduję kolanami na trawniku.

Wstaję i nawet nie zamykam za sobą drzwi... po prostu uciekam.

Za mną niesie się rozpaczliwe wołanie Willa:

-Jacinda!

Parę kroków dalej, w wystarczającej odległości, by nie mógł dojrzeć subtelnych zmian w moim wyglądzie, zatrzymuję się i oglądam za siebie. Moja klatka piersiowa unosi się i zapada przy głębokim, przegrzanym oddechu.

Will przechyla się nad konsolą, praktycznie jest po stronie pasażera. Coś przemyka po jego twarzy.

Jakaś emocja, której nie umiem odczytać.

- Do zobaczenia w szkole - mówi z taką stanowczością, jakby nie było co do tego cienia wątpliwości.

Nie odpowiedział mi, nie przytaknąwszy, odwracam się i biegnę po podjeździe tak szybko, jak tylko nogi poniosą. Skręcam w prawo.

-Jacinda! - krzyczy znowu Will, a ja mam nadzieję, że nie obudzi pani Hennessey albo innych sąsiadów.

Nie wypowiedziałam tego, ale popłoch miałam po prostu wypisany na twarzy. Will go dostrzegł. I najwidoczniej mu się to nie spodobało. Nasz pocałunek chyba umocnił go w przekonaniu, że powinniśmy kontynuować to, co jest między nami.

Niestety, ten sam pocałunek uświadomił mi coś wręcz przeciwnego. Potwierdził to, co już wiedziałam, ale zarazem negowałam. Nie mogę ryzykować bycia z nim. Nawet jeżeli on przewyciężył swoje zahamowania w zbliżeniu się do mnie, to jednak wciąż mam mnóstwo własnych. Czerpać z niego siły to jedna rzecz... ale dać się ponieść tak, żeby przemieniać się w jego obecności, to już zupełnie co innego. Teraz to wiem. I zdaję sobie sprawę, co musimy zrobić.

W szkole nie będę z nim rozmawiać, nie będę na niego patrzeć... i na pewno nigdy już go nie dotknę. Choćby nie wiem co, będę go ignorować i na zawsze zachowam dystans.

Biegając ścieżką, zaciskam dłoń i dotykam palcami skaleczenia. Delikatnie, bezmyślnie przesuwam opuszkami po ranie i wyczuwam wilgoć. Krew. Moja krew. Dowód na to, kim jestem.

Panika ściska mi serce, boleśnie opasuje klatkę piersiową.

Gwałtownie się zatrzymuję i zawracam, jakbym nadal mogła zastać Willa na ulicy. Ale on już odjechał. A wraz z nim... koszula. Oddała się i jedzie do jaskini moich wrogów.

Zamykam oczy, potrząsam głową. Przerazenie sznuruje mi gardło. Odjechał. Z koszulą poplamioną moją krwią. Dragońską krwią w kolorze purpury.

Gdy ją zobaczy, zorientuje się. Będzie dokładnie wiedział, kim jestem.

W domu panuje cisza. Wkradam się do środka i jak cień przemykam przez pomieszczenia, które teraz zdają się wokół mnie zamykać - bardziej niż kiedykolwiek. Gdy cicho zrzucam buty, Tamra jest tylko nieruchomym kształtem pod kocem.

Łóżko ugina się pod moim ciężarem. Przykrywając się, wypuszczam z siebie powietrze, splatam dłonie na piersiach i staram się wyciszyć. Spokój nie nadchodzi, bo wszystkie myśli zaplątane są w koszulę ze śladami krwi, która teraz jest w posiadaniu Willa.

-Jeżeli mi to sknocisz, nigdy ci nie wybaczę.

Dziwna rzecz, ale bezcielesny głos mojej siostry unoszący się w ciemności nie przestrasza mnie. Nie teraz, gdy mam głowę zajętą układaniem szybkich planów odzyskania dowodu na to, że nie jestem człowiekiem.

Nie pyta o wyjaśnienia, a ja się nie tłumaczę. Wystarczy, że się wykradłam, a ona o tym wie. Z jej punktu widzenia niczego dobrego nie kombinuję. Łóżko Tamry skrzypi, gdy moja siostra obraca się na drugi bok. Nie wiem, co powiedzieć. Nie przychodzi mi do głowy żadne zapewnienie. Nic, co pozwoliłoby mi czuć się mniej winną, mniej samolubną.

Moje usta pulsują na wspomnienie pocałunku Willa. O mało co nie zaprzepaściłam wszystkiego. O mało co się nie odśloniłam. O mało co nas nie pogrążyłam.

I jeżeli nie dotrę do koszuli Willa, to wciąż może się zdarzyć.

Muszę ją odzyskać. Za wszelką cenę.

ROZDZIAŁ 14

Następnego dnia, gdy pokonuję ostatnich kilkaset metrów do domu Willa, pot spływa mi po plecach. Mocne uderzenia butów o chodnik brzmią dziwnie krzepiąco.

Obiecałam mamie, że wrócę do domu na kolację. W sobotnie wieczory lubi jeść wcześniej. Ponieważ i tak panuje już u nas dość napięta atmosfera, nie chcę jej denerwować. Jestem jednak gotowa zrobić to, co muszę.

Jeżeli mam szczęście, to Will podobnie jak ja i Tamra używa kosza na brudną bieliznę. Wyobrażam sobie koszulę wywiniętą na lewą stronę, a moją krew - purpurową i połyskliwie opalizującą nawet wiele godzin po wypłynięciu z ciała - przez nikogo niezauważoną. Inni ludzie może nie mieliby pojęcia, czym naprawdę są te fioletowe plamy, ale Will nie miałby problemu z ich identyfikacją. Rozpoznanie we mnie dragonki naraża nas wszystkich. Każdego dragona, nawet mamę i Tamrę. Sam związek ze mną oznaczałby przypieczętowanie ich losu.

Zbliżając się do jego domu, zwalniam na widok hiszpańskiej dachówki pomiędzy drzewami. Zapamiętałam instrukcje, które podała mi Catherine przez telefon. Wiedziałam, że z jakiegoś powodu ją lubię. Poza wymow-

nym „hmm”, nie wtrącała się i nie pytała, dlaczego chce wiedzieć, gdzie mieszka Will. Brama jest otwarta, więc wbiegam podjazdem. Przed szerokim portykiem zwlekam tylko przez chwilę, zauważywszy hummera zaparkowanego na zewnątrz wolno stojącego garażu. Na moment zatrzymuję się i zastanawiam, co dalej.

W idealnym świecie dom stałby pusty, a jakieś okno byłoby otwarte lub niedomknięte. Ja wślizgnęłabym się do środka, odnalazła koszulę i po pięciu minutach uciekła. Tyle że mój świat nigdy nie był idealny.

Nie mam wyboru. Nie mogę ryzykować i czekać, aż minie kolejny dzień. Muszę doprowadzić tę sprawę do końca. Przełamuję się i brnę dalej.

Zanim jeszcze zdążę zmienić zdanie, wchodzę po schodach i pukam w wielkie dwuskrzydłowe drzwi. Odgłos niesie się echem, jakby po drugiej stronie rozciągała się wielka jaskinia albo otchłań. Czekam, żałując, że nie ubrałam się w coś innego, tylko w prążkowane szorty i top. Włosy związałam w koński ogon, który opada mi na plecy. Nie wyglądam najlepiej.

Gdy drzwi się otwierają, znów dopada mnie to samo przeczucie i wiem, że Will jest po drugiej stronie, jeszcze zanim go widzę.

Nawet nie wysiła się, by okazać radość na mój widok. Nic dziwnego, że wygląda na zaskoczonego, wzięwszy pod uwagę to, jak szybko wczoraj przed nim uciekłam.

- Jacinda. Co ty tu robisz? Odparowuję jego wczorajszą wymówką:

- Chciałam zobaczyć, gdzie mieszkasz. Wiesz, tak na wszelki wypadek.

Nie śmieje się z mojego dowcipu - repliki własnych słów. Nawet się nie uśmiecha. Zamiast tego z niepokojem

zerka przez ramię. No, ale w każdym razie nie krzyczy, alarmując, że na progu domu stoi dragonka. Najwyraźniej jeszcze nie oglądał dokładnie ubrania.

- Nie zaprosisz mnie do środka?

-Will? Kto to? - Drzwi otwierają się szerzej. Obok Willa pojawia się mężczyzna z orzechowymi oczami. Podobieństwo kończy się na oczach. Jest niższy niż Will, żylasty, jakby spędzał mnóstwo czasu w siłowni, pracując nad udoskonalaniem swojego ciała.

- Och, dzień dobry. - W przeciwieństwie do Willa zachowuje się swobodnie, ale ma pusty uśmiech. Jakby robił to przez cały czas, nie przypisując temu znaczenia.

- Tato, to jest Jacinda. Koleżanka ze szkoły. -Jacinda - wita się ciepło i wyciąga do mnie rękę.

Odwzajemniam ten gest. Ściskam dłoń samego diabła, patrzę mu w oczy, czuję jego dotyk. W niczym nie przypomina Willa. Ten myśliwy nigdy nie pozwoliłby dragonowi uciec.

-Miło pana poznać, panie Rutledge - udaje mi się odezwać normalnym głosem.

Pod uściskiem jego dłoni czuję ciarki.

- Mnie również. Will nie przyprawia tu zbyt wielu przyjaciół.

- Tato - mówi Will spiętym głosem. Wypuszcza moją rękę i poklepuje syna po plecach.

- Dobrze, nie będę cię już wprawiał w zakłopotanie. - Znow spogląda na mnie błyszczącymi oczami i ocenia z wyraźną aprobatą. - Dołącz do nas, Jacindo. Grillujemy na tylnym tarasie.

- Tato, nie sądzę...

- Z przyjemnością - kłamię. Jedzenie w towarzystwie ojca Willa jest jak borowanie zębów, ale ja muszę tam wejść. Nie chodzi tylko o mnie. Tamra, mama, stado,

wszystkie dragony... pozostawienie tej koszuli w tym domu naraża nas wszystkich.

Pan Rutledge gestem zaprasza mnie do środka. Przechodząc dostojnym krokiem obok Willa, wkraczam do lodowato chłodnej rezydencji.

- Lubisz żeberka, Jacindo? Od rana wędzę je na małym ogniu. Niedługo powinny być gotowe.

Will dołącza do mnie i w ślad za jego ojcem razem przemierzamy ogromny wejściowy hall. Nasze kroki niosą się echem po wykafelkowanej podłodze. W domu dominuje chłodna perfekcja. Gdy podążamy szerokim korytarzem, mijamy wiszące tam, pozbawione życia dzieła sztuki, a z wysokiego sufitu owiewają nas potężne białe wentylatory.

- Co ty tutaj robisz? - odzywa się tuż przy moim uchu ochryply szept Willa.

I wraz z tym pytaniem dociera do mnie, gdzie jestem. W jego domu, w gnieździe moich wrogów. Czy to tutaj przywożą schwyte dragony? Jeszcze zanim sprzedadzą je enkronom? Moja skóra napręża się, lęk jest niebezpiecznie blisko. Wciągam powietrze i pocieram dłonią ramię, opanowując wyobraźnię.

-Jesteś rozczarowany moją obecnością? - pytam, zebrawszy w sobie odwagę. Jego ojciec znika za rogiem przed nami. - Wczoraj chciałeś się ze mną zobaczyć. -To wspomnienie niemal odbiera mi mowę. Ostatniej nocy byłam bliska myśli, że śledził mnie w drodze do domu.

Chwyta mnie za rękę i zatrzymuje. Te jego zmienne oczy błędzą po mojej twarzy w poszukiwaniu odpowiedzi. Wyczuwam jego dezorientację, niezdolność zrozumienia mnie... czy też mojej obecności tutaj.

-Chcę cię widywać. O niczym innym nie myślę... -Milknie, sprawia wrażenie skrępowanego. - Ale nie tutaj.

- Will, Jacinda, chodźcie!

Wzdryga się na dźwięk głosu ojca. Jego wzrok przemyka poza mnie, ponad moje ramię.

- Możemy się widywać gdzie indziej. Powiedziałem ci, co sędzę o mojej rodzinie. Nie powinnaś tu przychodzić -mówi cicho.

- Ale przyszłam i zostaję. - Uwalniam swoją rękę i ruszam dalej, rzucając przez ramię: - W samą porę, bo jestem głodna.

-Jacindo - błaga, a jego głos zabarwiony jest desperacją, której nie pojmuję. Jestem przekonana, że jego postanowienie, by trzymać mnie z dala od swojej rodziny i domu wiąże się z faktem, że poluje na dragony. Ale co to ma wspólnego ze mną? Nie wie, kim jestem. Jego krewni nie powinni nabrać podejrzeń tylko dlatego, że odwiedza go jakaś dziewczyna.

Will dogania mnie w nowocześnie urządzonej i doskonale wyposażonej kuchni. Gdy mijamy drzwi balkonowe, wyczuwam jego niepokój. Zwraca się ku nam kilkanaście par oczu. Wszyscy milczą.

Pan Rutledge, otwierając pokrywę wędzarki, wskazuje mnie ręką:

- Słuchajcie, to jest...

-Jacinda - wtrąca Xander, unosząc się w krześle z kutego żelaza. W rękę trzyma butelkę pokrytą skroploną parą wodną. - Will, nie wiedziałem, że kogoś zaprosisz.

Angus chrupie chipsy z dużego opakowania i nie kwapi się, by wstać ani się odezwać. Tylko gapi się tym swoim bandyckim wzrokiem.

- Wyleciało mi z głowy. - Will prowadzi mnie do jednego ze stolików w patio i przedstawia mnie reszcie: rodzicom Xandra, grupie wujków i ciotek, kilku innym kuzynom. Uświadamiam sobie, że wszyscy są myśliwymi.

Przynajmniej ci, którzy ukończyli trzynaście lat. Niemowlak pijący sok z butelki ze smoczkiem czy huśtający się siedmiolatek chyba nie polują. Jeszcze nie.

Wszyscy mnie witają i taksują z tym samym natarczywym zainteresowaniem, jakie musiałam znosić ze strony ojca Willa. Podczas posiłku jestem zasypywana gradem pytań. Gdzie mieszkasz? Skąd się przeprowadziłaś? Co robią twoi rodzice? Masz rodzeństwo? Uprawiasz sport? Zupełnie jak wywiad. Pana Rutledge'a zdaje się najbardziej interesować to, że biegam... że przebiegłam jedenaście kilometrów do ich domu.

-Jest też szybka - dorzuca Will, prawie od niechcienia, jakby wiedząc, że oczekuje się od niego udziału w rozmowie, ale nie mając ochoty angażowania się w nią.

- Naprawdę? - Pan Rutledge unosi brew. - Biegi długodystansowe wymagają doskonałej wytrzymałości. Ludzie zdolni do takiego wysiłku zawsze wywierali na mnie wrażenie.

Podczas rozmowy Xander siedzący po drugiej stronie stołu wnikliwie przygląda mi się w milczeniu. Obecność Willa obok mnie działa kojąco. Ona i delikatne nawilżacze rozpylające w patio chłodną mgiełkę. Moja dragońska skóra spija tę wilgoć.

Gdy posiłek dobiega końca, ciotki Willa wstają, by przynieść deser z kuchni. Widzę w tym szansę dla siebie i zrywam się do pomocy. Wydostaję się z kuchni pod pretekstem skorzystania z łazienki.

Wchodzę po schodach prowadzących od głównego wejścia. Moje trampki stąpają cicho po czerwonym dywanie, gdy otwieram drzwi i zaglądam do jednego pomieszczenia po drugim, aż znajduję pokój Willa.

Nawet gdybym nie wyczuwała tu przesycenia jego długą obecnością, wiedziałabym, że ten obity boazerią pokój

należy do niego. Brakuje tu zimnej precyzji pozostałej części domu. Łóżko jest posłane, ale wyczuwa się w nim życie. Na stoliku obok piętrzą się w nieładzie książki i czasopisma. Na biurku leży otwarty podręcznik literatury, a przy nim napisane do połowy wypracowanie. Stoi tam też oprawione w ramki zdjęcie kobiety o złocistobrązowymi włosami Willa. I wiem, że to jego matka. Rozpoznaję go w jej uśmiechu.

Oderwawszy wzrok od tego widoku, otwieram szafę i pod wiszącymi ubraniami dostrzegam kosz na brudną bieliznę. Przekopuję go i z westchnieniem ulgi odnajduję zakrwawioną koszulę. Ściskając ją w drżącej dłoni, zamykam drzwi szafy. Puls gorączkowo dudni mi w gardle. Co ja teraz z tym znaleziskiem zrobię?

Gdy ostrożnie wyzieram na korytarz, przychodzi mi do głowy pomysł, żeby ukryć ubranie gdzieś na zewnątrz, może w krzakach przed domem, skąd mogę je zabrać później, kiedy już się stąd wydostanę. Ten plan kotłuje się w mojej głowie, kiedy śpieszę korytarzem - zadowolona z siebie, ale nadał czujna. Znalezienie koszuli było zbyt proste.

Stopniowo narasta jakiś odgłos - ciężkie kroki kogoś wchodzącego po schodach.

Ogarnia mnie panika. Wślizguję się do najbliższego pomieszczenia i cicho zamykam za sobą drzwi.

Chwytam zasuwkę i wyteżam słuch, by móc wychwycić jakikolwiek ruch po drugiej stronie.

Głębokimi haustami powietrza powstrzymuję ognisty napad przerażenia i koncentruję się na schładzaniu moich płuc. Metamorfoza tu i teraz byłaby najgorszym z możliwych scenariuszy.

Świdruję wzrokiem drzwi, prawie tak, jakbym mogła przez nie dojrzeć, co się dzieje po drugiej stronie. Wypuszczam z palców zasuwkę i cofam się o krok, dwa. Z oczami wlepionymi w drewno, nawet nie mrugam, tylko ściskam

w rękach koszulę. Tak jakbym miała ją zabić, zakończyć jej istnienie. Gdybym tylko mogła się przemienić i spalić ją na popiół, nie włączając przy tym alarmu przeciwpożarowego, zrobiłabym to. Gdy mija trochę czasu i nikt nie nadchodzi, ustępuje napięcie w moich ramionach. Oddycham swobodniej i przenoszę uwagę na pokój, w którym się znalazłam.

I wtedy dopada mnie totalne przerażenie. Paraliżuje mnie tak, że nie jestem w stanie drgnąć. Moje spojrzenie przesuwają się wokół z zawrotną szybkością.

Zewsząd spoziera na mnie... dragońska skóra.

Biurko, klosze lamp, meble. Wszystko pokryte skórą moich pobratymców. Do gardła podchodzi mi żółć.

Uginają się pod mną kolana i zaczynam się chwiać. Wyciągam rękę, by się oprzeć na krześle, i zaraz potem cofam ją z bolesnym sykiem. Wypuszczam z rąk koszulę, w popłochu wpatrując się w połyskliwe czarne obicie, którego dotknęłam. Onyksowa skóra, która w szokująco znajomy sposób opalizuje purpurą. Przez myśl przemyka mi widok ciała mojego ojca. Czy to mogłoby być...

Nie! Ogarnia mnie gorączkowa wściekłość. Obydwoma dłońmi zatykam usta, tłumiąc krzyk. Palce wbijają mi się w policzki. Pieką mnie oczy i zdaję sobie sprawę z tego, że łkam. Po rękach płyną mi łzy.

Nadal się rozglądam, obracam w kółko, powstrzymuję szloch na widok poduszek na kanapie, które pokryte są ciemnobrązową skórą geodragonów - drugiego pod względem liczebności gatunku moich rodaków, nacechowanego nadzwyczajną zdolnością wykrywania kamieni szlachetnych, jadalnej roślinności, podziemnych zasobów wody... wszystkiego, co ma związek z glebą. Ujrzenie ich szczątków tutaj, w tym domu, na tej pustyni, tak daleko od ziemi, którą kochali, to druzgoczące przeżycie.

Odwracam wzrok. Mdli mnie na widok tych potwornych dowodów mordu popełnionego na mojej rasie.

Zatrzymuję wzrok na ogromnej mapie Ameryki Północnej, która rozpościera się na ścianie. Usiana jest czarnymi, zielonymi i czerwonymi chorągiewkami zgrupowanymi przeważnie na terenach górskich, gdzie panują idealne warunki dla życia dragonów. Żołądek mi się kurczy, gdy powoli dociera do mnie znaczenie tego oznakowania. Odsuwam dłonie od twarzy i podchodzę bliżej, pożerając oczami widok tych wszystkich czarnych chorągiewek. Mnóstwo. Przechodzi mnie dreszcz na myśl, co mogą sygnalizować.

Z mapy wystają tylko dwie czerwone flagi, ale są one większe od pozostałych. Odizolowane i nieotoczone przez czarne lub zielone chorągiewki. Jedna z nich jest w Kanadzie. Druga w stanie Waszyngton. Strefy zabijania? Strefy śmierci?

Gorączkowo studiuje mapę, koncentrując się na Górach Kaskadowych, niewielkim zakątku, w którym spędziłam całe życie. Widzę tam dwie inne flagi. Jedną zieloną. I jedną czarną. Wykręcam dłonie tak, że tracę czucie w palcach.

Zielona chorągiewka tkwi tam, gdzie są moje rodzinne strony, a obok samotna czarna rzuca na nią cień. Samotna czarna flaga. Odruchowo myślę o tacie. Na przestrzeni dwóch pokoleń był jedynym dragonem w naszym stadzie, którego spotkał nienaturalny koniec. Wlepiam wzrok w tę samotną czarną chorągiewkę tak długo, aż bołą mnie oczy. Ogarnia mnie ponura, straszliwa świadomość. To flaga śmierci.

Budzi się we mnie okropne podejrzenie, oplata mnie niczym wąż. Will może być członkiem grupy, która zabiła mojego ojca.

Znajdujemy się zaledwie o kilkaset kilometrów od naszego stada... Powinnam wpaść na to wcześniej. I może wpadłam, może tkwiło to w mojej głowie przez cały czas. Tylko że ja nie chciałam spojrzeć prawdzie w oczy. Teraz jednak, patrząc na mapę, nie mogę już tego unikać. Oni najwyraźniej polują na naszym terytorium. Zawsze to wiedziałam.

Zaczynam czuć pieczenie w oczach i szybko mrugam. To straszne. Gorzka pigułka, która utknęła mi w gardle.

Tato mnie rozumiał. Wiedział, że muszę latać, bo sam też miał podobne odczucia. Nigdy nie oczekiwałby ode mnie, że zduszę w sobie dragonkę. Nie chcę uwierzyć, że Will jest odpowiedzialny za śmierć jedyne go członka rodziny, który kochał mnie taką, jaka jestem.

Mocno potrząsam głową. Wtedy był prawdopodobnie za młody, by polować. Głęboko w to wierzę. On jest inny. Will pozwolił mi uciec. Nie mógłby zabić mojego ojca... ale jego rodzina tak. I to ona jest na dole.

Schylam się i podnoszę koszulę. Zmuszam się do tego, by wyjść, wybiec, uciec z tego domu, zanim będzie za późno. Zanim nie będę mogła wyjść. Ale nie jestem w stanie oderwać oczu od ściany. Tak, jakby to był jakiś potworny wypadek samochodowy - mapa jest jedyną rzeczą, którą widzę.

Ze straszliwego transu wyrywa mnie szcęknięcie klamki w drzwiach.

ROZDZIAŁ 15

Gdy odwracam się do Xandra, próbuję jakoś trzymać się w ryzach. Głębokim wdechem tłumię strach i staram się nie myśleć o tym, gdzie mnie zastał... o makabrze przebywania w pokoju obitym w skóry zdarte z moich ziomków.

- Co ty tu robisz? - pyta ostrym tonem.

- Szukałam łazienki. - Mrugając, osuszam oczy. Oddycham płytko przez nos i koncentruję się na ostudzaniu żywiołu wzbierającego w mojej tchawicy.

- Zabrakło rąk do pomocy w kuchni. - Przekrzywia głowę i przygląda mi się błyszczącymi, ciemnymi oczyma. - Dlaczego weszłaś na górę? - Omiata wzrokiem pomieszczenie, pstryka palcem w mapę i znów natarczywie się we mnie wpatruje. - Dlaczego tu wieszysz?

- Nie wieszę - zaprzeczam, połykając narastający w gardle żar.

- To co tam masz?

Kurczowo zaciskam w dłoniach zwiniętą tkaninę.

- Nic. To tylko... koszula.

- Willa? Dlaczego ją masz? - marszczy brwi w ciężką i podejrzliwą linię ponad ciemnymi tęczęwkami. - Nie

mów mi, że jesteś jedną z tych dziewczyn, co sypiają z kosmykiem włosów chłopaka pod poduszką. Nie wydajesz mi się aż tak żałosna.

Twardo patrzymy sobie w oczy. Milczę jak kamień. Wyciąga rękę, a ja cofam się o krok. Wiem, że reaguję przesadnie - zwłaszcza w odniesieniu do czegoś, co rzekomo jest niczym - ale inaczej nie potrafię. Nie ma mowy, żebym dała tę koszulę jemu.

Podchodzi bliżej, osacza mnie.

- Co ty kombinujesz? Po co tu naprawdę przyszedłeś? Cofam się.

- Ze względu na Willa. Lubię go i tyle. Dlaczego miałabym tu poza tym przychodzić? - Wewnętrzną stroną dłoni odpycham jego zbliżający się tors. Złość zdominowała moją panikę na tyle, że jestem nawet gotowa go dotknąć. - Odczep się!

Ignoruje to i jeszcze bardziej się przybliża.

- Myślę, że on też cię lubi. A to coś nowego. - Jego spojrzenie beczelnie przesuwają się po mnie, nie oszczędzając niczego. - Co w tobie jest takiego wyjątkowego, he?

Wpadam na biurko. Sięgam odruchowo ręką, żeby przytrzymać się jego krawędzi, ale dotknąwszy jej, przypominam sobie, z czego ją zrobiono. Przerazona cofam rękę i odsuwam się od powierzchni pokrytej onyksową skórą.

Nie uchodzi to jego uwagi. Uśmiecha się ponuro.

- Piękne, prawda?

Jego ramię dotyka mojego, gdy wyciąga rękę i gładzi blat biurka.

Dopada mnie silny skurcz żołądka. Boję się, że zrobi mi się niedobrze. Wymykam się mu, zanim zdążę powiedzieć lub zrobić coś okropnego, nieodwracalnego.

Gdy go mijam, chwytam mnie i zmusza, bym ponownie spojrzała mu w twarz. Na ułamek sekundy moja skóra,

buntując się przeciw jego dotykowi, nabiera czerwonożłotej tonacji.

- Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jakaś dziewczyna podobała się Willowi. On nie pozwala sobie na lubienie dziewczyn. Nie zdarzyło mu się to, odkąd zachorował... z czego wnioskuję, że musisz mieć w sobie coś więcej. I przyznaję, że mnie to intryguje.

Will chorował? Kiedy? Chcę o to zapytać, ale nie wytrzymam ani chwili dłużej w tym okropnym pokoju, z koszulą poplamioną moją krwią, z dotykiem Xandra i natarczywymi pytaniami o to, dlaczego jestem inna.

Wyszarpuję rękę z jego kleszczy i wymijam go tak szybko, że czuję podmuch na policzkach.

Jednak nie udaje mi się zejść zbyt daleko, gdy on znów mnie łapie i odwraca. I wtedy dopada mnie autentyczne przerażenie, że nigdy już nie wyjdę z tego pokoju. Twarz Xandra przybliżyła się tak bardzo, że prawie widzę swe odbicie w jego ciemnych oczach.

- Chcę wiedzieć, co tu robisz.

Szybki oddech rozsadza mi klatkę piersiową, wzbiera w niej dym, który w każdej chwili może przerodzić się w ogień.

- Puść ją.

Ten głos otula mnie, rozlewa studzącą falę ulgi. Na progu stoi Will, jego dłonie otwierają się i zaciskają. Xander jednak wciąż mnie trzyma.

- Przyłapałem ją na myszkowaniu.

Will podchodzi bliżej. Jego twarz jest jak z marmuru.

- Puść ją.

Xander odsuwa się i ustawia mnie obok siebie, nadal ściskając moje ramię.

- Rusz mózgownicą. Nakryłem ją tutaj.

- Robisz z igły widły. - Will zbliżyła się i uwalnia mnie. Potykam się. Xander wyrywa mi ubranie z ręki.

- Nie! - wołam, rzucając się, by ją odzyskać.

Za późno. Xander szybko się wycofuje, podrzuca koszulę i przygląda się jej z udawanym znudzeniem.

- Co w niej takiego jest?

Nie obchodzi go koszula. Tylko to, że najwyraźniej mi na niej zależy... i że zabranie jej mnie denerwuje.

Moje spojrzenie wbite jest w purpurowe plamy krwi, bo w tej chwili to jedyna rzecz, która się liczy.

Oddycham głęboko, a ogień pożera mi płuca.

Dostrzegam moment, w którym Xander uświadamia sobie, na co patrzy. Uważnie obserwuję, jak z jego twarzy znika znudzenie, ustępując miejsca niedowierzaniu - tak jasnemu i żywotnemu jak uderzenie błyskawicy.

Zauważa to również Will. I przez jedną bolesną chwilę stoimy wszyscy jak zmrożeni w oczekiwaniu na to, aż ktoś wykona jakiś ruch i coś powie.

Will jest pierwszy. Odbiera kuzynowi koszulę.

Xander bez sprzeciwu wypuszczają z rąk. Nie jestem w stanie się poruszyć, nie wiem, co powiedzieć, co zrobić. Różne scenariusze, jakie stworzyłam w głowie, nigdy nie przybierały takiego obrotu.

- To nie jest twoja... - mówi Xander do Willa. Chce powiedzieć „krew”. Słyszę to w tym niedopowiedzeniu. Xander podchodzi do mnie, w jego głosie brzmi rozdrażnienie, ciemne oczy błyszczą.

Dygoczę, oszołomiona, niepewna, co mu chodzi po głowie.

Potem odwraca się do Willa.

- Co my wiemy o tej twojej paniencie? Wskoczyłeś z czymś? Podzieliłeś się sekretami rodzinnymi?

Co ty w ogóle o niej wiesz?

- Nie bądź głupi. Daj spokój - syczy Will, jego ręka przesuwa się po moim przedramieniu w poszukiwaniu mo-

jej dłoni. Gest wsparcia? Czy powstrzymywania mnie? -Mylisz się i to ty jesteś tym, który bezmyślnie gada, więc stul pysk.

Myli się co do czego? Co podejrzewa Xander? Ogłupiała, zupełnie pogubiona, patrzę to na jednego, to na drugiego kuzyna. Dlaczego Xander nie wkurza się na widok dragońskiej krwi na koszuli Willa?

Dlaczego nie domaga się wyjaśnień?

Will opuszcza wzrok. Jego oczy szklą się, gdy spogląda na koszulę w swoich rękach... gdy patrzy na moją krew. Przesuwa kciuk po rozmazanej purpurowej plamie, robi to w niemal nabożny sposób.

- Teraz wypuszczasz się sam? Tak? - indaguje Xander. A ja nareszcie rozumiem. Xander oskarża Willa o samotne polowanie na dragony. - Czy twój stary wie, jak ryzykujesz? Niech cię diabli, Will.

Myślisz, że taki z ciebie cholerny as... Kim ona jest, jakąś enkronką czy co? Kręcisz interesy za naszymi plecami?

Reszta jego słów więźnie mu w gardle. Will łapie Xandra za przód koszuli.

- Zamknij mordę!

Xander taksująco spogląda na mnie znad ramienia Willa. Nie wygląda na zaniepokojonego tym, że za dużo wyjawiał. Niby czemu miałyby się martwić? Według niego ja i tak albo już znam prawdę, albo nie potrafię jej odgadnąć, bo jest zbyt niewiarygodna.

Will gwałtownie odpycha Xandra, jakby nie mógł znieść jego dotyku:

-Jeżeli już skończyłeś ten wariacki występ, to chciałbym zejść na dół na deser twojej mamy. A ty jak, Jacindo? Masz ochotę na ciasteczka? - To absurdalnie zwykle pytanie zadane jest ostrym tonem, jakbym nie miała żadnego wyboru. Will kładzie kres przesłuchaniom.

W osłupieniu kiwam głową, myśląc tylko o tym, że to niewykonalne. Xander widział krew. Moją krew. Nawet, jeżeli nie zdaje sobie z tego sprawy. Will też ją zauważył. Po plecach przechodzą mi ciarki, bo on na pewno wie.

Xander mamrocze coś, zabiera się do wyjścia, ale przystaje i rzuca mi złowieszcze spojrzenie. Ledwie daję radę powstrzymać się od ucieczki, do której popycha mnie dragoński instynkt.

Will staje bliżej mnie. Jego bliskość dodaje mi odwagi i spokoju, którego tak rozpaczliwie teraz potrzebuję.

- Idź, Xander. My też zaraz zejdziemy. Xander gniewnym krokiem opuszcza pokój. Patrząc mi prosto w oczy, Will przechodzi od razu do rzeczy:

- Kim jesteś?

Przypominam sobie nas w górach, czułość w jego twarzy, kiedy oglądał mnie w postaci dragonki. Już prawie chcę wyjawić mu prawdę, ale gryzę się w język. Nie jestem aż taka głupia. Nie nadaję się do takich wyznań. A poza tym to nie jest właściwe miejsce. Tutaj w grę wchodzi znacznie więcej niż tylko moje istnienie.

- Nie wiem, co masz na myśli.

Przez dłuższą chwilę wpatruje się we mnie, a potem odwraca wzrok i z niesmakiem omiata nim pomieszczenie. Oczy mu ciemnieją, nabierając barwy cieniściego lasu, a ja wiem, że widzi to wszystko takim, jakie faktycznie jest. Tak jak ja. Wszędzie tylko martwe dragony.

Potem jego spojrzenie przenosi się na koszulę, którą trzyma w dłoni.

- Miałem ją na sobie, gdy skaleczyłaś się w rękę. To twoja krew.

Trzyma ją pomiędzy nami: cichy dowód, którego nie potrafię obalić.

Nic nie mówię... Na jaką obronę mogę się zdobyć?

-Jest tylko jeden sposób na to, by człowiek miał krew w tym kolorze - dodaje.

Usiłuję ukryć swój szok. Człowiek może mieć dragońską krew? Jak to możliwe?

-Jesteś enkronką? - pyta dobitnie. - Bo jak inaczej możesz... - Cichnie i powoli, przeciągle kręci głową.

Wygląda trochę tak, jakby robiło mu się niedobrze.

Zwilżam wargi.

- Co to jest enkron? - Czy mi się wydaje, czy mój głos trochę zakwilił, dławiąc się pytaniem, na które odpowiedź już znam?

Patrzy na mnie wyczekująco. Jakbym miała poczynić teraz jakieś wyznanie. Jego przenikliwy wzrok mówi mi, że nie kupił tego manewru. Wie, że coś ukrywam. Potwierdza to koszula. Will jest teraz blisko, nieubłaganie się we mnie wpatruje, kategorycznie wyczekując odpowiedzi.

- No już, Jacindo. Nie możesz mieć takiej krwi i nie wiedzieć. - Jego źrenice ciemnieją, są jak cicha i czarna toń pośród nocy. - Powiedz, kim jesteś?

Próbuję go wyminąć.

- Powinniśmy już iść...

Ostro powtarza moje imię i zastępuje mi drogę. Nie mam możliwości wywinięcia się od tej konfrontacji. Czuję się osaczona jak królik w pułapce. Puls w gardle bije mi tak, jakby miał rozsadzić piekącą skórę.

Nie potrafię mu tego wytłumaczyć. Za dużo wie, za dużo rozumie... Nie umiem przedstawić sensownego wyjaśnienia.

Robię więc jedyną rzecz, dzięki której mogę powstrzymać to pytanie.

Obiema dłońmi ujmuję twarz Willa i przyciągam ją do siebie. Gdy dotykam ustami jego warg, na krótką chwi-

łę nieruchomieje. Pod moimi palcami jego skóra sprawia wrażenie cieplej, ogrzanej słońcem skały. Zaraz potem Will odwzajemnia pocałunek.

Nierówno oddychając, przyciąga mnie bliżej siebie. Jego ręce przyciskają moje plecy. Zespalam się z nim, moja miękkość wypełnia wszystkie jego twarde linie i załomy. Jak dwa kawałki puzzli, które łączą się ze sobą jednym kliknięciem.

Tłumię narastający w głębi mnie żar i wibracje, ale zaraz potem słyszę we własnej krtani mruczenie. Z pewnością nie ludzkie, lecz dragońskie.

Ryzykuję jeszcze trochę, wykradam parę chwil więcej, zapominając, dlaczego zainicjowałam ten pocałunek, zapominając o wszystkim poza dotykiem jego ust, jego smakiem - słodkim jak mglisty wiatr. Przytula mnie do siebie tak mocno, jakby chciał nas zespawać, trwale zespolić.

Nie mogę już więcej ryzykować.

Nie w tym stanie, gdy moje płuca rozpycha dym, a skóra na twarzy napina się i mrowi nawet w tym gabinecie śmierci.

Cieężko dysząc, odrywam się od niego.

On też drży. Jego ręce wyciągnięte w moim kierunku na oślep chwytają powietrze. Ma trochę oszołomiony wyraz twarzy, orzechowe oczy są tak ciemne, że prawie nie widać ich zielonkawych tęczówek. Wstrzymuję oddech w przekonaniu, że chce przyciągnąć mnie z powrotem do siebie, i w nadziei, że to zrobi. W nadziei, że dokona wyboru za mnie. Jednak Will opuszcza ręce. Patrzy na mnie poważnie, jakbym była czymś, co utracił lub mu wykradziono.

- Chodźmy zjeść deser - mówię bez tchu. Czuję mrowienie na wargach, swędzący żar na całym ciele, jestem tak pełna życia, jak wczoraj wieczorem na przednim sie-

dzeniu jego samochodu, upojona i radosna, jak wtedy, gdy mknę przez mgliste przestworza, a wiatr smaga mi twarz.

Wybiegam z pokoju, zanim się złamię i znów go pocałuję... albo zanim on pomyśli o wznowieniu przesłuchania. Will nadal ma w ręku koszulę, ale uznaję, że mleko i tak już się rozlało.

Gdy schodzimy po schodach, w głowie wciąż kołaczą mi się słowa: Jest tylko jeden sposób na to, by człowiek miał krew w tym kolorze.

Jaki? Jakim cudem dragońska krew może płynąć w ludzkich żyłach? Nigdy o czymś takim nie słyszałam. Czy ma to coś wspólnego z enkronami i ich straszliwymi praktykami?

Uświadamiam sobie, że wprawdzie Will nie wie nic o moim gatunku, aleja wiem jeszcze mniej o jego świecie... i bardzo chcę dowiedzieć się więcej. Dowiedzieć się wszystkiego. Bo ta wiedza może być ceną mojego przeżycia.

ROZDZIAŁ 16

W poniedziałek idę pustym korytarzem, wymknąwszy się podczas lekcji do toalety, i cieszę się chwilą wolną od rozkrzyczanego tłumu. Plakaty na ścianach trzepoczą jak niezdolne do ucieczki ćmy z przyszpilonymi skrzydłami. Klimatyzator mruczy niczym bestia drzemiąca w brzuchu szkoły. Gdy moje kroki odbijają się głuchym echem po starej posadzce, z klas sącą się stłumione głosy.

To miła przerwa. Podczas lekcji angielskiego Ken Łasicowate Oko zagaduje mnie pomimo przestróg pani Schulz, żeby siedział z twarzą zwróconą do przodu. Wszyscy jednak wiedzą, że ta kobieta nigdy nie spełnia swoich gróźb. W klasie więc panuje cyrk.

W moich rodzinnych stronach nigdy nie śmieliśmy lekceważyć nauczycieli. Było to nie do pomyślenia, gdy wykładowcą nauk ścisłych był najstarszy onyks w stadzie. Albo gdy muzyki uczyła skowronkowa dragonka, która siłą swego głosu potrafi kruszyć szkło.

Zatrzymuję się przy wodotrysku i piję zachłannie, rozkoszuję się kojącym chłodem na wargach, języku i w gardle. Na końcu korytarza zatraskuje się jakaś szafka. Podskakuję. Wyprostowując się, wierzchem dłoni wycieram

wodę ściekającą mi po brodzie i widzę dziewczynę, która odchodzi od szafki z książką w ręku. Wzdycham z drzeniem. Przez cały dzień, a właściwie przez cały weekend - od czasu wizyty w domu Willa - nerwy mam napięte jak postronki. Prawie tak, jakbym spodziewała się, że lada chwila dopadnie mnie banda myśliwych.

To chyba logiczne. Zostałam przyłapana w tym pokoju... z tą koszulką w ręku... i jakimś cudem uniknęłam udzielenia jakichkolwiek sensownych wyjaśnień Xandrowi lub Willowi.

Xander jest podejrzliwy, ale daleki od dojścia prawdy. Tak przynajmniej to sobie tłumaczę. Gdyby myślał, że jestem dragonką - albo nawet domniemywał, że mogłabym nią być - nigdy nie wyszłabym stamtąd żywa.

Co innego Will. On może bezpośrednio skojarzyć plamę na ubraniu ze mną. Jeżeli wpadnie na to, że dragon może się przemieniać, to pozna prawdę.

Zatrzymuję się przy drzwiach damskiej toalety, słysząc ciche, pośpieszne szepty i stłumiony śmiech. Wychodzi stamtąd chwiejnym krokiem dziewczyna z rumieńcem na twarzy. Jej oczy błyszczą, gdy stara się poprawić zmierzwione włosy.

- Och - szczebiocze na mój widok. Przeciera usta, jakby w obawie, że ma rozmazaną szminkę. Tyle że szminki tam nie ma. W każdym razie już nie.

Tuż za nią pojawiają się znajome ciemne oczy. Przerazenie ściska mi brzuch.

Szybko schodzę na bok, chcąc ich przepuścić.

Dziewczyna kurczowo trzyma rękę Xandra, ciągnąc go za sobą, jakby to, że przebywanie z chłopakiem w damskiej toalecie było najzwyklejszą rzeczą w świecie.

- Chodź, Xander - chichocze. - Wracajmy na lekcję.

- Cześć, Jacindo. - Kuzyn Willa mija mnie powoli. Ociera się o mnie. Między moimi zębami świszczy powietrze.

Gardło mi się ściska, powraca wspomnienie plam krwi na koszuli w jego rękach. Trzymał w dłoni dowód na to, kim jestem, i nawet o tym nie wie.

Trudno mi skinąć głową na powitanie. W moim wnętrzu szaleją przerażenie i panika. Zwalczam strach, zaciskam pięści w gotowości do obrony. W moich płucach wzbiera dym, gryzie mnie w gardło, rozpycha tchawicę.

- No, chodź, Xander. - Dziewczyna mocniej szarpie go za rękę, obrzucając mnie wściekłym spojrzeniem, najwyraźniej niezadowolona z utraty jego zainteresowania.

- Do zobaczenia na zajęciach własnych, Jacindo. - Wypowiada moje imię tak, jakby je smakował. - Usiądziesz dzisiaj z nami?

Potrząsam głową.

- Będę siedziała z Catherine. Śmieje się.

- Boisz się z nami siedzieć?

Dziewczyna też się śmieje, chociaż widzę, że jest zbita z tropu i czuje się wykluczona z tego dowcipu.

-Niczego się nie boję! - odparowuję, lecz odważne słowa tylko minimalnie pokrywają się z prawdą.

-Nie? - Xander nachyla się bliżej. Powstrzymuję się od cofnięcia, zduszam żar w gardle i ochotę do przemiany. Czyż to nie byłoby idealną reakcją? - Może powinnaś.

Zarzucając rękę na ramiona dziewczyny, odwraca się i zostawia mnie przy wejściu do toalety.

Tępe przerażenie kotłuje się we mnie, gdy patrzę, jak powoli, arogancko oddala się korytarzem. Przed oczami staje mi obraz mojego desperackiego lotu między pokrytymi śniegiem wierzchołkami gór.

Czuję piekący ból

w mięśniach na wspomnienie tej dzikiej, beznadziejnej ucieczki przez las. Tej zabójczej paniki. Na chwilę znów tam jestem. Za mną szybki pościg myśliwych. Wilgotny chłód osnuwa ciało. Ból przeszywa mi skrzydło, rozdziera membranę. Musiało upłynąć wiele dni, zanim rana się zagoiła i ból ustąpił. Przywołuję to wspomnienie, noszę je blisko siebie, chcąc je koniecznie zapamiętać. Xander jest jego częścią. Jest nią również Will.

Może pozwoliłam sobie o tym zapomnieć.

A nie powinnam. Nawet jeśli wciąż czuję jego słodycz na ustach, przysięgam sobie już nigdy o tym nie zapominać.

Przed rozpoczęciem siódmej lekcji siedzę na krześle i zbierając się w sobie, czekam na ich przyjście. Obok mnie jest Catherine, opowiada o zespole, który przyjeżdża do miasta w najbliższy weekend. Razem z Brenda-nem idą na ich koncert. Pyta, czy chcę z nimi pójść. Myślę o tłumie, przytłaczających woniach i odgłosach. Zasłaniam się jakąś wymówką. Potem już się nie odzywam, bo wyczuwam nadejście Willa.

Wchodzi do klasy, widzi mnie. Gdy idzie wprost do naszej ławki, moje serce łomocze, gotowe mnie tym zdradzić.

Spogląda na Catherine i uprzejmie pyta:

- Czy masz coś przeciwko temu, żebym usiadł z Jacindą?

- Tak, ma - odzywam się, zanim Catherine zdąży się zgodzić. - Musimy się pouczyć.

Nie potrafię wyczytać niczego z jego oczu. Gdy na mnie patrzy, źrenice ma płytkie, nieruchome.

Wtedy rozlega się jego głos, który na pewno płytki nie jest. Szorstki pomruk przyprawia mnie o gęsią skórę.

- Pogadamy później - mówi.

Obietnica. Groźba.

Niewinnie się uśmiecham i wstrzymuję oddech, aż Will odchodzi. Ogarnia mnie ulga, że uniknęłam jego towarzystwa i kolejnych pytań, na które nie da się odpowiedzieć. Przynajmniej na razie.

- Co jest grane? - przeciągła mowa Catherine dodaje mi otuchy. Koleżanka pochyla się ku mnie, jej ramię dotyka mojego.

Otwieram książkę.

-Nic.

Opuszczam wzrok i udaję, że czytam. Udaję, że nie przejmuję się tym, że on chce ze mną porozmawiać, że w piątek siedzieliśmy w jego samochodzie i całowaliśmy się tak gorąco, że zaczęłam się przemieniać. Że dotknął mojej nogi, że opatrywał skaleczenie. Że obronił mnie przed swoim kuzynem w tym koszmarnym pokoju, gdzie znów go pocałowałam.

Potrafię o nim zapomnieć. Odrzucić wszystko, co czuję. Mogę. I zrobię to. Przebywanie w jego pobliżu stanowi dla mnie zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Mogę to zrobić. Dla mamy i Tamry. Mogę. Po kolacji zastaję mamę w jej pokoju. Klęczy przy łóżku, a obok niej stoi stalowa kasetka. Z telewizora w salonie rozlega się jazgot pościgu samochodowego.

Stojąc za progiem, obserwuję, jak otwiera szkatułkę. Nawet z miejsca, w którym stoję, wyczuwam je. Zawartość kasety emanuje ku mnie. Krew w nagłym przypływie życia szybciej obiega ciało.

Powietrze się zmienia. Delikatnie się unosi. Rozlega się melodyjny szept. W moich uszach brzmi tak, jakby niezliczona ilość głosików bez ustanku powtarzała moje imię. Jacinda. Jacinda. Jacinda.

Nie umiem się opanować. Podchodzę bliżej, nachylam się, wiedziona zniewalającymi głosami, cichą melodią nuconego przez nie mojego imienia.

Dla wszystkich innych istot kamienie szlachetne są zimne, martwe. Bezgłośnie. Tylko dragony są w stanie usłyszeć ich głosy, wyczuć ich energię. One są naszym paliwem. Naszą siłą witalną.

Odkąd się tutaj wprowadziłyśmy, szukałam ich w pokoju mamy. Bezskutecznie. Tak bardzo pragnęłam znaleźć coś oprócz Willa, co mogłoby mnie umocnić i pomóc mej dragonce przeżyć.

Mama najwyraźniej dobrze ukryła szkatułę. Teraz bierze do ręki jeden z kamieni. Bursztyn, który ledwie mieści się w jej dłoni. Pociera go palcami. Gest niemalże czuły, co wydaje się dziwne, bo właściwie nie powinna być poruszona.

Z kasety bije poświata, która barwi powietrze odcieniami czerwieni, złota i zieleni. Przywołuje moją dragon-kę. Te kamienie są związane ze mną, z moją krwią, krwią całej mojej dragońskiej rodziny, sięgając czasów naszych smoczyczych przodków.

Cała drżąc, wzdycham. Mama słyszy mnie, spogląda przez ramię i w tej samej chwili zatrząskuje pokrywę szkatuły.

Przyczajanie się nie ma już sensu. Podchodzę bliżej. - Co robisz?

Zamyka kasetę z wyrazem napięcia na twarzy. Wsuwa klucz do kieszeni. Patrę, jak podnosi się z podłogi i otwiera drzwi szafy. Serce bije mi rozpaczliwie. Spragnionym wzrokiem spoglądam na szkatułę, którą Mama umieszcza na najwyższej półce, sprytnie zerkając przez ramię. I od razu wiem, że gdy znów tam zajrzę, skarbu już tam nie będzie.

- Nic - odpowiada, wyciągając z szafy roboczy strój. - Po prostu zbieram się do pracy.

Sprzedam kamień.

Pewność aż do bólu ściska mi gardło. Nawet jeżeli przedtem sama proponowałam, żeby sprzedała jakiś kamień - w nadziei, że stado nas wytropi - to teraz nie mogę znieść tej myśli.

- Nie możesz tego zrobić - mówię, patrząc, jak zdejmuje bluzkę i ściąga z wieszaka swój cekinowy top z odkrytymi plecami.

Nawet nie próbuje zaprzeczać.

- Potrzebujemy pieniędzy, Jacindo.

- Te kamienie są częścią nas. Ubiera się, zaciskając usta. -Już nie.

Poruszam inną strunę, tę, która do niej przemówi:

- Stado nas odnajdzie. Wytropią nas. Będą wiedzieli to zaraz po...

- Nie sprzedam ich tutaj.

- A gdzie?

Odwraca się w stronę lustra na toalecie. Nakłada szminkę, która na jej bladej twarzy wygląda surowo jak krew.

- Poproszę o kilka dni wolnego. Sprzedam je gdzie indziej. Daleko stąd. Będziemy bezpieczne.

Mama zawsze znajduje odpowiedzi. Tylko nigdy takie, jakie bym chciała.

Splatom dłonie, usiłując opanować ich drżenie.

- Nie. Możesz. Tego. Zrobić.

Spogląda na mnie z rozczarowaniem w oczach.

- Nie rozumiesz, Jacindo? Tak będzie lepiej.

Jej niezachwiany spokój doprowadza mnie do rozpacz... Sprawia, że czuję się jeszcze bardziej osamotnio-

na. Smutna. Sugeruje, że się mylę. Że powinnam stać się lepszą córką. Taką, która rozumie, że ona usiłuje mi pomóc.

Ale tak nie jest. Nigdy nie zdołam być taką córką, choćbym nie wiem jak się starała. Przynajmniej dopóty, dopóki ona próbuje zabić część mojej istoty.

ROZDZIAŁ 17

Następnego wieczoru ani mama, ani ja nie powracamy już do tematu sprzedaży kamieni. Może to głupie, ale mam wrażenie, że niewspominanie o tym sprawi, iż zapomni o spieniężeniu któregoś z nich.

Ona i Tamra czekają na naszą pizzę w Chubby's, najlepszej ponoć pizzerii w Chaparral, tymczasem ja idę trzy sklepy dalej, aby wybrać jakiś film na dzisiejszy wieczór. Najlepiej komedię. Coś, co pozwoli mi się rozerwać i zrelaksować.

I właśnie wtedy, w drodze powrotnej, dopada mnie on.

Gdy z filmem w ręku przechodzę przez uliczkę tuż przed Chubby's, zostaję gwałtownie wciągnięta w wąski zaułek i wepchnięta pomiędzy bliźniacze betonowe ścianki. W nozdrza wdziera mi się smród z pobliskiego kontenera na śmieci.

Szarpię się, sycząc i prychając dymem, ogień przeżera mi tchawicę. Wykręcając głowę, próbuję się odwrócić i zobaczyć napastnika, zamienić go w skwierczącą stertę kości i popiołu.

- Przestań!

Natychmiast rozpoznaję ten mroczny głos i właściwie nie czuję zaskoczenia. Gdzieś w głębi podświadomo-

ści wiedziałam, że jeśli stado kiedykolwiek mnie wytropi i odnajdzie... to on będzie tą akcją dowodził.
Lekko mną potrząsa.

- Skończyłaś? Nie odwrócę cię, dopóki nie przyrzekniesz, że mnie nie spalisz.

Śmieję się łamiącym się głosem.

- Nie jestem pewna, czy mogę ci to obiecać.

Po dłuższej chwili wielkie dłonie na mych ramionach się rozluźniają. Uwolniona odwracam się chwiejnie.

- Cześć, Jacindo - mówi, jakby nasze spotkanie było naj zwyczaj niej szą rzeczą w świecie.

Moje oczy w zwolnionym tempie przetwarzają i akceptują to, co i tak już wiem. Przyglądam się mu.

Kolos. Potężny jak mur. Dobre dwa metry. Zapomniałam już, jaki jest wielki. Jak wygląda. Tutaj w ludzkim świecie skurczył się w mojej głowie wraz z upływem czasu i odległością. Teraz znów dociera do mnie, dlaczego ten onyks dowodzi moim stadem. Ponad nim jest tylko jego ojciec.

-Jak nas odnalazłeś, Cassianie?

Przechyliła głowę na bok. Na jego ramionach przebijają purpurowoczarne pasma.

- Myślałaś, że was nie znajdę? - pyta.

- Nie wiem, dlaczego musiałaś spróbować.

- Naprawdę?

- Dlaczego po prostu nie mogłeś zapomnieć...

- Nie mogę.

- Bo tatuś tak powiedział? - syczę, mając na myśli jego ojca.

Spod oliwkowej karnacji Cassiana prześwituje antracytowa czerń, dragon chce przebić się na powierzchnię.

- Nie jestem tutaj ze względu na mojego ojca ani na stado.

Jego purpurowoczarne oczy wwiercają się we mnie i czuję, że to prawda. Wiem, o czym mówi. Jest tutaj w swoim imieniu.

Przekrzywiam głowę.

-Wiadomość dnia jest taka, że nie zamierzam wracać do domu.

W każdym razie nie w ten sposób. Nie z nim ciągnącym mnie tam na siłę.

Odpowiada w sposób typowy dla dragońskich samców. Jego twarz nabiera kanciastych rysów, nos rozszerza się kilkoma ostrymi fałdami, skóra połyskuje, co chwilę wychylając się na powierzchnię na zmianę z ludzką.

Trzymam się w ryzach, przebieram palcami w butach. Z nosa uchodzi mi para jak ciepły oddech w zimowe dni.

- Nie zastraszysz mnie tą demonstracją macho - kłamię. - Będę walczyć - ostrzegam.

Może i jest silniejszy, aleja nie jestem bezbronna. On oczywiście o tym wie. Dlatego tu jest.

Ostatecznie przecież pragnie mnie ze względu na to, co potrafię.

Uważnie mi się przygląda.

-Jesteś na to gotowy? - rzucam wyzwanie.

- A ty?

Czy jestem gotowa spalić go jednym tchnieniem? Wraz ze wszystkimi złowrogimi spojrzeniami on stanowi część mojej przeszłości, jest jednym z moich pobratymców, schedą, którą moja mama spakowałaby i sprzedała jak stare dziecięce ciuszki.

- Nie możesz walczyć z całym stadem - mówi po chwili Cassian.

Unoszę brew z łagodnością, której nie czuję.

- O, czyli jednak wciągasz w to stado? Myślałam, że jesteś tutaj we własnym imieniu.

- Bo jestem. Oni i tak kogoś po ciebie wyślą. Zgłosiłem się na ochotnika, lecz jeśli wrócę z pustymi rękoma, po prostu wyślą kogoś innego. Prawdopodobnie Corbina.

Próbuję nie drzeć. Corbin. Syn Jabel i kuzyn Cassia-na. On i Cassian nigdy się nie dogadywali. Nawet nie próbowali.

- Wróc ze mną, Jacindo. To nieuniknione. Dłonie zwijają mi się w pięści, paznokcie wbijają się w ciało.

- To tego chcesz? Żeby wróciła z tobą i nienawidziła cię do końca życia, bo nie dałeś mi wyboru?

- Przejdzie ci...

- Nie, nie przejdzie.

Przez chwilę wygląda na zaskoczonego, potem smutnieje. Marszczy brwi, jakby widział mnie po raz pierwszy. A w każdym razie taką mnie.

- Mógłbyś wrócić - mówię, wykorzystując tę furtkę i zmylić tropy. Powiedzieć im, że nie mogłeś nas odnaleźć...

- Nie mogę tego zrobić.

- Czy ty myślisz, że ja któregoś dnia po prostu się obudzę i uznam, że znowu chcę być własnością stada, narzędziem wykorzystywanym do hodowli? - krzyżuję ramiona. - Nie wrócę.

Wpatruje się we mnie przez dłuższą chwilę. Pod wpływem tego spojrzenia kotłuje mi się w żołądku i przez moment dokładnie rozumiem wrażenie, jakie on wywiera na tak wielu dziewczynach. Na mojej siostrze i każdej innej w stadzie.

- Dobrze. Ale to niemożliwe, żeby ci się tu podobało. Nie wierzę, że chcesz tu zostać. To nie jest twoje naturalne środowisko. Niezależnie od tego, co mówisz i co teraz

myślisz, świat ludzi cię zmęczy. Ten upał musi być piekłem dla dragonki. Prawdziwa masakra. Sprawdzę cię za jakieś... - odchyła głowę do tyłu, jakby kalkulując, ile tu wytrzymam - pięć tygodni. Pięć tygodni. No, no. Jestem niemal zaskoczona, że daje mi tyle czasu.

- Moja matka bardzo się ucieszy, kiedy do nas wpadniesz. Pewnie ugotuje duszone mięsko z warzywami.

- Ona nie musi wcale wiedzieć, że cię znalazłem... albo że będę w pobliżu. - Jego usta się wykrzywiają. - Nie chcę, żeby cię zabrała i znowu uciekła.

Jasne, że by to zrobiła! Cassian ma co do tego rację.

Jego oczy świdrują mnie i budzi się we mnie znajomy niepokój. Jest też jeszcze coś innego. Coś, czego przedtem nigdy nie odczuwałam w obecności Cassiana. Dziwne pragnienie, tęsknota. Tłumaczę to sobie stadnym instynktem, nostalgią za mym gatunkiem. To ma sens. Nie chodzi akurat o niego.

Tylko o to, co sobą reprezentuje. Niesie z sobą niemal namacalną woń gór i mgieł. Z całych sił muszę panować nad sobą, by nie podejść bliżej i jej nie wdychać, nie przyłożyć nosa do tego ciepłego, aromatycznego ciała.

- Potrafię być cierpliwy - dodaje.

Nic nie mówię. Po prostu odwzajemniam spojrzenie, czując lekki zawrót głowy, gdy patrzę w te purpurowo-czarne oczy i powstrzymuję się od przysunięcia do niego.

Przedtem nigdy nie określiłabym go jako cierpliwego. Był typem faceta, który brał wszystko bez pytania, bo takie było prawo przysługujące mu z urodzenia. Wielki książę dragonów. Jak każda inna dragonka powinnam padać do jego stóp w poddańczym uwielbieniu. Co mogło go zmienić?

Opieram rękę na biodrze.

- Ty? Cierpliwy? Naprawdę?

Wzdycha i zbliża się do mnie. Cofam się, aż natrafiam plecami na twardą ścianę.

- Jacindo, nie będę zaprzeczał, że mam nadzieję na coś więcej między nami. Coś prawdziwego i trwałego. - Dostrzega chyba zmianę w wyrazie mojej twarzy, bo szybko podkreśla: - To tylko nadzieja. Nigdy nie będę niczego forsować.

- A jeżeli ja tego nie zechcę? Nigdy?

Zaciska wargi w wąską kreskę, jakby sprawdzał smak tej wizji. I jakby nie znajdował w niej upodobania.

- Wtedy uszanuję twoje życzenia. - Wypluwa te słowa tak, jakby trzymanie ich w ustach bolało. Na twarzy ma wyraz takiego obrzydzenia, że jest to niemal śmieszne. Nie odpowiada mu wyobrażenie, że nigdy bym się z nim nie związała i nie wyprodukowała całej gromady ognio-ziejków. Niezależnie od tego, czy jest tego świadom, czy nie, już teraz patrzy na wszystko oczyma alfy. Król stada, który dba o przyszłość naszego gatunku. Za wszelką cenę. Twierdził, że przybył tu w swoim imieniu. Tyle tylko, że nie zdaje sobie sprawy z tego, iż stado jest jego częścią. Nigdy nie będzie umiał oddzielić potrzeb i pragnień stada od własnych. I właśnie w tym czai się niebezpieczeństwo.

- Daj mi słowo. Przymierz się, że nie będziesz ingerował w mój pobyt tutaj. Że nie będziesz zmuszał mnie do powrotu.

Wiem, że jeśli to obieca, to mu uwierzę. Poznałam go z wielu stron, ale nigdy nie kłamał. Patrzy mi prosto w oczy.

- Przymierzam.

- Dobrze - w końcu się zgadzam, wymijając go. - Ufam ci.

Bo jest w jego oczach, w jego twarzy coś, co sprawia, że mu wierzę. A poza tym, czy mam jakiś wybór?

- I powinnaś - mówi pod nosem. - Zawsze możesz mi ufać.

Wychodząc z zaułka, dostrzegam mamę i Tamrę, które opuszczają Chubby's. Zerknąwszy przez ramię, przekonuję się, że Cassian zniknął. Nagły powiew odciąga moje spojrzenie ku górze. Mroczny cień śmiga w powietrzu coraz wyżej i znika w ciemnościach tak szybko jak ulatująca mgła. Pozostaje tylko jego głos, szept w moich uszach: Zawsze możesz mi ufać.

Oby miał rację. Tak naprawdę mam nadzieję, że nie dałam się zwieść pozorom.

Wzdrygam się, gdy zaraz po rozpoczęciu piątej lekcji niespodziewanie rozlega się dzwonek.

Zdezorientowana widzę, że cała klasa wyskakuje z ławek, zostawiając swoje rzeczy w sali.

- Co się dzieje? - pytam dziewczynę obok mnie. Przewraca oczyma.

- Gdzie ty byłaś? Nie słuchałaś ogłoszeń? Od tygodnia o tym trąbią!

Potrząsam głową. Rejestruję głos dyrektora wydobywający się z głośników i podający każdego ranka wiadomości szkolne, ale nawet teraz, po miesiącu tutaj, nie skupiam na nim szczególnej uwagi.

Miesiąc tutaj. Myślę tak jak więzień. Skazaniec odliczający czas wyroku.

Powraca wspomnienie Cassiana. Prawie nie zmrużyłam oka, bo wciąż mam przed oczyma jego w tamtym zaułku. Kusząca jest myśl o tym, że może być blisko, zaraz obok, gotów zabrać mnie do domu, w razie gdybym miała tego wszystkiego dość. Gdybym nie mogła już tego znieść. Dobrze mieć jakąś strategię ucieczki.

- Mamy zbiórkę kibiców przed rozgrywkami - wyjaśnia dziewczyna.

-Aha - spoglądam na ławkę i zastanawiam się, czy nie mogłabym zostać w klasie.

- Obecność jest obowiązkowa - dodaje sąsiadka.

- Aha - powtarzam.

Rzuca mi zniesmaczone spojrzenie.

- Trochę ducha szkolnej wspólnoty nie zaszkodzi. Nasza drużyna bejsbolowa dostała się do rozgrywek pucharowych.

Kiwam głową, jakbym o tym wiedziała i była tym bardzo przejęta. Tymczasem już myślę do przodu.

Zbieram się w sobie przed tym zbiegowiskiem. Mam nadzieję, że odbędzie się na podwórzu.

Ciarki mnie przechodzą na myśl o pozostaniu w budynku, w tłumie ponad sześciuset uczniów. To wykluczone. Nie poradziłabym sobie z tym. Wuef w sali gimnastycznej z sześćdziesięcioma osobami był już wystarczającym koszmarem. Wstaję i podążam za uczniami wylewającymi się z klas na korytarze.

Gdy widzę, jak wszyscy schodzą do sali gimnastycznej zaprojektowanej siedemdziesiąt lat temu dla o wiele mniejszej społeczności szkolnej, uznaję, że nic nigdy nie idzie po mojej myśli.

Głębokie dudnienie bębnowi niesie się po starym drewnianym parkiecie i po moich nogach wędruje ku klatce piersiowej, gdzie odbija się nieprzyjemnym pulsującym echem.

Przechodzę przez dwuskrzydłowe drzwi, a mój żołądek rozstraja się i skręca na widok podekscytowanych nastolatków ciasno stłoczonych na trybunach. Zespół muzyczny stoi na drugim końcu sali. Jego członkowie ubrani są w ciemnoczerwone stroje z kołnierzykami, które sprawiają wrażenie sztywnych. Grają na instrumentach, kołysząc się

tak, jakby sprawiało im to przyjemność. Co innego mówią jednak ich obrzmiałe czerwone twarze zlane potem.

Mnie też po plecach spływają strużki potu. Tutaj jest jeszcze cieplej niż na dworze. Pory szeroko mi się otwierają w zachłannym poszukiwaniu chłodniejszego powietrza, mgły i skroplonej pary wodnej, a napotykać tylko przesłodzoną woń zbyt wielu stłoczonych ludzi. Otacza mnie kotłujący się tłum uczniów.

- No, ruszaj się - burczy jakaś dziewczyna, poszturchując mnie.

Morze ciał niesie mnie w głąb sali dalej, niż chciałabym być. Odwracam się i zwlekam, usiłując odnaleźć za sobą jakieś drzwi lub coś innego. Albo kogoś, kogokolwiek, kto mógłby być moją ostoją w tym spoconym potoku ludzi. Tamra. Catherine albo Brendan. Nawet Nathan by się nadawał. Ktoś, kto odciągnie moją uwagę i pomoże to przetrwać.

Byle nie Will. To wiem na pewno. On pochłonałby mą uwagę w niewłaściwy sposób.

Wyciągam głowę, usiłuję zaczerpnąć świeżego powietrza, lecz to niemożliwe. W sali panuje zaduch i unosi się odór spoconych, brudnych ciał. Oddycham głębiej, wciągam powietrze w kurczące się płuca. Wyłapuję zapach krwi wtopiony w parkiet i robi mi się niedobrze, opadam z sił. W uszach mam głos Cassiana: Niemożliwe, żeby ci się tu podobało. Nie wierzę, że chcesz tu zostać. To nie jest twoje naturalne środowisko.

Poruszam się na odrętwiałych nogach. Wmawiam sobie, że taki wiec kibiców nie może trwać długo, i wreszcie siadam. Wciskam się na pierwsze wolne miejsce, które dostrzegam - jak najniżej na trybunie. Cheerleaderki zabawiają tłum, podskakują i wymachują pomponami. Widzę Brooklyn. Jej przesadnie błyszczące usta przybierają dziki wyraz, gdy krzyczy w stronę

publiczności. A z przodu, w martwym punkcie, tak blisko akcji, jak to tylko możliwe, siedzi Tamra. Na jej twarzy maluje się zachwyty.

- Hej! - Szturcha mnie dziewczyna z aparatem korekcyjnym na zębach. Zielone gumki między metalem wyglądają jak pasma glonów. - Jesteś z pierwszej klasy?

Gapię się na nią, wsłuchuję w groźne kłapanie jej zębów, podczas gdy ona wyrzuca z siebie kolejne słowa. Słowa, które zdają się do mnie nie docierać.

Bombarduje mnie zbyt wiele doznań. Bicie w bębny dudni mi w głowie jak tysiąc pięści, które za wszelką cenę chcą od środka rozsadzić mi czaszkę.

Drzę, wzdrygam się, gdy zrywają się okrzyki - jeszcze głośniejsze niż łoskot bębnow.

Rozglądam się oszołomiona. Przez jedno z dwuskrzydłowych drzwi na boisko wbiega tuzin chłopaków w czerwonych strojach bejsbolowych. Publiczność szaleje, kipi wokół mnie jak wzburzone morze.

Ponad tym wszystkim rozlega się głos dyrektora - dziwny, bezcielesny dźwięk z mikrofonu. Niczym Bóg przemawiający do tłumów.

Czuję bezwzględne szarpnięcia za rękaw i zerkam w bok. To znowu ta dziewczyna. Glonowy Zgryz.

- Ej ty, to miejsca pierwszej klasy. Słyszę słowa, ale ich nie rozumiem.

- Co ty? Ryba jesteś? - pyta. Och.

- Druga klasa - odpowiadam.

Nachyla się bliżej, przysuwa twarz do mojej i mówi głośno, powoli cedząc słowa. Jakbym była upośledzona umysłowo.

- Ty. Siedzieć. Tam. - Dźga palcem powietrze nad moim ramieniem.

Dwie dziewczyny obok niej się śmieją, wymieniają aprobowane spojrzenia. Zniecierpliwiona trąca mnie w ramię.

- No już. Wynocha stąd.

Przygnębiona zbieram się do odejścia. Nie przez Glonowy Zgryz, ale przez to wszystko. Bo tu jestem. Bo straciłam wszystko. Przesztorza, stado... moje życie.

Bo mama nie przejmuję się tym, co mi robi. Bo Tam-ra jest taka szczęśliwa. Bo nie mogę być blisko Willa, jedynego człowieka, który sprawia, że znów jestem sobą, i który łagodzi nekające mnie cierpienia.

Wstaję. Kilka rzędów od parkietu zaczyna mi się kręcić w głowie. Suche powietrze, zaduch, ogłuszający hałas, tłum osaczający mnie ze wszystkich stron...

To za dużo. Za dużo. Nie dam rady.

Ktoś krzyczy, bym usiadła. Dołączają do niego inne głosy. Chwieję się na nogach. Drzę. Czuję, że krew odpływa mi z twarzy - jak woda przez sito.

W zgiełku rozpoznaję głos Glonowego Zgryzu:

- O rany! Będzie rzygać czy co?

Rzygać? Dobrze by było, gdyby tylko zbierało mi się na wymioty. A nie na śmierć. Gdybym nie przemieniała się w trupa. W upióra.

Robi mi się czarno przed oczyma. Nic nie widzę. Ledwie mogę utrzymać się na nogach. Unoszę stopę, usiłując zejść niżej. I widzę, co mnie spotka. Będę gryźć parkiet. Albo na kimś wyląduję. Wiem to.

Czuję, że się chwieję. Osuwam się w coraz głębszą otchłań. Świst powietrza na twarzy.

A potem już nic. Wszystko ustaje.

Jakaś dłoń chwytą mnie za rękę. Pociąga mnie. Łapie. Ciemność ustępuje. Do mych oczu dociera światło, a wraz z nim pojawia się twarz.

Will.

Pochyla się nade mną, na jego twarzy widać skupienie i surowe piękno. Orzechowe oczy lśnią, pulsują uczuciem, którego nie potrafię rozszyfrować. Niewyraźnie mamrocze coś pod nosem, potem zaciska zęby i nic już nie mówi.

Jego dłoń przesuwa się po mojej dłoni i łączy się z nią. Nasze palce się splatają, linie papilarne wymieniają pocałunki. Przez ten jeden dotyk wyczuwam szybkie bicie jego serca. Ten równomierny puls przywraca mnie do życia.

Jego obecność zawsze tak nam mnie działa. Cuci mnie. Przegania upiora, tak jak wichur rozpędza mgłę. Moja skóra się napina, odzyskuję czucie. W piersi wzbiera wibracja. Oddycham z ulgą, wdzięcznością i czymś jeszcze.

Nasze spojrzenia się spotykają. I w tej samej chwili wszystko cichnie. Ulatuje i staje się tylko odległym szmerem. Jesteśmy sami.

ROZDZIAŁ 18

- Chodźmy stąd. - Na dźwięk jego głosu czar pryska. Znowu zalewa mnie zgiełk. Fałszowana muzyka. Setki wrzeszczących nastolatków. Nieprzyjemne zapachy. Powracają zawroty głowy. Rozglądam się po wirującym kręgu twarzy. Głonowy Zgryz wytrzeszcza oczy. Jej przyjaciółki są równie zszokowane.

Kiwam głową. Tak, jak najszybciej. Nagle już nie liczy się to, że nie mogę z nim być. Po prostu muszę uciec z tej sali.

Za rękę sprowadza mnie na dół. Jego ciepłe palce są splecione z moimi. To wspaniałe uczucie - jakbym znowu była bezpieczna. Porusza się pewnie, schodzimy z trybun. Szybko wymijamy spóźnialskich, wśród nich również Catherine, która łapie mnie za nadgarstek.

- Dokąd ty... - milknie na widok Willa. Mówi coś, czego nie jestem w stanie zrozumieć.

Pociągnięta za rękę idę dalej.

- Hej, Will! - Z najwyższych rzędów trybun Angus przywołuje go gestem, by z nim usiadł. Nie widzę Xandra. Prawdopodobnie jest z jakąś dziewczyną w toalecie.

Will kręci przecząco głową i ściska moją dłoń. Przechodzimy przez środek sali, dokładnie tam, gdzie siedzi Tamra. Odwracam głowę, widzę, jak podnosi się

z miejsca i rzuca nam gniewne spojrzenie. W jej bursztynowych oczach dostrzegam niepokój, którego nie rozumiem.

Wtedy jej wzrok przesuwają się na tańczące cheerleaderki. I teraz wszystko jest jasne. Pojmuję, dlaczego akurat teraz na nie patrzy. Ja nie powinnam, ale też to robię. Oczy moje i Brooklyn się spotykają. Jej twarz płonie, a ja wiem, że nie ma to nic wspólnego z wykonywaniem układu tanecznego.

Potem jednak już nic nie widzę, nawet gdybym chciała. Will otwiera ciężkie dwuskrzydłowe drzwi. Gdy wychodzimy na korytarz, poziom hałasu obniża się do stłumionego pomruku. Wciąż czuję bębnienie niosące się po budynku i dudniące we mnie.

- Dokąd idziemy? - pytam.

Will idzie dalej, zamasyście przemierzając korytarz długimi krokami. Ciągnie mnie za sobą, aż wydostajemy się na zewnątrz i podążamy zadaszoną ścieżką. Cię trochę chroni przed suchym, żrącym upałem.

- Czy to ważne? - zerka na mnie przez ramię połyskliwie ciepłym i przejmującym wzrokiem. Czuję motyle w brzuchu.

I myślę sobie, że nie. Nieważne, dokąd idziemy. Gdziekolwiek, byle nie do sali. Gdziekolwiek, byle z nim.

Przechodzimy do głównego gmachu i Will prowadzi mnie na klatkę schodową na południowym krańcu budynku.

Trzaśnięcie drzwi niesie się po klatce długim, głębokim echem i zamyka nas w niej. Mam wrażenie, że znaleźliśmy się w ciasnej kapsule, zaplombowani pod ziemią. Oddzieleni od wszystkich i wszystkiego. Ostatnie dwie żywe istoty na świecie.

Will wypuszcza moją dłoń i siada na stopniu. Idę za jego przykładem, zajmując miejsce schodek niżej - mając się na baczności, by nie usiąść tuż obok niego. Czuję pod

sobą chłód i twardość betonu. W plecy wrzyna mi się stalowa poręcz.

Przeważnie unikam tych ciasnych, dusznych klatek schodowych i poruszam się łączącymi pierwszą i drugą kondygnację otwartymi rampami w środkowej części budynku. Nawet jeśli droga na lekcję zajmuje mi wtedy więcej czasu.

Tutaj jednak, z Willem, tak bardzo mi to nie przeszkadza. Mogę znieść to klaustrofobiczne uczucie.

- Dzięki, że mnie stamtąd wyciągnąłeś - mamrocze, splatając palce na kolanach i spoglądając w górę na niego.

- Trochę pozieleniałaś.

- Niezbyt dobrze czuję się w tłumie. Chyba zawsze tak miałam.

- Możesz mieć kłopoty - ostrzega i patrzy na mnie w dziwny, wyglodniały sposób, który mnie zniewala. Przesuwa palcem po dolnej wardze. Przez ułamek sekundy jego oczy wyglądają dziwnie.

Inaczej. Mają rozjarzone tęczę i wąskie ciemne źrenice. Prawie jak u dragona. Mrugam z niedowierzaniem. I znów są normalne. To pewnie tylko moja wyobraźnia przeciążona nadmiarem wrażeń. Prawdopodobnie przenoszę na niego tęsknotę za domem, za Az, za wszystkim. - Zbiórki kibiców są obowiązkowe - ciągnie dalej. - Mnóstwo ludzi widziało, że wyszłaś. Nauczyciele też.

- Ciebie też widzieli, jak wychodzisz - przypominam. Przechyliła się na bok i opiera łokieć na jednym ze stopni za sobą.

- Nie przejmuję się tym. Już przedtem miewałem kłopoty. - Uśmiecha się krzywo i podnosi dwa skrzyżowane palce. - Dyrektor i ja żyjemy tak. Ten gość mnie uwielbia. Naprawdę.

Wybucham śmiechem - ochrypłym i zardzewiałym.

Jego uśmiech działa na mnie krzepiąco. Czuję się wolna. Jakbym przed niczym nie uciekała. Jakbym mogła zostać w tym świecie - wystarczyłby jedynie, bym miała jego.

Ta myśl wywołuje we mnie niepokój. Cięży mi na sercu, bo przecież nie mogę mieć Willa. To nierealne. Wszystko, czym on może być dla mnie, to tylko chwilowe zauroczenie.

- Ale martwisz się, że ja będę mieć kłopoty? - staram się nie okazać, jak miło mi z tego powodu. Udało mi się go unikać przez parę dni, a teraz tu siedzę. I niczym zaniedbany piesek chłopcę jego zainteresowanie mną. Głos mi się załamuje. - Dlaczego się tym przejmujesz? Przecież przez wiele dni cię ignorowałam.

Przestaje się uśmiechać. Spogląda poważnie, niemal szyderczo.

- Tak. Musisz z tym skończyć. Zduszam w sobie śmiech.

- Nie mogę.

-Dlaczego? - W jego oczach nie ma już humoru ani szyderstwa. - Podobam ci się. Chcesz być ze mną.

- Nigdy nie mówiłam, że...

- Nie musiałaś. Gwałtownie oddycham.

- Nie rób tego.

Patrzy na mnie bezwzględnie, uważnie, to znowu gniewnie.

-Ja nie mam przyjaciół. Czy widziałaś mnie z kimś poza moimi stukniętymi kuzynami? Mam swoje powody. Celowo wolę trzymać ludzi na dystans - rzuca. - Ale gdy pojawiłaś się ty...

Marszczę brwi i potrząsam głową.

Twarz mu łagodnieje, porusza we mnie jakąś strunę. Jego spojrzenie wędruje po mojej twarzy, rozgrzewa najgłębsze sfery mojej istoty.

- Kimkolwiek byś była, Jacindo, wiem, że jesteś kimś, kogo muszę wpuścić do mojego świata. Przez chwilę nic nie mówi, tylko wnikliwie mi się przygląda. Jego nozdrza się poruszają i znów wygląda to tak, jakby wylapywał mój zapach czy coś w tym rodzaju.

- W pewnym sensie - ciągnie dalej - myślę, że cię znam. Od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem, wiedziałem, że cię znam.

Te słowa budzą we mnie wspomnienie tego, jak w górach pozwolił mi uciec. Jest dobry. Opiekuńczy. Z jego strony nic mi nie grozi, ale muszę mieć się na baczności przed jego rodziną.

Przysuwam się bliżej, nie mogę się oprzeć jego sile przyciągania. Przy nim ciepło i wibracje w moim wnętrzu są tak naturalne, tak łatwo mi przychodzą. Wiem, że muszę być ostrożna i powściągliwa, ale obok niego jest mi tak dobrze.

Widzę, jak nasila się puls na jego szyi.

-Jacindo...

Ten ochryply szept przyprawia mnie o dreszcz. Patrzę na niego. Czekam. Zsuwa się niżej, by usiąść na tym samym stopniu. Zbliża twarz do mojej, przechyla głowę. Jego oddech jest ciężki. Szybki.

Wypełnia przestrzeń, tych kilka centymetrów, które nas dzielą.

Dotykam jego policzka, dostrzegam drżenie swojej ręki i szybko ją cofam. Łapie mnie za nadgarstek, z powrotem przykładając moją dłoń do swej twarzy i zamyka oczy, jakby cierpiał. Albo odczuwał rozkosz. Albo jedno i drugie. Jakby nigdy przedtem go nie dotykano. Serce mi się ściska. Zupełnie, jakbym ja nikogo przedtem nie dotykała.

-Już nigdy więcej mnie nie unikaj.

Ledwie mogę się powstrzymać od powiedzenia mu, że tego nie dotrzymam. Nie mogę mu tego obiecać. Nie umiem skłamać.

Otwiera oczy. Spogląda poważnie, ze smutkiem.

- Potrzebuję ciebie.

Mówi to takim tonem, jakby była to najgorsza z możliwych rzeczy. Nieszczęście, które trzeba przyjąć.

Uśmiecham się ze zrozumieniem, bo czuję to samo.

- Wiem.

Wtedy całuje mnie, a ja jestem zbyt słaba, by się opierać.

Jego usta są chłodne, suche. Drżą... a może to ja drzę?

Początkowo odpowiadam na ten całus ostrożnie, stanowczo chcąc tym razem panować nad sobą... ale jednocześnie czuć go, cieszyć się delikatną pieśczołą jego warg, smakować tę przerwę w tutejszej samotności. Pogłębia pocałunek, a ja go odwzajemniam, myśli wyciszają się - jak drobne kamyczki, które jeden po drugim wpadają do wody i opadają coraz głębiej, by pogrążyć się w mroku zapomnienia.

Zatracam się w odczuciach moich zmysłów, w jego smaku, zapachu czystej skóry, mięcie pasty do zębów. I się rozbudzam. W klatce piersiowej narasta wibracja. Ożywają kości. Po plecach tańczą mi dreszcze...

O Boże. Znowu. Nie!

Odrywam się od niego, odpycham go od siebie z bolesnym westchnieniem, przylegam do zimnej, bezlitosnej poręczy, by twardy metal wrzynał mi się w plecy, ukarał skrzydła, które prą na powierzchnię. Teraz mam je pod kontrolą.

Ukrywa twarz w załomie mojej szyi, przytula, szepcze moje imię.

Twarz mi faluje, napina się. Grzbiet nosa i mostek rozpychają ciało. Zerkam na ręce. Skóra mieni się, słabo połyskuje, jakby była posypana złotym pyłem.

Z cichym łkaniem odwracam się i chowam twarz w zimnym metalu balustrady. Panika zatyka mi usta.

Po-

jawią się przerażenie. Tak jak tamtej nocy w jego samochodzie. Nie do wiary, że znowu do tego dopuściłam, że mogłam tak słabo panować nad sobą. Być tak głupia. Czy za pierwszym razem niczego się nie nauczyłam?

Miarowo oddycham przez nos, postanawiam być twarda, dojść do siebie w jego obecności. Nie będę tą, która wyjawia największy, najpilniej strzeżony sekret dragonów.

Spoglądam na rękę i widzę tylko leciutki złocisty pobłysk. Napinam policzki, dotykam swej twarzy i czuję, że skóra znów jest miękka, normalna. Ludzka.

Dłoń Willa delikatnie zamyka się na moim ramieniu, jego palce niepewnie się na nim zaciskają.

-Jacindo...

Po dłuższej chwili, gdy jestem pewna, że niebezpieczeństwo minęło, odwracam się. Oddycham ostrożnie, powoli, spokojnie...

Przygląda mi się, a w jego oczach widać cierpienie. Ból ściska mi gardło. Will jest jedynym promykiem światła, który tutaj odnalazłam. To niesprawiedliwe. W tym wypadku moja dragonka działa na własną niekorzyść. Dotykam swoich warg. Wciąż pieką, wciąż czuję na nich jego smak. Odzywa się tym głębokim, miękkim głosem, który brzmi jak tamtego dnia w górach, gdy emocje były gęste jak tamtejsza mgła.

-Przepraszam. Chyba mnie poniosło. Myślałem...

- Potrzęsa głową, dłońmi przeczesuje włosy, najwyraźniej nie rozumiejąc, odczytując z mojej twarzy coś innego.

- Z tobą ja po prostu... Jacindo, ja nie chciałem...

- Przestań - mówię.

Nie mogę znieść tego, że przeprosza mnie za pocałunek.

Skoro sama tego chciałam. I skoro chcę, by znowu to zrobił. Oddycham głęboko, z satysfakcją, że odzyskałam panowanie nad sobą i powstrzymałam przemianę.

Przypominam sobie, że to dobrze. Moja dragonka reaguje na niego. Ożywa. Może tylko troszkę za bardzo. Postanawiam, że nauczę się lepszej samokontroli. Bo go potrzebuję. On jest wszystkim, co mam. Nie Cassian. Nie potrzebuję, by Cassian mnie ratował.

Mam Willa. Tutaj to on otwiera mi drogę powrotu do latania.

Will nadal papie, jakby nie był w stanie nic na to poradzić.

- Nie biorę ci za złe, że myślisz, że wykorzystałem sytuację i chcę się zabawić. Próbuję obściskiwać się z tobą na szkolnej klatce schodowej jak jakiś...

Zamykam mu usta następnym pocałunkiem. Zero delikatności albo wprawy. Po prostu przyciągam jego twarz ku mojej i przyciskam usta do jego warg. Po części dlatego, że chcę, a po części dlatego, że nie potrafię się powstrzymać. Częściowo dlatego, że muszę sobie przypomnieć, jak bardzo powinnam go unikać. A częściowo dlatego, że zapanowałam nad sobą i chcę znów spróbować.

Płuca mam chłodne. Skóra jest miękka i nienapięta. Willowi najwyraźniej nie przeszkadza moja niezdarność. Po chwili nieruchomego oszołomienia głaszczę mnie dłońmi po plecach. Skóra w tych miejscach natychmiast zaczyna mrowić, a mięśnie się napinać.

Kolejny dowód na to, jak bardzo się myliłam. Nie potrafię nad sobą panować. Nie umiem powstrzymać dragonki od przemiany, gdy on jest blisko mnie. To źle, źle, źle, Jacindo.

Jego pocałunek staje się bardziej miazdzący, zachłanny. Will też chyba traci kontrolę. Zanim jednak mam czas, by się od niego oderwać, nad nami otwierają się drzwi, uderzając w betonową ścianę.

Wstrząsa nami hałas. Powietrze wypełnia tupot butów i głosy. Will odskakuje ode mnie.

Jak najmocniej dociskam plecy do balustrady. Oplatam palcami metal zniszczonej poręczy, z którego gdzieś podpryskiwała farba.

Dwóch chłopaków i dziewczyna zbiega po schodach. Przechodząc obok, przyglądają się nam.

- Cześć, Rutledge - mówi jeden z chłopców, a na jego twarzy pojawia się znaczący i triumfujący uśmiezek.

Will ponuro kiwa głową.

Nie ruszamy się z miejsca, siedząc daleko od siebie, podczas gdy tamci schodzą, a ich kroki głośno dudnią wśród betonowych ścian. Drzwi na dole otwierają się i zatrząskują. Znowu jesteśmy sami.

- Lepiej stąd chodźmy - Will wstaje. Odpycham się od barierki, nogi mi się chwieją.

- Poradzisz sobie?

- Pewnie, że tak. - Staram się mówić lekko i bezceremonialnie. - To przecież tylko buziak, no nie?

Jego twarz jest bez wyrazu.

- Chodzi mi o to omdlenie. Już nie zasłabniesz?

- Och, nie - mówię. - Czuję się dobrze. Dzięki.

Odwraca wzrok i zaczyna schodzić po schodach. Z ociąganiem podążam za nim, nie wiedząc, co z nami teraz będzie. Gdy wychodzimy z klatki schodowej, rozlega się dzwonek.

- Koniec spędu kibiców - mówi niepotrzebnie. Korytarz wciąż jest pusty, ale nie na długo.

- Mam angielski - dodaje.

Krzyżuję ramiona na piersiach, jakby mi było zimno. I mimo upału drzę.

Moja dragonka za bardzo go lubi, by pozostać w ukryciu. Niezależnie od tego, jak się staram, nie umiem panować nad sobą, gdy on jest blisko. Nie będę już się oszukiwała, że potrafię się kontrolować.

Nie mogę narażać

stada. Nawet jeśli miałabym przypłacić to życiem dragonki. I nie zaryzykuję ujrzenia pogardy w jego oczach, gdy zorientuje się, kim jestem. Nie wspominając już o tym, co zrobi jego rodzina, gdy się o tym dowie. A poza tym jest jeszcze Cassian... gdzieś niedaleko. Czeka. Obserwuje. Może pojawić się w każdej chwili. On i Will nigdy nie mogą się spotkać.

Kiwam głową, czując, jak ściska mi się serce. -Ja mam hiszpański na drugim końcu budynku. Do zobaczenia!

Mówię to jako pierwsza. Pusta obietnica. Korytarz ożywa. Wypełnia się uczniami, którzy trzaskają drzwiczkami szafek. Głosy wydają się głośniejsze, ludzie szybsi, a zapachy silniejsze.

Will stoi naprzeciw mnie, patrząc tak, jakby chciał coś powiedzieć. Moje oczy mówią mu nie, mówią, żeby nie wypowiadał żadnych słów. Bo niby po co?

Muszę raz na zawsze zakończyć to, co jest między nami... nawet jeżeli oznacza to opuszczenie tego miasta bez mamy i Tamry. Nie mogę tego kontynuować, a nie zdobędę się na wyznanie mamie, że zadaję się z wrogiem. Z dwoma wrogami. Z Willem i Cassianem.

W duchu podjęłam już decyzję. Gdy Cassian powróci, odejdę z nim.

Potrzęsa głową i patrzy na mnie z marsową miną. - Nie możesz już dłużej przede mną uciekać. Do zobaczenia później - mówi z przekonaniem.

Uśmiecham się smutno. Bo jeżeli trzeba, potrafię uciekać bez końca. Albo przynajmniej uciec tam, gdzie on mnie nigdy nie znajdzie. Uczniowie mijają nas, płyną jak ryby w potoku. Odwracam się i znikam w jego nurcie.

ROZDZIAŁ 19

- Co to, kurczę, było? - nalega Catherine, sadowiąc się obok mnie podczas zajęć własnych.

Silę się na niewinną, obojętną minę, ale ona po prostu z hukiem rzuca swój zeszyt oraz egzemplarz *Zabić drozda* na ławkę i odwraca się do mnie.

- No, gadaj. Myślałam, że go sobie odpuściłaś.

- O czym ty mówisz? - gram na zwłokę, gorączkowo poszukując jakiegoś wytłumaczenia. Ona na nie zasługuje. Nie znalazłam w tym mieście zbyt wielu przyjaciół. Tylko Catherine i Brendana. Nagle z bólem uświadamiam sobie, że gdy stąd odejdę, będę za nimi tęsknić.

- No, a zbiórka kibiców? - Kiwa głową, potrząsając przy tym wystrzępioną grzywką. - Ty. Will. Na oczach całej szkoły? Już kapujesz, o co biega?

- Aha. - Zerkam ku drzwiom w nadziei, że on nie pojawi się dokładnie w chwili, gdy o nim mówimy.

- To nic takiego. Po prostu zobaczył, że zrobiło mi się słabo i mi pomógł... - Załamuje mi się głos. Żałośnie wzruszam ramieniem.

- Uhm - Catherine z udawaną powagą kiwa głową. - Jasne. Rozumiem. A obściskiwanie się na schodach to miał być jego sposób na sprawdzenie, czy już ci lepiej?

Powoli mrugam oczami. Ekstra. Teraz rozumiem te wszystkie spojrzenia pod moim adresem.

- Wieści szybko się rozchodzą - mamroczę.

- No cóż, takie na pewno.

- To był tylko pocałunek.

- Uhm. Tyle że to więcej, niż jakakolwiek dziewczyna dotąd od niego dostała.

Słyszając to, moje serce bije mocniej, choć nie powinno. Zniżam głowę, by ukryć uśmiech. Catherine żartobliwie szturcha mnie łokciem.

- Czyli jednak on ci się podoba! Wiedziałaś. Od pierwszego dnia. Ty, to on w takim razie nie jest chyba taki zły, skoro cię lubi. Przynajmniej posmakowałaś. A Brooklyn może sobie co najwyżej...

-Ciiii... - Podnoszę wzrok, spinam się, wyczuwam, że się zbliża, czekam, aż wejdzie. Przechodzi przez drzwi.

Nie sam. Są z nim kuzyni. Nieodłączne cienie. Serce mi zamiera.

To nie może być Will. Nie ten prawdziwy. Nie ten Will, który rozmawiał ze mną na schodach. Który całował mnie z taką desperacją, jakbym była tlenem dla jego płuc. Nie z tymi typami u boku. To nie może być ten Will, który uwalnia dragonkę. I nie powinien nim być. Ja już nawet nie chcę, żeby był chłopakiem, któremu nie potrafię się oprzeć. To okrutne i bezsensowe, jeżeli nie jestem w stanie opanować się na tyle, by przebywać w jego towarzystwie.

Tak będzie najlepiej. Muszę widywać go w ich towarzystwie, pamiętać, że jest moim wrogiem.

Wzniosę między nami ścianę do czasu, aż przybędzie Cassian i opuszczę Chaparral.

Wlepiam wzrok we własne dłonie na pulpicie w nadziei przeczekania chwili, gdy będą mijali naszą ław-

kę, ale kątem oka widzę buty Xandra zatrzymujące się przy stole.

- Cześć, Jacindo.

Po plecach przechodzi mi dreszcz. Krzyżuję ramiona na piersiach i podnoszę głowę. Nie przejmuję się tym, że moje spojrzenie raczej nie jest przyjazne.

Wykrzywiwszy usta, Xander spogląda na Willa.

- Nie przywitasz się, Will?

Angus przygląda mi się, jakbym nagle stała się godna jego uwagi. Jakbym była kawałkiem mięsa, który wymaga oględzin i zważenia.

-Już się wcześniej witaliśmy - stwierdza sztywno Will.

- Ano tak - śmieje się Angus. - Słyszałem o tym powitaniu. Nie wiedziałem, że ona jest taka rozrywkowa. Sam bym ją poderwał, gdybym tylko wiedział.

Z ust Catherine wyrywa się świst. Nachyla się do przodu. Chwytam ją za rękę, powstrzymując od jakichkolwiek działań.

- Stul pysk - warczy Will.

Przypominam sobie, co powiedział o swojej rodzinie, gdy rozmawialiśmy w samochodzie. Nazwał ich trucizną. Pamiętam tamten pokój, małe czerwone i czarne chorągiewki rozrzucone po kontynencie północnoamerykańskim - i twarz Xandra, gdy mnie tam przyłapał.

Angus znów parska śmiechem, jego wargi rozciągają się szeroko w brutalnym grymasie.

- No cóż - odzywam się, ledwie rozpoznając obcość we własnym głosie, tak gęstą jak melasa w moich ustach. - Nie było nic aż tak wiekopomnego.

Kłamstwo, okrutne i nieprawdziwe słowa bołą, ale muszę ich użyć.

Xander sprawia wrażenie zbitego z pantałyku. Bez przekonania patrzy to na mnie, to na Willa.

Wzrok Willa badawczo wbija się we mnie. Przez chwilę wydaje mi się, że dostrzegam przebłysk bólu, który zaraz potem znika.

- Może powinnaś spróbować z innym Rutledge'em.

- Angus porusza grubymi rudymi brwiami.

- Czy wy wszyscy nie jesteście ekwiwalentni? - pytam.

- Wystarczy spróbować jednego, a już zna się wszystkich.

Marszczy brwi. Słowo „ekwiwalentni” jest dla niego niezrozumiałe.

- Świnia - mamrocze Catherine. Ostrzegawczo ściskam ją za nadgarstek.

- Nikt tu nie gada z tobą, makolągwo - odpala Angus. Nie podoba mi się to. Nie podoba mi się to uczucie

zranienia, które przez sekundę pojawia się na jej twarzy, zanim udaje się jej znów przybrać stoicką i twardą minę. W środku budzi się we mnie znajomy żar.

- Auu! - Catherine zerka na mnie z konsternacją, odsuwa rękę. Zapomniałam, że nadal jej dotykam.

Szybko ją wypuszczam. Pociera nadgarstek, a ja wiem, że poczuła narastające we mnie ciepło.

Świetnie. Najpierw o mało co nie demaskuję się podczas pocałunku z Willem, a teraz to.

Może dzisiaj wieczorem znów powinnam odwiedzić pole golfowe?

- Siadajcie! - woła pan Henke.

Angus rusza na tyły klasy. Xander przez chwilę przygląda mi się swoimi demonicznie ciemnymi oczyma, a zaraz potem dołącza do brata.

Will zwleka, patrząc na mnie tak, jakby czegoś oczekiwał. Jakbym miała coś powiedzieć.

- Chyba nie chcesz, bym siedział z tobą. Odwracam wzrok. Nie mogę wydusić z siebie ani słowa - nie potrafię zdobyć się na kolejne podłe kłamstwo.

Chociaż go nie widzę, słyszę, że odchodzi. Czuję, że się ode mnie oddala.

- O rany - mamrocze Catherine z podziwem z głosem. - Właśnie dałaś kosza Willowi RutledgeWi.

Wzruszam ramionami, zmagając się z bolesnym uciskiem w gardle, gdzie uwięzły słowa.

- Wszystko w porządku? - pyta.

- A dlaczego miałyby nie być? On nie jest w moim typie.

Zerkam przez ramię, widzę, jak siedzi pochylony pomiędzy kuzynami. Rozmawiają, ale Will w tym nie uczestniczy. Patrzy w okno, utkwivszy wzrok w jakimś martwym punkcie. Wyraz jego twarzy przywodzi mi na myśl mamę. I Tamrę. To, jak przeważnie wyglądały, gdy żyłyśmy w stadzie.

Usidlone. Zawsze poszukujące drogi ucieczki.

Czuję, jak ściska mi się serce. Nie zasłużył na taką karę.

- Co ty sobie myślałaś? - rzuca Tamra w chwili, gdy dołączam do niej na chodniku. Mama wciąż jest jeszcze

o kilka samochodów dalej, powoli zbliża się do nas.

-Przecież wiesz. Ta sala, te tłumy... - drzę, mrużąc oczy w pustynnym słońcu. Suchy wiatr unosi moje włosy. Burza dzikich kosmyków chrzęści jak wiązka wyschniętej i zwietrzałej słomy.

Oczy jej błyszczą, a ja wiem, że od zbiórki kibiców czekała na tę chwilę, by mnie zgromić.

Wzbiera we mnie złość, bo kto jak kto, ale ona powinna wiedzieć, co oznacza dla mnie uczestnictwo w takim spędzie. Może nie jest dragonką, ale to rozumie. Mamy takie same korzenie. Wywodzimy się od smoków. Smoków, które rządziły ziemią i niebem tysiące lat temu. Jak ja mam wytrzymać w zamknięciu? W miejscu wypełnionym po brzegi przenikliwymi dźwiękami i ludźmi?

-Wiem tylko tyle, że nie panujesz nad sobą. Zwłaszcza w pobliżu Willa Rutledge'a. Myślałam, że będziesz trzymać się od niego z daleka.

Próbuję. Nawet jeśli mnie to zabija. Staram się.

Ale nie wypowiadam tych słów.

Zamiast tego myślę o wszystkich spędzonych z nim chwilach, o których ona nie wie, i czuję przyływ ponurej satysfakcji.

-Jak się tak przejmujesz, to powiedz mamie - odparowuję wyzywająco, bo wiem, że tego nie zrobi.

- Żeby nas znowu przeniosła do innego miasta?

I tu tkwi dla Tamry sedno sprawy. Odpowiadam wzruszeniem ramion.

Zaciska usta i potrząsa swą perfekcyjną fryzurą.

- To bez sensu.

Spoglądam na kolejkę samochodów. Hatchback mamy podjeżdża bliżej. Słońce pali moją głowę, przypieka skórę. Niecierpliwie przebieram nogami.

Zaciskam palce na szelce plecaka i nie mogąc się powstrzymać, pytam:

- Czy ty w ogóle przejmujesz się tym, jak ja się tu czuję? Szybko odwraca głowę w moją stronę.

- Tak jak ty przejmowałaś się mną przez te wszystkie lata w stadzie?

Oczywiście, że się przejmowałaś. Gdyby tak nie było, nie opierałabym się aż tak bardzo Cassianowi. Kumpłował się ze mną. Owszem, z Tamrą jeszcze bardziej. Zawsze był w moim życiu obecny. Trwale i niewzruszenie jak góry, które mnie otaczały. Mogłabym pozwolić sobie na polubienie go, lecz do tego nie dopuściłam. Nie chciałam zrobić tego własnej siostrze.

- Czego ode mnie oczekiwałaś? Stado było naszym domem - przypominam.

Jej nozdrza poruszają się, w oczach płonie ból.

- Twoim domem. Nigdy moim. Zawsze byłam intruzem skazanym na patrzeć, jak Cassian łasi się do ciebie. Wszyscy cię uwielbiali. Każdy chciał być twoim przyjacielem, chłopakiem, wszystkim...

- Nigdy się o to nie dopraszałam. Nigdy nie prosiłam Cassiana, żeby...

- Nie, ale to miałaś. Miałaś jego. I nie ze względu na to, jaka byłaś. Nie dlatego, że cię kochał. -

Potrząsa głową.

- Wiesz co, mogłabym się z tym pogodzić, zaakceptować was jako parę... gdyby tylko on naprawdę cię pokochał.

Wypowiada to, jakby to było kompletną niemożliwością. Dowcipem. Unoszę głowę, jakby wiał wiatr, który mógłby przynieść mi trochę ulgi w tym strasznym upale.

Ulga jednak nie przychodzi.

- Ale ich nie przyciąga to, jaka jesteś. Tylko to, czym jesteś. Pierworodna zgarnia nagrody. Wszystko. Każdego. Nawet tatę. We dwójkę stanowiliście ekskluzywny klub.

- Tamra głęboko oddycha przez nos.

- Próbujesz być okrutna? - zaperzam się. - Niczego nie jestem w stanie zmienić. Nie mogłam wtedy. I nie potrafię teraz.

Nic nie mówi przez dłuższą chwilę. Gdy się w końcu odzywa, jej głos jest łagodniejszy.

- Czy nie mogłabyś choć troszkę polubić życia tutaj, Jacindo? - Z jej bursztynowych oczu uleciało już trochę iskier. I chociaż widzę, że ma żal do mnie, to wiem, że mnie nie nienawidzi. Albo przynajmniej nie chce nienawidzić.

Potrząsam głową - nie po to, by zaprzeczyć, lecz raczej dlatego, że nie wiem, co odpowiedzieć. Zdaje sobie sprawę z tego, że ona nie chce usłyszeć prawdy i że ta prawda jej się nie spodoba. Ona nie chce usłyszeć, że próbuję.

Polubienie życia tutaj nie jest dla mnie kwestią wyboru. To coś, nad czym nie mam kontroli. A poza tym, jakie to ma znaczenie. To i tak już długo nie potrwa. Chociaż oczywiście tego nie mogę jej powiedzieć.

Wsiadamy do samochodu. Tamra z przodu, ja z tyłu.

- Cześć! Jak było w szkole? - pyta mama.

Tamra milczy. Ja też. Atmosfera jest ciężka, napięta. Mama zerka na nas, jednocześnie kierując samochód w stronę wyjazdu z parkingu.

- Aż tak źle? Tamra chrząka.

A ja z zapartym tchem czekam, czy powie coś o zbiorce kibiców. O mnie i Willu. Minuty płyną, ale nic się nie dzieje. Wzdycham cicho, z ulgą. Ona chyba naprawdę bardzo chce tu zostać. Albo może żałuje swojego wybuchu. Jest mistrzynią w ukrywaniu emocji. Znając ją, pewnie żałuje odsłonięcia kart.

Ciekawe, czy powiedziałyby coś, gdyby знаła prawdę. Gdyby wiedziała, kim faktycznie jest Will. Czy to miałoby jakieś znaczenie? Prawdopodobnie nie. Nareszcie jest przede wszystkim skupiona na sobie i zdobyciu tego, czego pragnie. I nie mogę jej tego brać za złe, bo ma rację. Wcześniej nigdy się nie liczyła, a ja zawsze miałam z tego powodu wyrzuty sumienia. Kiedyś i teraz.

Te wyrzuty nie oznaczają jednak, że zrezygnuję z siebie i pogodzę się z tym, że moja dragonka przemieni się w upiora, jeśli niczego nie zrobię i pozostanę tutaj. Łatwo jest to usprawiedliwić. Moje zniknięcie je uwolni. Tamrę i mamę. Smutno jest zdać sobie sprawę z tego, że tym, których kochamy, będzie lepiej bez nas.

- Jacinda? - ponagla mnie mama.

- Świetnie! - Kłamię. - Miałam wspaniały dzień.

To wszystko, co każda z nich chce ode mnie usłyszeć.

ROZDZIAŁ 20

Jesteśmy już prawie w domu, gdy mama z namaszczaniem ogłasza:

-Jutro wyjeżdżam.

Przez chwilę jestem zszokowana, myśląc że ma na myśli nas wszystkie, ale zaraz potem sobie przypominam. Wyjedzie sprzedać kamień. Jarzący się bursztyn. Zmrożony ogień.

Wychylam się do przodu, by na nią popatrzeć i upewnić się, czy mówi poważnie.

Jak ona może to zrobić? Jak może udawać, że nie zabiera stąd części mnie, odłamując kawałek mego serca i sprzedając komuś, kto uważa je za zwykły kamyk. Wartościowy, ale bez życia. Martwy.

-Jutro rano będziecie musiały pojechać autobusem. Planuję powrót tak, by móc was odebrać ze szkoły w piątek po południu. Powiedziałam już o tym pani Hennessey. Będzie was miała na oku.

W brzuchu czuję skurcz przerażenia... taki sam, jak wiele lat temu, gdy w naszych drzwiach stanął Severin, by nam powiedzieć o zaginięciu taty.

- Pani Hennessey? - Tamra marszczy nos. Nie pyta, dlaczego mama wyjeżdża. Czyli najwyraźniej już wie i nie

przejmuje się tym. Tylko mną to wstrząsa. Tylko mnie robi się niedobrze na myśl, że...

- Dokąd jedziesz? - dopytuję się, bo muszę to wiedzieć. Zupełnie jakby to miało jakieś znaczenie. Jakbym może kiedyś mogła odnaleźć kamień i ocalić go od zaginięcia na wieki.

Mama milczy.

- Gdzie go sprzedasz? - indaguję.

- Ekstra - mówi Tamra, sięgając po coś do plecaka i pytając z próżnością, która doprowadza mnie do szału. - Będziemy mogły się przeprowadzić? Oczywiście zostać w rejonie tej samej szkoły. O, a co z telefonami komórkowymi? Jesteśmy chyba jedynymi w całej szkole, które nie mają...

- Tamra, spokojnie. Wyhamuj. - Mama klepie ją w kolano. - To tylko po to, by było nam trochę lżej. Jeszcze się nie przeprowadzimy. Dzięki temu kupimy dla was trochę nowych ubrań... sprzętu cheerleaderskiego, jeśli dostaniesz się do zespołu. I może nie będę musiała tyle pracować i spędzę w domu parę wieczorów. Brakuje mi was, dziewczynki. Może... - posyła nam obu ciepłe spojrzenie, a oczy jej błyszczą obiecująco - może nawet zastanowię się nad kupieniem wam auta.

Tamra piszczy z zachwyty. Rzuca się na mamę, by ją uściskać, podczas gdy ta prowadzi samochód. Auto? Rodzinny klejnot za auto? Kawałek złomu, który wytrzyma może dekadę? To raczej kiepski interes. Gapię się przez okno zbyt oburzona, by coś powiedzieć. Zar emocji ściska mi gardło i odbiera mowę.

Samochód będzie oczywiście dla Tamry. Moja siostra nie żartowała, jeśli chodzi o mnie za kółkiem. Nawet niemowlak byłby bezpieczniejszym kierowcą.

Mrugając piekącymi powiekami, patrzę na śmigające za oknem podwórka. Wszędzie tylko skałki i ogrodowe

aranżacje z głązów. Kaktusy, śpiące bugenwille i szałwia pustynna. Wstęgi rozgrzanego powietrza falują nad wypalonym przez słońce asfaltem.

-Chcę, abyście przyrzekły, że będziecie się dobrze sprawować i kontaktować z panią Hennessey. Dajcie jej znać, jeśli będziecie czegokolwiek potrzebować. Będę codziennie dzwonić.

- Tak! Oczywiście! - Sprężyny w fotelu skrzypią, buntując się przeciw podskokom mojej siostry.

- Jacinda? - Mama wymawia moje imię tak, jakby na coś czekała. Jakby czegoś się po mnie spodziewała.

Nie ma sensu się z nią kłócić. Już podjęła decyzję. Ale ja też. Ktoś musi ustąpić. I to będę ja.

One są tutaj szczęśliwe, zadomowione. Są na najlepszej drodze do ułożenia sobie życia tak, jak zawsze pragnęły. Nie chcą stąd wyjeżdżać. A ja nie mogę tu zostać.

-Jasne - wyduszam z siebie, w nadziei, że ta odpowiedź ją zadowoli. Przez chwilę mam wrażenie, że brakuje mi tchu, jakby ciosem pięści wybito mi powietrze z płuc.

Kiedyś tato zabrał nas do parku rozrywki w Oregonie. Był to jeden z tych krótkich uciekinierskich wypadów poza stado, na jakich zawsze zależało mamie. W czasach, kiedy Tamra i ja byłyśmy po prostu siostrami, których główne problemy obracały się wokół kwestii dzielenia się zabawkami.

Jeszcze zanim zaczęłam się przemieniać. Runęłam tam dwadzieścia pięter w dół w siodełku wieży swobodnego spadania. Zupełnie bezradna wobec siły grawitacji. Niezdolna do lotu, do ratowania się...

Teraz czuję to samo przerażenie, bo nic, co powiem, nie zawróci mamy z obranego kursu. Nic jej nie uświadomi, co mi robi.

Bezwładnie spadam.

Tym razem nic mnie nie ocali. Żadne mechaniczne urządzenie nie zdziała cudów i nie wyhamuje tego pędu w ostatniej chwili.

I coś mi w duchu mówi, że ona zdaje sobie z tego sprawę. Właśnie dlatego to robi. Właśnie dlatego mnie tu przywiozła. Ona chce, bym walnęła o ziemię.

Wieczorem zastaję mamę pakującą się w swoim pokoju. Jest ubrana do pracy, bo planuje wyjechać po zakończeniu nocnej zmiany. Na jej łóżku leży kasetka ze stali nierdzewnej, a obok niej do połowy wypełniony worek marynarski. Gdy to widzę, serce staje mi z przerażenia.

- Nie sprzedajesz chyba wszystkich? - pytam. Składając koszulkę, podnosi wzrok.

- Nie - mówi i powraca do pakowania. Jej ruchy są miarowe, powolne.

Z ulgą kiwam głową i zbliżam się do kasetki. Dłonie mnie mrowią, aż swędzą, by ją otworzyć.

- Mogę go zobaczyć? Wzdycha.

- Jacindo, oszczędź sobie. Najlepiej o nim zapomnij.

- Nie potrafię. - Dotykam wieka, gładzę je. Czuję ból w gardle. - Po prostu mi go pokaż. Ostatni raz.

Potrzęsa głową.

- Uparłaś się, by się tym katować.

- Pokaż.

Sięga do kieszeni. W jej ruchach widać gniew. Cicho mamrocze pod nosem, gdy wydobywa klucz.

Otwiera kasetę i unosi wieko.

Pochłaniam tchnienie kolorowej poświaty, która natychmiast się pojawia.

Otoczają mnie melodyjne głosy. Otulają mnie łagodnymi szeptami, przypominają o mej prawdziwej naturze,

powoli ulatującej z tego świata. Jednak nie tak szybko, jak myśli mama. Nie w pobliżu Willa. To prawdopodobnie tylko dzięki niemu moja dragonka nadal żyje. Na tej pustyni, bez kamieni szlachetnych, bez niego mój los jest przesądzony. Podobnie jak pocałunki Willa, kamienie poruszają najgłębsze pokłady mojej istoty... reanimują mnie. Moja skóra mrowi, szczypie.

Jeden z kamieni emanuje silniej niż pozostałe. Zamykam oczy i absorbuję smugę świeżej energii.

- Który? - szepczę, otwierając oczy, chociaż przecucie już daje mi odpowiedź.

Mama wydobywa bursztyn z przytulnego otoczenia jego braci.

Oczywiście. Zaciskam zęby. Wiedziałam. Jakimś cudem wiedziałam, że to on mnie opuszcza.

Pochyliłam się nad nim, wpatruję się weń i zapamiętuję, przysięgając, że go odnajdę. Po cichu mu to oznajmiam i widzę, że bursztyn pulsuje światłem. Skrzy się i migocze, jakby mnie słyszał i rozumiał.

Pewnego dnia cię odzyskam. Gdy już nie będę zakładniczką kaprysów mojej matki. Jeżeli do tamtej pory całkowicie nie zgasnę. Jeżeli nie uschnę, stając się niczym, upiorem, w którego ona chce mnie przemienić. Wyciągam dłoń, by pogłodzić bursztyn. Ciepły i pulsujący. Natychmiast wstępuje we mnie życie.

Tak jakby wiedząc, że on mnie karmi, mama cofa rękę, bym nie mogła go dosięgnąć.

Moja skóra się buntuje, łka. Podchodzę bliżej, tak bardzo chcę go znów poczuć.

-Musisz z tym skończyć. Oderwać się od dawnego życia. - Mama patrzy na mnie płomiennym wzrokiem i przypominam sobie, jak niegdyś wyglądała. Pełna życia, tryskająca energią. Może szept klejnotów też nadal trafia

do jakiejś jej części. - Tak wiele tutaj na ciebie czeka. Wystarczy tylko, że się na to otworzysz.

- Tak - warczę. - Może spróbuję sił jako cheerleaderka. Przechyliła na bok głowę i rzuca mi ostre spojrzenie.

- Nie ma w tym nic złego.

Jasne. Byłaby przeszczęśliwa. Fajnie by było. Wszystko stałoby się łatwiejsze, gdybym tylko mogła.

Gdybym tylko mogła być taka jak Tamra.

- Nie jestem Tamrą, mamó! Jestem dragonką...

- Nie, ty...

- Owszem, jestem. Jeżeli chcesz zabić tę część mnie, to tak naprawdę chcesz zabić mnie. - Biorę głęboki oddech. - Tato to rozumiał.

- I nie żyje. To go zabiło. Mrugam z niezrozumieniem. -Co?

Odwraca się, wrzuca z powrotem bursztyn do kasety i przez chwilę myślę, że uznała rozmowę za skończoną, ale potem znów na mnie patrzy, a jej twarz ma nie swój wyraz. Spogląda na mnie obca istota o zbyt jasnych, dzikich oczach jak zwierzę, które wynurza się spod osłony lasu.

- Myślał, że może uda mu się znaleźć inne stado, które by nas przyjęło. Stado, które nie oczekiwałoby od nas poświęcenia córki...

- Konkurencyjne stado? - dopytuję natarczywie. Ogarnia mnie fala wzburzenia, niedowierzania. To nieprawda. Przystawanie z innymi stadami jest zabronione. Jeszcze od czasów Wielkiej Wojny, podczas której prawie się nawzajem powybijaliśmy. - Tato by nigdy tego nie zrobił!

Czy on wyobrażał sobie, że po prostu znajdzie inne stado, które z miejsca go nie zaszlachtuje?

- Dla ciebie? Dla nas? - Z jej krtani wydobywa się zdławiony śmiech. - O tak. Zrobiłby. Twój ojciec zrobiłby

wszystko, byle cię chronić, Jacindo. - W jej oczach pojawia się smutek. - I zrobił.

Potrząsam głową, odpędzając jej słowa. Tato nie zginął przeze mnie. To niemożliwe.

- To prawda - mówi, jakby czytając w moich myślach. I wiem, że to prawda. Straszliwa, odrażająca prawda.

Drzę, bo to boli tak bardzo, że ledwie mogę oddychać. To przeze mnie tato nie żyje. Gorączkowo wciągam powietrze.

- A ty mnie za to obwiniasz. Dlaczego nie powiesz tego wprost?

Mama rozszerza oczy z zaskoczenia, a zaraz potem marszczy brwi.

- Nigdy cię nie obwinałam. To wina stada.

Powoli kręcę głową, jakbym znajdowała się pod wodą.

- Chcę wrócić.

Sama już nawet nie wiem, czy rzeczywiście tego pragnę. Chcę tylko uciec od niej, od tego wszystkiego, co mi mówi. To za dużo. Jestem o mały włos od tego, by powiedzieć jej o Cassianie, ale coś mnie powstrzymuje, w ostatniej chwili tamuje potok słów cisnących się na usta.

- Ty i Tamra możecie tutaj zostać. Postaram się was odwiedzać...

Stanowczo potrząsa głową.

- Wykluczone. Jesteś moją córką. Twoje miejsce jest przy mnie.

- Moje miejsce jest w stadzie. W górach i w powietrzu.

- Nie pozwolę, by usidlono cię w wieku szesnastu lat! Czy ona tego nie widzi? Każdy, kto próbuje uciec, ściąga na siebie tylko kłopoty, cierpienie i śmierć.

- Nie zrobią tego. - Cassian mi to obiecał. - Nie dam się... Wybucha śmiechem. Ten dziki rechot napawa mnie przerażeniem.

- Och, Jacindo. Kiedy to wreszcie zrozumiesz? Mam ci to tłumaczyć drukowanymi literami? Zdezorientowana kręcę głową. Zaczynam myśleć, że może nie powinnam była tak łatwo zawierzać Cassiano-wi. Tamten wieczór koło pizzerii nagle wydaje się bardzo odległy. Dlaczego znowu mu zaufałam?

- Wiem przecież, że chcę, bym związała się z Cassianem... wcześniej niż...

- To nawet nie jest połowa prawdy. - Podchodzi bliżej, łapie mnie za rękę. - Chcesz wiedzieć, jakie zamiary miało wobec ciebie stado?

Oblewa mnie lodowaty strach, przenikliwy i okropny. Mimo to kiwam głową.

- Gdybyśmy wtedy nie wyjechały, podciąłby ci skrzydła.

Wyrywam się i cofam chwiejnym krokiem. Kręcę głową... tylko tyle jestem w stanie zrobić. Nie, nie, nie. Nasze stado od pokoleń nie praktykowało tego barbarzyńskiego rytuału. Podcinanie skrzydeł to pradawny rodzaj kary cielesnej. Pozbawienie dragona zdolności latania jest wyrokiem najsurowszym... i niezwykle bolesnym.

- Nie zrobiliby mi tego - mówię ochrypłym głosem. - Jesteś dla nich przedmiotem, własnością.

Cennym

kapitałem na przyszłość. Zrobiliby wszystko, by cię zatrzymać.

Widzę twarz Cassiana, pamiętam jego solenne zapewnienie. Niemożliwe, żeby kłamał. Niemożliwe, żeby wiedział, co mnie czeka. Niemożliwe, żeby chciał, bym razem z nim powróciła i miała zmierzyć się z czymś takim. Niemożliwe. Nie wierzę.

- To nieprawda. Powiedziałaś mi wcześniej... -Mówię ci teraz. Oni mają co do ciebie konkretne plany. Nie chcieli ryzykować, że cię stracą. Zwłaszcza po tym ostatnim numerze, jaki wywinęłaś.

Teraz po twarzy ciekną mi łzy, które z sykiem parują na rozpalonych policzkach.

-Mówisz to tylko dlatego, żeby zniechęcić mnie do powrotu. - Mój głos brzmi obco. Emocje tak sznurują gardło, że ledwie mogę oddychać.

- Dorośnij, Jacindo. Już nie jesteś małą dziewczynką. To prawda. W głębi serca to wiesz. Chcesz tam wrócić?

- Mamo - odzywa się Tamra stojąca w drzwiach. Patrzy na mnie z zatroskaną miną. Jej nienaganna brew wygina się w sposób, który przypomina mi czasy, gdy byłyśmy małe i tak bardzo troszczyłyśmy się o siebie nawzajem. Nocą wciąż wślizgiwałyśmy się do siostrzanego łóżka tylko po to, by się upewnić, że tej drugiej nic nie jest.

Dzięki temu wspomnieniu nie czuję tak straszego osamotnienia. Jedynie zakłopotanie. Przesuwam dłonią po mokrych policzkach. Łzy sprawiają, że wydaję się sobie mała i słaba. A to nie są cechy dragona.

Może jestem człowiekiem bardziej, niż myślałam.

Głos mamy łagodnieje, a ja wzdrygam się, gdy dotyka mojego ramienia.

- Nie możesz wrócić, Jacindo. Nigdy. Teraz rozumiesz? Niemo przytakując, opuszczam głowę tak, by włosy

opadły mi na oczy i mama nie widziała moich łez. Łez porażki, bo wiem, że nie kłamię. Wszystko, co powiedziała, jest prawdą. Nie mogę wrócić do stada.

Zostając tutaj, jestem w pułapce. Jeżeli powrócę, wpadnę w ich sidła. Nie ma znaczenia, gdzie przebywam. Tak czy tak jestem w matni. Nigdy nie będę wolna.

Ta prawda mnie przytłacza. Pod łopatkę wrzyna się bezwzględny, ostry ból.

Biegiem wymijam siostrę w drzwiach, o mało co nie potykam się w tej pośpiesznej ucieczce. Otepiąłem słyszę, jak Tamra szepce coś do mamy. Przez moment zasta-

nawiam się, czy ona też wie o podcinaniu skrzydeł. Czy знаła prawdę wcześniej. Cassian musiał wiedzieć, że jego ojciec i starszyzna zamierzali mnie okaleczyć. Jak on mógł patrzeć mi w twarz i tak przekonująco kłamać? Czy on w ogóle się mną nie przejmuje? Czy dla niego nic nie znaczy przyjaźń, która nas kiedyś łączyła?

Czuję się zagubiona i... głupia. Moja pewność, że nigdy nie będą mnie zmuszać do wiązania się w zbyt młodym wieku, jest śmieszna wobec świadomości, że chcieli okaleczyć mnie w najgorszy możliwy sposób.

Przygarbiona ściskam się za brzuch i wpadam do łazienki. Dopadłszy toalety, opróżniam żołądek, raz po raz wymiotując i łkając pomiędzy bolesnymi torsjami.

W końcu mdłości ustają, a ja jestem roztrzęsiona i skonana. Opadam na podłogę. Słaba. Apatyczna. Opieram się o chłodną wannę i zatapiam rozpaloną twarz w dłoniach, godząc się z tym, że wszystko, co dotąd uznawałam za prawdę i w co dotąd wierzyłam, nie istnieje.

Nigdy nie zdołam wrócić do domu. Nie mam domu.

Nie wiem, jak długo siedzę tak na podłodze, aż rozlega się pukanie do drzwi. Bolesne ciarki na plecach i siedzeniu każą mi przypuszczać, że musiało chyba minąć sporo czasu.

- Idź sobie! - wołam.

Zmęczona płaczem przez kilka chwil wsłuchuję się w świst oddechu na własnych wargach.

Przez drzwi przebija się głos Tamry tak łagodny i cichy, że dopiero po kilku sekundach udaje mi się ją zrozumieć.

- To nie twoja wina, Jacindo. Nie dobijaj się. To naturalne, że im ufałaś.

Gwałtownie podnoszę głowę, gapię się w drzwi.

Ona wie? I przejmuję się tym?

Chyba nie powinnam czuć zaskoczenia. To moja siostra. Chociaż tak się różnimy, nigdy nie miałam poczucia, że mnie nienawidzi albo obwinia za przystosowanie się do stada, w którym ona się nie odnajdywała. W głębi serca nigdy nie brała mi za złe Cassiana. Tego, że miałam go bez specjalnych zabiegów. Obwiniłaby mnie dopiero teraz, gdybym sknociła jej życie w Chaparral.

Jakby czytając w moich myślach, mówi dalej:

-To, jak cię traktowali... jak jakiś pomnik należący do stada, a nie jak żywą istotę, kogoś, o kogo się dba i szanuje... Mylili się. Cassian się mylił. - Wzdycha, a ja zastanawiam się, czy wie, co akurat teraz potrzebowałabym od niej usłyszeć. - Po prostu chciałam, żebyś o tym wiedziała. - Chwila ciszy. -

Kocham cię, Jacindo.

Wiem, odpowiadam w myślach.

Cień jej stóp w szparze pod drzwiami znika. Przygryzam wargę, aż czuję pod zębami miedziano-cierpki smak krwi. Powoli wstaję i wychodzę z łazienki.

ROZDZIAŁ 21

Tej nocy po raz pierwszy, odkąd tu jestem, pada deszcz.

Myślałam, że nigdy już go nie zobaczę ani nie poczuję jego smaku na mej skórze, że przeniosłam się na jakiś zapomniany koniec świata bez deszczu i soczystej zieleni. Bez piosenek nuconych przez glebę.

Dziś niebo się otwiera - płacze rześnistymi łzami. Akurat gdy mama wyjawiała ostatnią koszmarną prawdę, którą przede mną ukrywała. W sam raz. Ta ulewa wręcz pasuje do tej sytuacji.

Po oknie spływają krople deszczu, a ja myślę o Willu osaczonym przez swoją rodzinę. Jest więźniem tak jak ja. Dotykam spierzchniętych warg, wyczuwam go na nich wysuszonymi opuszkami palców. Mimowolnie zastanawiam się, jak by to było, gdyby pocałował mnie inny dragon. Albo Cassian. Czy moja dragonka zareagowałaby na niego? Czy ten pocałunek miałby tę samą magię? Czy przyszły alfa umiałby mnie pocałować i nadal kłamać mi prosto w oczy? Czyby stał i przyglądał się, jak podcinają mi skrzydła?

Przewracam się na bok. Wyteżam słuch, jakbym nigdy przedtem nie słyszała deszczu. Moja skóra delektuje się

tym bębniącym odgłosem. Jego delikatnymi uderzeniami na żwirowej ścieżce, brzdękaniem o metalowy dach altany ogrodowej.

Lekko się uśmiecham. W tym cichym, ciągłym rytmie wypełniającym nocną ciszę czuję nadzieję.

Radość. Niecierpliwe wyczekiwanie. To samo przeżywałam, gdy usta Willa dotykały moich.

Tato nigdy by nie chciał, żebym obwiniła siebie o jego śmierć. I nie chciałby, żebym się poddała.

Kocham mamę, ale ona się myli. Dragonka stanowi zbyt ważną część mojej istoty. Nie mogę wrócić do stada, ale też nie mogę pozostać tutaj, unikając Willa i czekając na pojawienie się Cassiana.

Musi być jakiś inny sposób.

Tato pragnąłby, żebym walczyła i odkryła, jak utrzymać dragonkę przy życiu. Zginął, usiłując znaleźć dla nas inne wyjście. Dokonał wyboru. Nie zamierzał pogrzebać nas w śmiertelnym świecie. Nawet jeśli mu się nie udało, wierzył, że to możliwe.

Po głowie kołacze mi się jego głos. Prawie tak, jakby siedział tuż obok mnie: Znajdź inne stado, Jacindo.

Zaciskam i otwieram palce na brzegach kołdry, uderzam o nią. Oto odpowiedź. To właśnie powinnam zrobić.

Co prawda nie wiem, gdzie żyją inne stada, ale znam kogoś, kto dysponuje taką wiedzą. Mogę podpytać Willa. Poza tym widziałam przecież mapę. Gdybym trochę dłużej się jej przyjrzała, zdołałabym zapamiętać dokładne lokalizacje.

To już coś. Jakiś początek.

Inna sprawa, czy dam radę wydobyć te informacje od Willa i dostać się ponownie do tego pokoju bez wzbudzania jego podejrzeń. Oczywiście będę musiała spędzać z nim więcej czasu...

Po karku przechodzi mi dreszcz, gdy zastanawiam się, jak tego dokonam, nie wprawiając go w zdziwienie tą nagłą zmianą uczuć.

Na zewnątrz odzywa się jakiś ptak. Oszołomiony, rozpaczliwy krzyk. Oszalałe ka-kaaa-ka-kaaa. Rozmyślam o tym głupim stworzeniu. Wyobrażam je sobie gdzieś na gałęzi, podczas gdy deszcz smaga jego słabe, wątłe ciało. Zastanawiam się, dlaczego nigdzie się nie schowało. Nie poszukało schronienia. Nie ukryło się. Dlaczego jest takie niemądre? Może się zagubiło tak jak ja - opuściło swoje środowisko. I nie potrafi wrócić do domu. Albo tego domu nie ma.

Uśmiech zadowolenia znika z mojej twarzy. Nagły chłód w sypialni przeszywa mnie dreszczem. Podciągam kołdrę wyżej - aż pod brodę i próbuję się ogrzać.

Zwijam się w jak najmniejszy kłębek, zaciskam oczy i usiłuję nie słyszeć tego wołania.

Czuję na policzku pocałunek mamy. Odsuwa mi z czoła włosy jak wtedy, gdy byłam mała. W pokoju panuje mrok. Do świtu jeszcze daleko. Z kuchni sączy się smużka światła.

Wróciła z pracy, by zabrać swoje rzeczy. Bursztyn. Na jego wspomnienie ściska mi się serce.

Oddycham głębiej, w powietrzu wyczuwam orzechową woń kawy. Mama będzie jej potrzebowała, by nie zasnąć podczas długiej drogi. Gdziekolwiek by jechała, to nie będzie blisko, a była przecież na nogach przez całą noc.

- Bądź grzeczna - szepcze, jakbym znów miała sześć lat. Mówiła to przeważnie, gdy Tamra i ja wychodziłyśmy do szkoły. - Kocham cię. - Tak, to też wtedy mówiła.

Spod przymrużonych powiek widzę jej cień pochylający się nad śpiącą Tamrą. Usta mamy muskają jej policzek. Kolejne śpieszne pożegnanie.

Potem odchodzi, by sprzedać nasze rodzinne dziedzictwo. Kawałek mojej duszy, którego mogę już nigdy nie odzyskać.

Światło w kuchni znika. Gaśnie jak zdmuchnięta zapalka. Zamek w drzwiach wejściowych się zatrzaskuje. Powstrzymuję się, by nie wyskoczyć z łóżka, nie wybiec na dwór, nie złapać jej, zatrzymać, rzucić się na drogę i błagać, by mnie zauważyła, by pokochała tę część mnie, której nigdy nie akceptowała w sobie.

Tamra przewraca się w sąsiednim łóżku, ponownie zapada w sen i błogie zapomnienie.

A potem nic już nie słyszeć. Grobowa cisza. Tylko ja nie śpię. Świadoma tego, co się dzieje.

Serce mi krwawi.

ROZDZIAŁ 22

Wypadamy z domu i śpiesznie idziemy żwirową ścieżką okalającą basen. Zawsze się spóźniamy, jeżeli nie pogania nas mama. I oczywiście znowu tak jest.

Wczoraj wieczorem obiecywała przez telefon, że wróci na czas, by odebrać nas ze szkoły. Cieszę się przynajmniej z tego, że nie będziemy już musiały jeździć autobusem. Nie cierpię jego zapachu, duszących spalin, które przedostają się do środka pojazdu.

W domu pani Hennessey ryczy telewizor i widzę rozchylające się żaluzje. Przytrzymuje je czerwony paznokieć z poodpryskiwanym lakierem. Pilnowanie nas podczas nieobecności mamy sprowadziło się do zasadniczej zmiany w jej sposobie szpiegowania. Teraz ma po prostu wymówkę.

Tamra podąża szybkim krokiem przede mną. Zawsze chętnie idzie do szkoły, ale dziś szczególnie jej śpieszno, bo odbywają się eliminacje do zespołu cheerleaderek.

Pójdę tam po lekcjach, żeby patrzeć, bić brawo i kibicować. Mimo że knuję plan ucieczki i może wkrótce ją opuszczę. Czuję nieprzyjemny ucisk w piersi.

Gdy już zlokalizuję inne stado, mam nadzieję, że siostra i mama dołączą do mnie. Wiem jednak, że najpraw-

dopodobniej zrobię to sama. Mimo wszystko muszę wykorzystać tę szansę. Chociaż wyjeżdżając... i odnajdując inne stado, ryzykuję, bo nie wiem, czy tamta społeczność będzie skłonna mnie przyjąć i nie zabić, zanim zdołam wytłumaczyć swoje intencje.

Przechodząc przez boczną furtkę, popijam kawę z minitermosu. Mama przeważnie nie pozwala nam jej pić, no ale teraz nie ma jej tutaj.

Tamra gwałtownie przystaje. Jej zaledwie raz ugryziona grzanka ląduje na ziemi. Wpadam na siostrę i syczę, gdy gorąca kawa spływa mi po palcach.

- Co ty...

-Jacinda. - Wypluwa moje imię w taki sposób, jak wtedy, gdy ją naprawdę czymś wkurzę. Na przykład, gdy zwędnę z talerza pieczołowicie przygotowaną kanapkę. Zwinę ze stołu napój, który właśnie naląła dla siebie, albo podmienię skarpetki, podrzucając jej swoją zdekompletowaną parę zamiast jej zestawu.

Jeżą mi się włoski na karku. Podążam za jej spojrzeniem i patrzę na drugą stronę ulicy. Przy krawężniku czeka czarny hummer z włączonym silnikiem. Drzwi kierowcy otwierają się i wysiada Will. Zbliża się powoli, głęboko zanurzywszy ręce w kieszeniach spodni.

Nieruchomieję. Nie było go przez kilka ostatnich dni - na pewno z powodu kolejnego polowania. Tym samym odwlekły się moje plany wyciągnięcia z niego informacji. Wchodzi na chodnik i kołysze się na palcach. Stojąc tak, wygląda wspaniale. W mojej klatce piersiowej budzi się znajomy ucisk i zastanawiam się, jak można z taką samą intensywnością uwielbiać czyjś widok i bać się go.

Ani drgnę. Pod żebrami zaczynam czuć ból.

- Oddychaj - rzuca cicho Tamra.

Jasne. Oddycham przez nos. To trochę uśmierza ból, ale mimo to w środku narastają gorące wibracje i chęć wydania z siebie pomruku.

- Co ty tutaj... - mój żalony szept załamuje się.

Tamra cofa się o krok. Nasze ramiona ocierają się o siebie. Zerkam na nią. Patrzy na mnie gniewnie, jakbym miała coś wspólnego z obecnością Willa na naszym chodniku.

W dali widać zbliżający się autobus. Warkot jego dławiącego się silnika jest coraz głośniejszy. Lada chwila skreśli w naszą ulicę.

Potrząsam głową w kierunku Tamry, a ona powtarza moje imię, rozwlekając je jak przeciągły, świszczący powiew wiatru:

-Jacinda.

-Ja nic nie zrobiłam - wypieram się. W końcu odzywa się Will.

- Pomyślałem sobie, że może przydałby się jakiś transport do szkoły.

Wlepiamy w niego wzrok.

- Dla was obu - dodaje szybko, wyjmując jedną rękę z kieszeni i wskazując gestem na każdą z nas.

Tamra i ja wymieniamy spojrzenia.

Autobus skręca zza rogu.

- Czy to zawsze się sprawdza? - próbuję udąć znużenie, obojętność, ale mój głos do tego nie pasuje.

Pobrzmiwa w nim coś w rodzaju gniewu.

Wygląda na dezorientowanego. -Co?

- Pojawiasz się na trawniku jakiejś dziewczyny, puszczasz słodki uśmiešek i oczekujesz, że wskoczy z tobą do samochodu?

- Wyhamuj - szepcze Tamra, a ja zastanawiam się, czy moja siostra boi się, że stracę panowanie nad sobą i prze-

mienie się na jego oczach, czy może chce, żebym się jakoś dogadała z chłopakiem, przed którym mnie ostrzegęła. Ale dlaczego miałaby tego chcieć? Może po to, bym się tu odnalazła i polubiła to miasto? Will kiwa głową, wciska ją między ramiona. Sprawia wrażenie słodko - wręcz nieprzyzwoicie - skromnego. Jakby czytając w moich myślach, mówi:

- Do tej pory tylko raz.

Jego usta rozciągają się w powolnym, konspiracyjnym uśmiechu. Na wspomnienie tamtej nocy, kiedy pierwszy raz wskoczyłam do jego samochodu, jestem bezbronna: oblewam się intensywnym rumieńcem, a twarz tężeje mi w niebezpieczny sposób.

- Cześć! - mówi Will do Tamry, jakby dopiero sobie uświadomił, że nigdy jej nie poznał.

Przynajmniej oficjalnie. Dorośle wyciąga rękę: - Jestem Will...

- Wiem.

Tamra nie podaje mu ręki. Rzuca mi szybkie spojrzenie i westchnąwszy, oznajmia:

- Chodź, wsiadamy do samochodu.

Po czym rusza przodem. Will otwiera przed nią drzwi. Moja siostra sadowi się na tylnym siedzeniu akurat w chwili, gdy mijają nas autobus.

Will puszcza pod moim adresem krzywy uśmiech:

- Uciekł wam autobus.

-Tak. - Patrzymy na siebie przez dłuższą chwilę, aż w końcu zadaję dręczące mnie pytanie. - Dlaczego tu jesteś? Jego pierś unosi się w głębokim wdechu.

- Mam dość.

- Czego?

- Mam dość tego, że mnie unikasz. Przekrzywiam głowę. Aha, nie wywinęłam mu się? Czy to takie proste? Pstryk, a on pojawia się tutaj niezależnie

od tego, czy chcę, czy nie. Nawet nie musiałam go przekonywać, że zmieniłam zdanie?

-Jesteś pewny, że to dobry pomysł?

Bo ja nie. Dopadają mnie wątpliwości - jak najprawdziwszego tchórza skonfrontowanego z wytyczonym przez siebie samego celem. Brakuje mi pewności, czyjestem gotowa na bycie z nim. Nawet jeśli to pozwoli mi uzyskać dostęp do informacji o innych stadach, nadal pozostaje kwestia instynktownych przemian, zawsze gdy on jest w pobliżu. A ja chcę przebywać blisko niego. Czy mogę, nie przybierając mojej prawdziwej postaci?

Czy stać mnie na taką samokontrolę?

- Tak, jestem pewny - odpowiada zdecydowanie.

- Słyszałeś kiedyś powiedzenie: „Ostrożnie wypowiadaj życzenia, bo jeszcze mogą się spełnić”? - Wyraźniej nie mogę go ostrzec.

-Jedziemy? - woła z samochodu Tamra. Na twarz Willa powraca uśmiech, rozgrzewa moją i tak już rozpaloną skórę.

- To jak, chcesz, żebym cię podwiózł? - namawia. Tak jakbym miała jakiś wybór.

- Uciekł mi autobus - odpowiadam, szybko przechodząc obok niego i wskakując na przednie siedzenie, jeszcze zanim zdąży dojeść do drzwi.

W chwilę później zjeżdża z krawężnika, a ja nabieram przeczucia, że podróż do szkoły z Tamrą na tylnym siedzeniu będzie krępująca. Potwierdza się to, gdy z tylnego siedzenia pada pytanie:

- No to o co chodzi z tobą i moją siostrą?

Will parska śmiechem i pociera kark, jakby coś go tam łaskotało.

- Tamra! - Opierając się o deskę rozdzielczą, odwracam się i rzucam jej gniewne spojrzenie. - O nic nie chodzi.

Odpowiada mi prychnięciem:

- Gdyby o nic nie chodziło, to byśmy chyba tutaj teraz nie siedziały, no nie?

Już otwieram usta, żeby kazać jej zakończyć to przesłuchanie, gdy rozlega się głos Willa.

- Lubię twoją siostrę. Bardzo. Patrzę na niego oniemiała.

A on spogląda na mnie i zniża głos, by powiedzieć:

- Lubię cię.

Chyba to wiem, ale mimo to czuję na twarzy kolejną falę gorąca. Odwracam się do przodu, zakładam ręce i gapię się prosto przed siebie. Nie mogę opanować drżenia. Nie jestem w stanie się odezwać. Ból zbyt mocno sznuruje mi gardło.

- Jacindo - mówi Will.

- Myślę, że ją zaszokowałeś - podpowiada Tamra, po czym wzdycha. - Słuchaj, jeśli ją lubisz, to musisz zabrać się do tego poważnie. Nie chcę, żeby wszyscy w szkole plotkowali o niej, że jest jakąś lalą, z którą zabawiasz się na schodach.

Teraz już naprawdę odejmuje mi mowę. Krew we mnie płonie. Już mam jedną matkę, która staje na głowie, by kontrolować moje życie. Nie potrzebuję własnej siostry w roli matki numer dwa.

- Wiem - mówi Will. - Właśnie to spróbuję teraz zrobić... jeśli tylko ona mi na to pozwoli.

Czuję na sobie jego spojrzenie. Pełne napięcia. Wyczekujące. Odwracam głowę i patrzę na niego.

Intensywność jego wzroku przyprawia mój oddech o drzenie.

On mówi poważnie. To chyba nie żarty. Skoro gotów jest przerwać dla mnie dobrowolną samotność, zwłaszcza jeżeli podejrzewa, że nadal coś przed nim ukrywam... to faktycznie wie, co mówi.

Kciuki Willa rytmicznie stukają o kierownicę.

- Chcę być z tobą, Jacindo. - Potrząsa głową. - Mam dość negocjowania tego.

- Jeeeeju! - mamrocze Tamra.

A ja wiem, o co jej chodzi. To wydaje się zbyt głębokie. Radykalna deklaracja. Szybka. Ostatecznie mamy przecież dopiero po szesnaście lat...

Wzdrygam się lekko.

To znaczy: ja myślę, że on ma szesnaście lat. A tak naprawdę nie znam nawet jego wieku. Poza przypadkowym odkryciem jego sekretu nie wiem o nim nic. Owszem, to tajemnica z gatunku tych, co spychają całą resztę na drugi plan, lecz w jego przypadku musi chodzić o coś więcej. To nie tylko posiadacz sekretu. Nie tylko myśliwy. Nie tylko chłopak, który nie chce być niszczycielskim narzędziem. Nie tylko ktoś, kto uratował mi życie. To postać ze świata mojej wyobraźni. Nie mam jednak pojęcia, kim jest w rzeczywistości. Xander wspomniał, że Will chorował, a nawet nie wiem, co mu było...

Zaraz zagłuszam jednak wyrzuty sumienia, bo on też nie zna prawdziwej mnie. A mimo to chce być ze mną. Może to się idealnie składa - ja też chcę być z nim. I nie tylko dlatego, że muszę się do niego zbliżyć, by wykorzystać go do zdobycia informacji. Chociaż jest jeszcze coś. Coś, o czym chciałabym zapomnieć, ale nie mogę. Zapomnieć oznacza dla mnie pogodzić się z życiem tutaj. Życiem upiora. Nie, jeśli masz Willa.... szepcze we mnie cichutki, kusicielski głosik.

ROZDZIAŁ 23

Zaraz po zaparkowaniu Tamra zostawia nas samych. Patrę, jak szybko przemierza parking. Macha do kilkunastu osób. Dołącza do dziewczyny, której imienia nie znam. Zaczynają gawędzić, jakby znały się całe życie.

Will i ja siedzimy w milczeniu. Stąd, gdzie stoimy, daleko na tyłach parkingu widzimy, jak inne samochody mijają nas w kierunku lepszych miejsc bliżej wejścia.

Przychodzi mi do głowy tylko jeden powód, dla którego zaparkował tak daleko. Nie chce, by ktokolwiek zobaczył nas razem.

Zbiera mi się na śmiech. Tłumię go. Chyba Will nie jest aż tak gotowy na konfrontację ze światem ze mną u swego boku, jak mu się wydaje. Przyciskam do piersi książki, delikatnie przebieram nogami po podłodze.

- Chyba powinniśmy już iść - mówi. Kiwam głową. Wyłącza stacyjkę.

- To jaką masz pierwszą lekcję?

- Dlaczego pytasz?

Patrzy na mnie z rozbawieniem.

- Jacindo - moje imię wydobywa się z jego gardła wraz z oddechem, niemalże się śmieje. - Czy nie słysza-

łaś ani słowa z tego, co powiedziałem? Myślisz, że żartowałem?

Może. Tak. To zabawne, jak wątpliwości mogą doprowadzić do ignorowania tego, co mamy przed samym nosem.

- Odprowadzę cię pod klasę - oznajmia, jakby to było oczywiste.

Przypominam sobie, że właśnie tego chcę. Zbliżyć się do niego, zgłębić to... tę więź między nami. Znaleźć się blisko niego i stać się jego powierniczką. Dowiedzieć się w miarę możliwości wszystkiego o innych stadach. Kilka taktownych pytań powinno załatwić sprawę. Wtedy, znając odpowiedzi, mogę wykonać swój ruch. Wyrwać się i uciec.

Na myśl o opuszczeniu go na zawsze trochę ciężko mi na sercu. Spoglądając w dół, podziwiam szeroką dłoń Willa zaciśniętą na kierownicy. Zastanawiam się, czy to możliwe, by kochać czyjeś dłonie. By czuć tak głębokie pożądanie od samego patrzenia na nie? Są takie silne i opalone, a na ich grzbiecie delikatnie rysują się żyły.

- Czy nie masz nic przeciwko temu?

Siłą przesuwam spojrzenie z powrotem na jego twarz. Przez moment myślę, że pyta o moje plany. Czy nie mam nic przeciwko wykorzystywaniu go? Potrząsając głową, mrugam, próbuję myśleć. Gdyby chodziło tylko o to, co mam z przebywania z nim, chyba nie miałabym nic przeciwko temu, ale tak nie jest. Nie chodzi tylko o to, że on utrzymuje przy życiu rdzeń mojej istoty. To co prawda ogromna część, ale nie wszystko. Chodzi o to, że ujrzał mnie w postaci dragonki i dojrzał piękno, coś - albo raczej kogoś - wartego ocalenia. To na zawsze pozostanie we mnie jak głęboko odcisnięta pieczęć. To właśnie to ciągnie mnie ku niemu. I zawsze tak będzie.

Skóra tapicerki skrzypi, gdy Will unosi się na fotelu.

- To, co do ciebie czuję, Jacindo... Wiem, że ty też to czujesz.

Spogląda na mnie tak poważnie, tak wygłodniałe, że jestem w stanie tylko skinąć głową. Zgodzić się. Tak, oczywiście, też to czuję.

- Tak, to prawda - przyznaję.

Ale go nie rozumiem. Nie pojmuję, dlaczego miałby żywić takie uczucia do mnie. Dlaczego on miałby tak bardzo mnie pragnąć? Co ja takiego mogę mu dać? Dlaczego ocalił mnie wtedy w górach? I dlaczego teraz ugania się za mną? Skoro wcześniej żadna dziewczyna nie wzbudziła jego zainteresowania?

- Dobrze - mówi. - W takim razie co powiesz na randkę?

- Randkę? - powtarzam, jakbym do tej pory nigdy nie słyszała tego słowa.

- Tak. Prawdziwa randka. Oficjalna. Ty. Ja. Dziś wieczorem. Czas najwyższy. - Uśmiecha się szerzej, a na jego policzkach pojawiają się głębokie dołeczki. - Kolacja. Kino. Popcorn.

- Dobrze. - Wymyka mi się z ust szybka odpowiedź. Na chwilę zapominam. Zapominam, że nie jestem zwykłą dziewczyną. I że on nie jest zwyczajnym chłopakiem.

Po raz pierwszy rozumiem Tamrę. I urok normalności.

- Dobrze. - Fajnie jest to powiedzieć. Poudawać. Upajać się jego widokiem i zapomnieć, że istnieje ukryty powód, dla którego muszę się z nim umówić, a który rozdzieli nas na zawsze.

Głupia. Czy ty myślałaś, że czeka cię z nim jakaś przyszłość? Mama ma rację. Czas dorosnąć.

Will uśmiecha się. Potem wysiada z samochodu. Przez chwilę jestem zdezorientowana, lecz zaraz zjawia się przy moich drzwiach, otwiera je i pomaga mi wysiąść.

Idziemy razem przez parking. Ramię w ramię. Po przejściu za ledwie kilku kroków chwyta mnie za rękę. Gdy zbliżamy się do głównego wejścia do budynku, widzę parę osób stojących przy maszynie flagowym. Tamra ze swą stałą paczką. Z Brooklyn na czele.

Próbuję uwolnić dłoń, ale palce Willa zaciskają się na niej.

Zerkam na niego i widzę zdecydowanie w jego oczach. Orzechowe tęczy jasno błyszczą w upalnym świetle poranka.

- Panikara.

- Och. - Stać mnie tylko na tyle. Protest. Oburzenie. Zatrzymuję się, odwracam i spoglądam na niego. Czuję, jak coś się we mnie wyzwala i rozluźnia. Uskrzydla.

Uniósłszy się na palcach, otaczam dłonią jego kark i przyciągam jego twarz w dół, ku mojej. Całuję go tuż przed głównym wejściem do szkoły. Lekko myślnie. Głupio. Demonstruję swoje prawa do niego, jakbym miała coś do udowodnienia. Jak dragonka podczas ceremonii zaślubin na oczach stada.

W jednej chwili zapominam o publiczności. O wszystkim poza suchym żarem jego ust. Płuca to napinają mi się, to kurczą. Wraz z narastającym w klatce piersiowej ciepłem czuję, że moja skóra mieni się, rozgrzewa. Przez krtań przebija się skwierczący żar.

Niezbyt rozsądne posunięcie.

Zanim będzie za późno, odrywam się od niego. W oddechu wyczuwam dym i zaciskam usta. Moje nozdrza poruszają się i to przez nie uchodzi ciepło. Sprawdzając skórę, muskam opuszkami palców swoją twarz.

- Cześć, Will, cześć, Jacindo - mijają nas Xander. Jego wąska twarz jest dziwnie łagodna, ciemne oczy rozproszone, puste, bez wyrazu.

Will spina się. Drga mu mięsień żuchwy.

Angus jest mniej enigmatyczny. Kroczy u boku brata niczym wielka, przysadzista małpa, gapiąc się na nas z otwartymi ustami.

Will z powagą w oczach patrzy, jak się oddalają. Odzywa się pierwszy dzwonek.

- Spóźnimy się. - Spoglądam w stronę głównego wejścia. Pospolite ruszenie. Potok uczniów wlewa się do budynku przez dwuskrzydłowe drzwi. Tamra posyła mi skinienie głową, a potem dołącza do wszystkich.

Wszystkich oprócz jednej osoby. Brooklyn wciąż stoi w miejscu, zaciska błyszczące usta i piorunuje mnie wzrokiem. Odwracam oczy. Spoglądam na Willa. Nie patrzy na nią. Cała jego uwaga skupiona jest na mnie. Kiwnąwszy głową, jakby w odpowiedzi na zadane sobie w duchu pytanie, znów chwyta mnie za rękę.

I zapominam o Brooklyn.

Przed rozpoczęciem siódmej lekcji Catherine łapie mnie na korytarzu.

- Gdzie twój chłopak? - pyta przekornie. Znowu.

Droczy się ze mną, od kiedy podczas lunchu Will odprowadził mnie do naszego stołu, by zaraz potem lecieć na swoje zajęcia.

- Nie wiem.

Rozglądam się po zatłoczonym korytarzu. Do tej pory zawsze czekał na mnie pod klasą, gdy tylko rozlegał się dzwonek. Nie bardzo wiem, jak to robi, że dociera tam tak szybko, ale nie powiem, żeby mi się to nie podobało. Z nim przepychanie się przez tłum jest o wiele prostsze. Na tym właśnie chyba polega efekt oddziaływania Willa na moją dragonkę. Sprawia, że jestem silna, a wszystko inne znika... nawet moja skóra, chociaż akurat tego nie chcę.

- No dobra, to skoczmy jeszcze do kibelka, zanim zacznie się lekcja.

Podążam za Catherine i wchodzę do zacisznej toalety nieopodal naszej sali do zajęć własnych.

Czekam, tymczasem moja koleżanka trajkocze z kabiny:

- Dziś wieczorem idę na koncert z Brendanem. Jeśli chcesz pójść...

- Mam już plany.

- Niech zgadnę. Will.

Jakaś dziewczyna wychodzi z toalety i zostajemy tylko my dwie. Rozlega się dzwonek i donośny gwar uczniów cichnie, przeradając się w szmer. Catherine wychodzi z kabiny i zbliża się do umywalki.

- Lepiej się pośpiesz - mówię.

Drzwi toalety otwierają się i już nie jesteśmy same.

Wchodzi Brooklyn z czterema innymi dziewczynami. Stały zespół. Żadna się nie uśmiecha. Na wszystkich twarzach maluje się identyczny wyraz, który w moich oczach mimowolnie sprawia, że wyglądają tak samo. Błyszczące usta. Przydymione cienie na powiekach. Włosy perfekcyjnie wygładzone prostownicą.

Catherine zakręca kran. Otrzepując ręce z wody, odwraca się i taksuje grupę blokującą wyjście.

Wzdycham, jakoś zupełnie nieporuszona. Wiem, dlaczego tu są... prędzej czy później to chyba musiało się zdarzyć. Przykro mi tylko, że Catherine musi być w to wplątana.

Ostatni dzwonek dla spóźnialskich.

Z korytarza nic już nie słyhać i pogrążamy się w nagłej, grobowej ciszy z grupą dziewczyn zdecydowanych pokazać mi, gdzie jest moje miejsce.

ROZDZIAŁ 24

Upływa trochę czasu, może parę minut. Nie wiem, jak długo czekamy, aż ktoś się odezwie albo poruszy. Obserwując Brooklyn, nie potrafię stwierdzić, czy ona ma jakiś konkretny plan, czy wie, co chce powiedzieć lub zrobić.

W końcu zabieram głos w nadziei, że skorzystam na jej niezdecydowaniu.

- Był dzwonek. Nie chcemy chyba, żeby wpisali nam nieobecność. - Rzucam okiem na Catherine, dając jej do zrozumienia, żeby przeszła za mną przez ten mur.

- Tak? - Brooklyn przekrzywia głowę i zjadliwym tonem ciągnie dalej. - To mnie akurat w tej chwili nie rusza.

Zatrzymuję się kilkanaście centymetrów przed nią. Ani ona, ani jej koleżanki nie ustępują choćby na krok. Chyba tylko buldożer mógłby coś wskórać.

- Ale wiesz, co mnie rusza? - pyta. Czekam, wytrzymując jej spojrzenie.

- Rude dziry takie jak ty, co przychodzą do mojej szkoły i rządzą się tu, jakby były u siebie.

Catherine wtrąca się, w jej głosie pobrzmiwa zmęczenie i niecierpliwość.

- Daj spokój, Brooklyn.

Jedna z dziewcząt spogląda jej prosto w twarz.

- Nikt nie mówi do ciebie, łajzo. Brooklyn zbliża się. Stoimy nos w nos.

Wzruszam ramionami, przekonana, że wylądowałam w jakiejś beznadziejnej bajce o złych cheerleaderkach rywalizujących o mistrzostwo świata.

- I czego ode mnie oczekujesz?

Mój spokój zdaje się podsycać jej gniew.

- Wracaj do tej zapyziałej dziury, z której przyjechałaś. -To akurat nie ja zdecydowałam o przyjeździe tutaj.

Może pogadasz o tym z moją mamą... Mnie jakoś nie udaje się jej przekonać.

Kąt przechylenia jej głowy pogłębia się, jakby poważnie to rozważała.

- A co powiesz na to: znikasz albo twoja siostra będzie musiała za to zapłacić?

Głęboko oddycham i ogarniam wzrokiem wszystkie pięć dziewczyn. Czy one mówią serio?

- Tak. Chcesz, żebyście obie miały tu przechlapane? - odzywa się słabym głosem blondynka z warkoczykami. Chyba ją pamiętam, podczas zbiórki kibiców była na czubku piramidy.

- Myślałam, że lubicie Tamrę - mówię.

Brooklyn wzrusza ramionami. Krzyżuje ręce na piersiach.

-Jest w porządku. Szanuje porządek rzeczy. Mogłybyśmy ją tolerować. - Przejeżdża po mnie wzrokiem. - Ale ciebie nie.

- Nie mieszaj w to Tamry. - Moje dłonie zaciskają się, paznokcie wbijają w skórę. Ból mile widziany. Moja złość go lubi. Płuca mi się ściągają, pieką. W głębi zaczynają się tlić. - To sprawa między nami.

- Ach - Brooklyn drwi rozkapryszonym głosem. - Czy to nie słodkie? Czyż nie jesteś dobrą siostrunią? Może jeżeli ty przestaniesz uganiać się za Willem, to ja znajdę sposób na włączenie Tamry do zespołu. Dziewczyny kiwają głowami i triumfalnie się uśmiechają.

Czuję w powietrzu zapach napięcia - gryzący jak dym, wybuchowy jak proch strzelniczy.

- Co za dziecinada! Chodź, Jacinda. - Catherine próbuje przepchnąć się między nimi, torując drogę własnym ciałem i łokciami. To zły pomysł. Iskra, która prowadzi do eksplozji Brooklyn i jej załogi. Puszczają tamy. Pękają jak napięte struny.

Dziewczyny błyskawicznie ją otaczają. Iskrzące powietrze rozrywa nagły i ostry krzyk Catherine. Przez ułamek sekundy widzę jej błękitne oczy, wytrzeszczone i przestraszone, a zaraz potem znika pod nawałem atakujących ją ciał.

- Catherine! - daję nura w tę kotłującą się masę i natychmiast grzęznę w chaotycznej plątaninie wijących się ciał.

Jakiś łokieć między moimi żebrami wybija ze mnie powietrze. Nie mogę odnaleźć Catherine. Nie wiem, kto jest kto... Twarz przeszywa mi nagły ból. To chyba czyjaś pięść.

W głowie mi dzwoni. Huczy w uszach. W głębi klatki piersiowej budzą się wibracje. Potem jest już za późno. Nie wiem jak, ale ląduję na podłodze. Wewnątrz wzbiera błogi żar, kipi, bucha, rozlewa się we mnie w błyskawicznym tempie. Płonę.

Zimna posadzka syczy w zetknięciu z moją rozpaloną skórą.

Jakiś szpiczasty but kopie mnie w żebra. Jego impet jest tak silny, że aż mną rzuca. Jęczę. Co za ból! Próbuję wstać, ale zostaję z powrotem popchnięta i padam. Uderzam szczęką o podłogę. Na zębach mam

krew, w nosie czuję metaliczną woń. Staram się połknąć ten gorzki strumień w nadziei, że wyciszy szalejący we mnie ogień. Bez powodzenia. Nadal płonę. Moje płuca kipią od żaru. Z ust wydobywa się dym, osmalając wnętrze nozdrzy.

Powietrze rozdzierają przekleństwa. Wraz ze wskazówkami i wytycznymi, jak mi dołożyć. Niezależnie od zamiaru, jaki im przyświecał, gdy tu wchodziły, teraz rządzi nimi zbiorowa mentalność.

- Bierz ją!

- Trzymaj!

- Złap ją za włosy!

W moje włosy wplątuje się czyjaś dłoń i chwytą całą ich garść. Długie kosmyki się rozrywają. Do oczu napływają mi łzy. Mrugam, starając się odzyskać ostrość widzenia.

Bezmyślnie odwracam głowę w stronę przytłaczającej mnie masy ciał. Odnajduję rękę, która mnie trzyma, która zadaje mi ból...

Rozchylam usta, robię wdech, wciągam powietrze głęboko do rozpalonych płuc.

I dmucham.

Wszystko kończy się wrzaskiem. Nie jest to krzyk, który słyszy się w filmach. Przez parę chwil unosi się w powietrzu, odbija echem od ścian, dźwięczy w mych uszach. Gwałtownie wszystko zatrzymuje. Łącznie z moim sercem, które zamiera w ciemnej kipieli klatki piersiowej.

Wszyscy na oślep rozglądają się dookoła w poszukiwaniu źródła.

Oprócz mnie.

Ja patrzę na Brookyn. Twarz jej pobladła. Usta drżą. Oczy szklą się jaskrawym bólem. Kołysze się na posadzce, trzyma się za przedramię, koniuszki palców są aż po-

bielałe od ucisku. Węszę w powietrzu. Unosi się w nim woń przypalonego ciała.

Blondynka z wierzchołka piramidy przykuca obok mojej rywalki.

- Co się stało?

Wzrok Brooklyn utkwiony jest we mnie.

- Poparzyła mnie!

Brooklyn odsuwa dłoń, by pokazać oparzenie. Bez wątpienia drugi stopień. Uszkodzona skóra jest różowiotka, ma śliski wygląd, obrzeża są białe z czarnymi zniszczeniami. Wszystkie spojrzenia przenoszą się na mnie.

Nie prostuję jej słów. Chociaż to raczej przypalenie niż oparzenie. Połknęłam całą rzekę ognia, gdy tylko zaczęła wydobywać się z moich ust. Płomień ledwie ją musnął. Mogło być naprawdę znacznie gorzej.

Catherine bacznie mi się przygląda:

- Masz zapalniczkę? - pyta cicho. Nie mam szansy na odpowiedź.

- Dołóżcie jej!

Rzucają się na mnie. Znowu. Szamoczę się, próbuję się wyrwać z tej kotłowaniny. Skóra mi mrowi, nie mogąc doczekać się przemiany.

Catherine wykrzykuje moje imię, tymczasem Brooklyn zagrzewa dziewczyny do walki.

Moje płuca się rozszerzają, napęniają dymem. Pulsujący żar gryzie mnie w gardło, rozpycha krtań.

Zaciskam wargi, chcąc za wszelką cenę tym razem powstrzymać ogień, ale w ustach czuję strach.

Strach przed nimi. Strach o nie. Obawę przed tym, co moja dragonka zrobi, jeśli stąd nie ucieknę.

Obawę przed tym, co mogłoby to oznaczać dla tak wielu istnień...

Ten cały strach rozstrzyga sprawę. Nie mam szans powstrzymać prastarego instynktu. Moje skrzydła prą na

powierzchnię, ich membrany naprężają się, by się przebić i rozwinąć. Jęczę, walcząc i starając się jak najdłużej powstrzymać przemianę. Czuję rwanie w kościach. Ludzkie ciało zanika, a rysy mojej prawdziwej twarzy wyostrzają się, nos się rozszerza, jego mostek unosi. Niedobrze.

Poddaję się. W każdym razie częściowo. Na brudnej posadzce toalety udaje mi się powstrzymać od całkowitej przemiany, ale nie na długo.

Wypuszczam powietrze przez nos: nie mam innego wyboru. Ostrożnie odwracam głowę i owiewam je wszystkie gorącym podmuchem.

Wypuszczają mnie, zataczając się i piszcząc. Opadają na podłogę.

Kiedy się podnoszę, miga mi przed oczyma moje odbicie w lustrze. Czerwonawozłocisty połysk mojej skóry. Wyostrzone rysy twarzy i wypiętrzony nos. Twarz, która niewyraźnie pojawia się i zanika jak migoczący płomień.

Ze stłumionym okrzykiem wpadam do kabiny i rygluję drzwi. Łapczywie łykam powietrze, próbuję ostudzić płuca.

I mam nadzieję, rozpaczliwą nadzieję, że żadna z nich nie widziała tego, co ja w lustrze.

ROZDZIAŁ 25

Przyciskam wibrujące dłonie do drzwi. Pochyliwszy głowę, otępiła wpatruję się w palce u nóg przebijające się przez czubki butów. Wielkimi haustami wciągam przez zęby powietrze, tymczasem mrowiące plecy wyginają się. W skupieniu wpycham na miejsce skrzydła, które rwą się do tego, by się wysunąć, rozwinąć i przedrzeć przez bluzkę.

Ciężko dysząc, zmagam się ze wszystkimi swoimi instynktami, każdą komórką mojej istoty. Ręce mi drżą, czuję pieczenie w mięśniach. Tak trudno jest opanować uwolnioną część mnie... reszta też rwie się na światło dzienne.

Tym razem jest odwrotnie. Wysiłam się, by być człowiekiem i by pogrzebać dragonkę.

Nie teraz. Nie teraz! Rzucam głową, łapię ustami włosy i je wypluwam.

Na zewnątrz słyszać głosy, ale nie jestem w stanie ich zrozumieć. Mogę tylko tłumić zalewający mnie żar.

I wtedy go słyszę.

To on.

Jedyny głos, który usłyszałabym nawet po śmierci -gnijąc pod ziemią, usiadłabym i zwróciła na niego uwagę. Sięga w głąb mnie, podsyca ogień.

Przerażenie nasila się.

- Odejdź! - błagam. Mój głos jest gruby, zniekształcony żarem i dymem. Poruszam szczęką, krtanią, usiłuję powstrzymać przemianę głosu, metamorfozę strun głosowych.

On nie może tutaj przebywać. Nie może zobaczyć mnie w tym stanie.

- Nic ci nie jest? - Will uderza o drzwi. - Coś ci zrobiły?

- Mówisz o niej? - parska Brooklyn. - Popatrz na moją rękę! Podpaliła mnie! Nawet na nią nie spojrzałam, a ona mnie zaatakowała! Wyłaź stamtąd! - Drzwiami kabiny wstrząsa kopnięcie, aż mnie od nich odrzuca.

Twarz mi tężeje, wysuwają się kości policzkowe, naprężają policzki. Przegrywam tę bitwę.

Spoglądam na ręce i jęczę na widok rozpalonego ciała. Opanował mnie pradawny instynkt. Potrzebuję więcej czasu.

Dlaczego musiał znaleźć się tu akurat teraz?

Skrzydła wysuwają się - tylko troszeczkę, ale wystarczająco, by rozerwać bluzkę.

Bawełniana podkoszulka rozluźnia się na ramionach, zsuwa po moich rękach. Skrzydła rozwijają się, rozpościerają i marszczą gotowe do lotu cieniutkie membrany. Chociaż się jeszcze całkowicie nie przemieniłam, skrzydła są na tyle silne, by unieść mnie w powietrze.

Moje stopy odrywają się od posadzki.

Chwytam się śliskich ścianek kabiny, próbuję wyciszyć migotanie czerwonożółtych smug na swym ciele. Zalewają mnie kolejne fale żaru. Usiłując odwrócić przemianę, zaciskam zęby, by nie krzyknąć, ale nie mogę opanować pomruku.

- Jacinda! Otwórz drzwi!

Słyszę jakiś inny dźwięk. Trzaśnięcie. Pisk podeszew na kafelkach. Zgrzyt. Ścianki kabiny wokół mnie trzęsą się. I rozlega się moje imię, powtórzone bez tchu:

-Jacinda...

Jego głos nie dobiega już sprzed drzwi. Z sercem w gardle namierzam go i zerkam w górę. Will spoziera na mnie znad brzegu kabiny, w szoku rozchylił usta. Orzechowe oczy połyskują smutkiem, coś w nich umiera, kiedy tak na mnie patrzy.

- Will - udaje mi się wykrztusić poprzez dym, mój angielski ledwie da się zrozumieć. - Proszę. Nie rozpoznaję jego twarzy. Wciąż niby tak samo piękna, ale inna. Straszna. Potem już go nie ma. Słyszę jego twarde kroki, uderzenia stóp o posadzkę, ucieczkę z toalety. Ucieczkę przede mną.

Według zegara nad biurkiem dyrektora wciąż trwa siódma lekcja.

Jestem pewna, że źle chodzi. To niemożliwe, bym w tak krótkim czasie zdradziła moich pobratymców, straciła wszystko, wszelkie nadzieje i szanse - i Willa.

Dyrektor odkłada słuchawkę i znów na mnie patrzy. Ma jaskrawoniebieskie oczy, które spozierają spod krzaczastych siwych brwi. Nie mam wątpliwości, że to spojrzenie budzi strach w większości nastolatków, ale na mnie raczej nie działa. Nie w sytuacji, gdy właśnie teraz, gdzieś niedaleko Will kojarzy wszystkie fakty.

Siedzę odrętwiała, ze wzrokiem odwróconym do okna i patrzę na czerwono-brunatną ziemię okalającą czworokątny dziedziniec. Jest popękana i pomarszczona jak spalona przez słońce cera starego człowieka.

Udało mi się całkowicie odwrócić przemianę przed przybyciem nauczycieli analizujących zamieszanie. Mimo zapewnień Catherine, że to nie my zaczęłyśmy, a Brooklyn wraz z koleżankami, zostałam zawieszona.

Większość dziewczyn pokazała oparzenia jako dowód przeciwko mnie. Mimo że nie znaleziono przy mnie zapalniczki, powstała teoria, że spuściłam ją w toalecie.

- Twoja matka jest w drodze.

Kiwam głową, bo wiem, że powinna być już w domu. Obiecała, że dziś po południu odbierze nas ze szkoły.

Mam na sobie czerwoną koszulkę z logo Chaparral, która śmierdzi tak jak tekturowe pudło, skąd ją wyjęto. Moja podarta bluzka spoczywa w koszu na śmieci. Wszyscy zakładają, że została zniszczona podczas bójki. Tej teorii też jestem skłonna przyklasnąć.

- W tej szkole obowiązują surowe reguły, panno Jones. Nie tolerujemy przemocy, znęcania się ani zastraszania.

Kiwam głową, chociaż mało co do mnie dociera. Oczyma wyobraźni widzę tylko minę Willa. Słyszę szybkie uderzenia jego stóp podczas ucieczki. Myślę o tym, jak bardzo on musi mnie nienawidzić.

Stopniowo, wraz z każdą chwilą ta fala strachu cichnie, opada coraz głębiej. Zdarzyło się przecież coś jeszcze. Coś gorszego niż znienawidzenie mnie przez Willa. I równie okropnego jak to.

Naraziłam na niebezpieczeństwo wszystkie dragony. Ujawniłam nasz największy sekret. Jedyłą broń, która chroniła nas od stuleci. Jedyne fakty, którego nie znają myśliwi ani enkrony, o którym nigdy nie powinni się dowiedzieć.

Ale teraz wiedzą.

A przynajmniej jeden z nich. I to wszystko przeze mnie. Zamykam oczy. Żołądek mi się skręca.

Ogarnia mnie lodowate przygnębienie, przeszywając chłodem aż do szpiku kości.

Dyrektor najwyraźniej je dostrzega. Tyle że błędnie odczytuje jego źródło.

- Widzę, że jesteś skruszona, panno Jones. To dobrze. Przynajmniej zdajesz sobie sprawę z wagi swoich poczynań. Oczekuję, że po powrocie do szkoły będziesz się właściwie zachowywać. Jesteś tutaj nowa i nie zaczynasz ze zbyt dobrymi notowaniami. Przemyśl to.

Zdobywam się na skinięcie głową.

- Dobrze. Na matkę możesz poczekać na zewnątrz. - Dyrektor gestem wskazuje drzwi. - Gdy przyjedzie, porozmawiam z nią o twoim zawieszeniu.

Wstaję i wychodzę z gabinetu. Moje ruchy są powolne, ciało osłabione, zbyt zmęczone ciężką walką z samym sobą. Opadam na krzesło i toleruję spojrzenie sekretarki, patrzącej na mnie spod ściągniętych brwi. Szkołę z pewnością już obiegła plotka, że jestem terrorystką-pi-romanką. Krzyżuję ręce na piersiach, opieram tył głowy o ścianę i czekam, aż przyjedzie mama. Czekam i się zamartwiam.

Martwię się, co zrobi Will. Co powie ojcu? Kuzynom? Czy może po prostu sam stanie ze mną twarzą w twarz? Jak zdołam go przekonać, że nie widział tego, co przecież wyraźnie zobaczył? Zwłaszcza że przyłapał mnie na przeszpiegach w jego domu.

Nawet się cieszę, że mnie zawieszono. Trochę czasu upłynie, zanim będę musiała spojrzeć mu w oczy i przekonać się o tym. Oczywiście przy założeniu, że nie pojawi się na progu mojego domu z pułkiem kawalerii gotowym mnie unicestwić.

Jest już po lekcjach, gdy dyrektor kończy rozmowę z mamą. Wychodząc z sekretariatu, czuję ulgę na widok pustego budynku i wymiecionych korytarzy.

W drodze na parking mama się nie odzywa. Złowieszczo milczy. Zerkam na nią parę razy, chcę zapytać o wy-

jazd, dowiedzieć się czegoś o bursztynie. Nawet teraz, po tym wszystkim, co się stało, potrzebuję potwierdzenia, że ta część mnie jest stracona.

Przy samochodzie czeka Tamra. Jej kremowa cera pokryta jest czerwonymi cętkami i wiem, że to nie dlatego, że musiała na nas czekać w słońcu. Płakała. Czerwone szorty i biała koszulka wszystko tłumaczą. Tego popołudnia odbywały się eliminacje. W całym tym zamieszaniu nieomal zapomniałam, że dziś był jej wielki dzień.

Nie traci czasu.

- Jak mogłaś? - twarz jej płonie gniewem. - Nie liczyło się, co zrobiłam. Mogłabym nawet być złotą medalistką w gimnastyce, a nie zagłosowałyby na mnie! Nie po twoim ataku!

Z ust wyrywa mi się bolesne westchnienie. Ona nie ma pojęcia, że próbowałam jej bronić. Ani nie zdaje sobie sprawy z tego, ile zła jest w tych dziewczynach. Wystarczy jednak rzut oka na jej minę i wiem, że nie jest w nastroju do słuchania tych argumentów.

- Przykro mi, Tamra, ale...

- Przykro ci? - Potrząsa smętnie głową. - Nieważne, gdziekolwiek byśmy pojechały, zawsze tak będzie. - Szukając słów, wymachuje rękoma. - Czy zawsze wszystko musi się kręcić wokół ciebie? Wpatruję się w nią. W oczy takie same jak moje. I żałuję, że nie umiem odpowiedzieć. Nie potrafię odeprzeć tego oskarżenia.

Głos mamy zmraża nas obie.

- To nie miejsce na takie dyskusje. Wsiadajcie do samochodu. I to już! - Rzuca wkoło nerwowe spojrzenia. Nie jesteśmy same. Na parkingu widać jeszcze parę osób.

Wsuwam się na tylne siedzenie. Gdy mama zatrzaskuje drzwi, mój pas jest już zapięty.

-Jeszcze nam tylko tego brakuje, żebyście przy ludziach skakały sobie do oczu. - Zerka przez ramię, trzymając kluczyki w ręku. - Z dyrektorem już rozmawiałam. Czy teraz ty zechcesz mi wytłumaczyć, co naprawdę się stało?

Przygryzam wargę, a potem ją uwalniam z głębokim westchnieniem. Nie ma dobrego sposobu na wyjaśnienie tego.

- Zostałam napadnięta w toalecie. - Wzruszam ramionami, jakby zdarzało się to codziennie. - No i się przemieniłam.

Moja siostra wydaje z siebie jęk.

Ramiona mamy gwałtownie opadają. Odwróciwszy się, przekreśla klucz w stacyjce. Z nawiewów wydobywa się ciepłe powietrze.

- Na ile kłopotliwie?

Bo przemiana to przecież zawsze tylko kłopot. A tym razem chyba faktycznie całkiem niezły.

- Schowałam się w kabinie. Nic nie widziały. A w każdym razie nie miały pojęcia, co widzą. Ale oparzyłam jedną z nich, żeby się wyrwać. - Krzywię się. - No, może więcej niż jedną.

Moja siostra wpada w furję. Aż się trzęsie na przednim siedzeniu.

- Fantastycznie!

- Tamra - mówi mama, głośno wzdychając. Jej nozdrza falują. - Nic tu nie jest łatwe dla Jacindy. I tak trzyma się lepiej, niż mogłyśmy się spodziewać.

Unoszę się lekko w fotelu i zastanawiam się, czy ona naprawdę tak myśli. Bo ja nie mam wrażenia, że „się trzymam”. Raczej ledwie udaje mi się przetrwać.

Ruszamy z miejsca i wyjeżdżamy z parkingu.

- Ten tydzień w domu będzie dla ciebie w sam raz.

- Tydzień w domu? - Tamra odwraca się, by spioruno-wać mnie wzrokiem. - Zawiesili cię?

- Może za bardzo na ciebie naciskałam, Jacindo - ciągnie mama. - Maj już prawie za nami. Jeżeli wytrzymasz do wakacji, to jesienią, gdy szkoła znów się zacznie, na pewno...
- Czy ktoś mnie w ogóle słucha? - krzyczy Tamra.
- Dzisiaj przegrałam coś, na czym naprawdę mi zależało!
- Uderza pięścią w udo.

Mama spogląda na nią z zaskoczeniem.

Tamra kręci głową, jakby nie mogła czegoś pojąć.

- Dlaczego zawsze wszystko kręci się wokół Jacindy? Głos mamy łagodnieje:
- Powoli, Tamro. Niedługo będzie po wszystkim...
- Chcesz powiedzieć, że niedługo będę martwa
- wtrącam oskarżycielskim tonem. - Dlaczego nie mówisz tego, co masz na myśli? Przecież chodzi ci o to, że wkrótce moja dragonka będzie martwa. Czy ty nigdy nie odpuścisz? Nie przestaniesz niszczyć tej części mnie...? Mordowanie mnie to dla ciebie frajda. Dlaczego nie możesz po prostu zaakceptować mnie takiej, jaka jestem?

Usta mamy zaciskają się w wąską linię. Wpatruje się w jezdnię.

Tamra odrzuca głowę na oparcie fotela, wydając z siebie jęk zniesmaczenia.

A ja uświadamiam sobie, że żadna z nich nigdy mnie nie zaakceptuje. Są jedynymi krewnymi, którzy mi zostali, ale poczucie braku więzi sprawia, że równie dobrze mogłyby być obce.

Utraciłam Willa. Wpakowałam w tarapaty dragonkę. Zraziłam do siebie rodzinę. Nawet moje stado chce mnie zniszczyć.

Nie mam dokąd pójść ani uciec.

I nie mogę pozostać tutaj.

Wieczorem moja siostra ma randkę.

Will też miał mnie dziś zabrać na naszą pierwszą oficjalną randkę. Co za ironia losu. Kolacja. Kino. Popcorn. Ona będzie to wszystko miała. Ja nie. Nie spodziewam się, że Will przyjdzie. A jednak na dźwięk pukania do drzwi serce mi podskakuje, a w brzuchu czuję taniec motyli.

Znam go ze szkoły. Zdenerwowany stoi w naszym małym salonie i wyciera spocone dłonie o dzinsy.

Nazywa się Ben. Słodki blondyn o miłych oczach. Nieco niższy od Tamry i ode mnie.

Próbuję nie myśleć o Willu i o tym, co zrobię teraz, gdy on wie. Nie mogę od niego oczekiwać, że będzie udawał, że nic nie widział. W każdej chwili może wpaść tu z rodziną i mnie schwytać. Tylko wspomnienie naszego pierwszego spotkania pozwala mi się jakoś trzymać, daje mi nadzieję. Wtedy darował mi wolność. Teraz, poznawszy mnie lepiej, z pewnością nie zniósłby mojej krzywdy, nie mógłby wydać mnie na pastwę swoich krewnych. Tym bardziej że nie chce być częścią tej rodziny. Nienawidzi jej.

Mimo wszystko jednak jest to duży kredyt zaufania. Powinnam dogadać się z mamą tak, żebyśmy mogły wyjechać z Chaparral, ale po prostu nie potrafię wydusić z siebie tych słów. Słów, które na zawsze oddzielią mnie od niego. I tak nie mam przecież nad nim żadnej kontroli. Zwłaszcza teraz.

Jakaś ty głupia, Jacindo. Nic nie wskórałam. Nie mogę narażać rodziny... nie mogę liczyć na to, że Will nie okaże się myśliwym, na jakiego go wychowano, i że nie wyda mnie w ręce krewniaków.

Patrząc przez okno na Tamrę i Bena, milczę. Chyba się dąsam.

Czuję się okropnie. Nie dlatego, że Tamra idzie na randkę, a ja nie, lecz dlatego, że nie wiedziałam, iż została na nią zaproszona. Nie miałam nawet pojęcia, że ktoś jej

się podoba. Nie mogę nic powiedzieć, by jej tego nie zniszczyć. W każdym razie nie dziś wieczorem.
Może jutro...

Ma rację. Zawsze wszystko kręci się wokół mnie. Uświadomienie sobie tego prowadzi do innego wniosku, który mnie paraliżuje i wyciska łzy z oczu.

Wkrótce wszystko będzie się kręciło wyłącznie wokół mnie.

Muszę opuścić to miejsce. Sama. Muszę być sama.

ROZDZIAŁ 26

Chociaż już się obudziłam, gdy w poniedziałek rano Tamra zbiera się do szkoły, nie wychodzę z łóżka. Udaję, że śpię, tymczasem ona się ubiera. Gdy obie z mamą odjeżdżają, wstaję, przyrządzam omlet z serem, taki jak zwykł go niegdyś robić tato, i w otępieniu jem, oglądając poranny talk show. Po południu mam dość grobowej ciszy domu. Dość zamartwiania się tym, co zrobi albo czego nie zrobi Will. Wychodzę na spacer. Po pięciu minutach już szarpie mój top przylepiający się do spoconego ciała. Gdy dochodzę do pola golfowego, zatrzymuję się, by nasycić oczy morzem bujnej zieleni - tak odmiennej od otaczającej ją zewsząd suchej, popękanej gleby. Rozsiadam się na obrzeżu murawy i przeczesuję palcami trawę, aż w końcu ściagam na siebie zaciekawione spojrzenia siwowłosych emerytów w źle dobranych spodniach. Poprzysiągłszy sobie, że spróbuję polatać w tym tygodniu, wracam do domu. Po drodze planuję kolejny ruch - włamanie do domu Willa i ponowny rzut oka na mapę.

Pani Hennessey jest na dworze i podlewa ogród.

- Czyli to ty?

Przystaję.

- Proszę?

- Twoja matka powiedziała mi, że cię zawieszono. Świetnie. Potwierdziłam jej podejrzenie, że wynajęła dom rodzinie szubrawców.

- Tak myślałam, że to ty - dodaje z pewną dozą zadowolenia.

Nieźle, myślę sobie, chyłkiem ruszając w stronę domku przy basenie.

- Zrobiłam gulasz! - woła. Przystaję.

- Co to takiego?

- Wołowina, cebula, papryka. Z dodatkiem kwaśnej śmietanki. - Wzrusza ramionami. - To w razie gdybyś zgłodniała. Dużo tego jest. Jakoś nigdy nie przyzwyczyłam się do gotowania dla jednej osoby. Przez chwilę wpatruję się w nią, ponownie wyrabiając sobie opinię na jej temat. Może jest nie tyle wścibska, co samotna. Zwłaszcza jeśli całymi dniami i nocami tkwi sama w tym cichym domu. Tak, to samotność. Teraz rozumiem.

- Pewnie - odpowiadam. - Kiedy?

- Teraz jest gorący. - Powłócząc nogami, wchodzi do środka.

Po chwili dołączam do niej.

Następnego dnia już nie czekam na zaproszenie. Idę do pani Hennessey zaraz po wyjściu mamy i Tamry.

Nie mówi dużo. Sporo gotuje. Piecze. Nie żartowała, mówiąc, że zawsze robi za dużo jedzenia. Karmi mnie, jakbym była rekonwalescentką, którą trzeba podtuczyć. To na swój sposób miłe.

Jej towarzystwo pomaga mi odciągnąć myśli od Willa.

Przy śniadaniu złożonym z francuskich grzanek, suto posypanych cukrem i ociekających syropem, słyszę jakiś odgłos. Pukanie. Opuszczam widelec na talerz.

Pani Hennessey też je słyszy.

- To u ciebie?

Potrząsam głową, wstaję i podchodzę do okna salonu.

- Nie wiem, kto by to mógł być - mówię, wyglądając przez żaluzje.

Przy drzwiach mojego domu stoi Will.

Zamieram. Rozważam, co zrobić. Paść na podłogę i ukryć się tak, żeby on nie zauważył tego ruchu?

Nie jestem gotowa na spotkanie z nim.

- To twój chłopak? Przechyliłam głowę.

- Nie... tak... nie.

Pani Hennessey śmieje się ochryplym głosem.

- No cóż, w każdym razie na pewno jest na kim zawiesić oko. Dlaczego nie pójdziesz z nim pogadać?

Rzucam jej zaskoczone spojrzenie.

- Co? Zły pomysł? - pyta. - Czegoś się boisz? Kręcę głową, trochę za mocno.

- Niczego.

To akurat kłamstwo. Tak, boję się tego, co powie. Słów, których nie wymówił w toalecie, ale były one wypisane w jego oczach, a teraz okrzepły na tyle, by móc nimi we mnie miotać jak wyostrzonymi strzałami.

Jednym susem staję z brzegu okna i stamtąd wyglądam na zewnątrz. Patrzę, jak znowu puka.

- Jacinda? - woła mnie przez drzwi.

Pani Hennessey mruży oczy, spozierając przez rozsunięte żaluzje.

-Jeśli się nie boisz, to czemu się chowasz? Przecież on nie jest agresywny, prawda?

- Nie, on mi nie zrobi krzywdy. - W każdym razie tak myślę. Nie skrzywdził mnie, gdy pierwszy raz się spotkaliśmy, ale teraz... Chrząkam. Ukrywam drżące dłonie w fałdach bluzki.

Moja skóra tężeje. Omiatam wzrokiem ogród, jakbym spodziewała się ujrzeć jego kuzynów przyczajonych w krzakach, gotowych do skoku. Spoglądam w górę, ale nie widzę helikopterów krążących jak myszołowy.

Pamiętam, jak patrzył na mnie w ubikacji. Do tej pory nie zdołałam się jeszcze otrząsnąć ze wspomnienia wyrazu jego twarzy, oczu rozszerzonych przerażeniem. Szoku patrzenia na mnie - dziewczynę, która mu się spodobała - przemienioną w dokładnie to stworzenie, na które nauczono go polować. Cóż za kontrast w porównaniu z jego reakcją, gdy poprzednio widział mnie we wcieleniu dra-gonki. Ta różnica sprawia, że żołądek skręca mi się w jeden wielki supeł.

- No, to na co czekasz? - pyta pani Hennessey.

Na jakąś ulgę. Na to, by życie przestało być takie trudne.

A ponieważ to się nie zdarzy, posyłam pani Hennessey niepewny uśmiešek i wychodzę na zewnątrz.

- Cześć, Will - mówię cicho.

Odwraca się. Ogarnia mnie wzrokiem, jakby czegoś szukał. Czego? Czy spodziewał się, że stanę przed nim całkowicie przemieniona? Ze skrzydłami, ognistą skórą i tak dalej?

Przenosi spojrzenie ponad moje ramię i wiem, że zauważa panią Hennessey w oknie.

- Wejdzmy do środka. - Szybko go wymijam i wchodzę do naszego domku przy basenie. Wita nas lodowate powietrze, które działa jak balsam na moje parujące

ciało. Gdy mama i Tamra wyszły, przykręciłam termostat na niższą temperaturę, spragniona chłodu, mroźnego tchnienia na skórze.

Cieszy mnie to zwłaszcza teraz. Kiedy on jest tutaj.

Słyszę, jak zamyka drzwi. Stojąc na środku naszego saloniku, odwracam się i patrzę mu w oczy.

Wbijam ręce głęboko w kieszenie szortów, aż ich pasek zsuwa się nieco niżej.

- Czy nie powinieneś być teraz w szkole?

Wpatruje się we mnie przenikliwymi, jasnymi oczyma. Dziś bardziej złocistymi niż brązowymi czy zielonymi. A moje serce trochę się ściska, bo przypomina mi się sprzedany przez mamę bursztyn, ten utracony kawałek mojej duszy. Spojrzenie Willa zawsze było przenikliwe, ale tym razem jest inne.

Jakby patrzył na mnie po raz pierwszy.

I w pewnym sensie chyba tak jest.

W wyrazistych oczach maluje się poczucie krzywdy, bycia oszukanym. Doświadczył tego z mojej strony i nie mogę się niczego wyprzeć. Jego krzywda mnie rani. Bardziej, niż mogłabym się tego spodziewać. Ten ból dorównuje cierpieniu po stracie ojca, po opuszczeniu stada, rozstaniu z Az i Nidią. Jest podobny do poczucia utraty mojej dragońskiej natury, ulatującej jak mgła, która przecieka przez palce. I do uczucia zdrady moich pobratymców... nawet jeśli zamierzali mnie oszukać i podciąć skrzydła.

- Wziąłem sobie wolny dzień - oznajmia, skoro już pytam.

- Twój tato pozwala ci tak po prostu...

- Nie pytam go. O nic. Dopóki nie wylecę, nic go nie obchodzi. - Dołeczki w jego policzkach pogłębiają się. - Obchodzą go za to inne rzeczy. - Powoli kiwa głową. Czuję skurcz w żołądku. - Chyba wiesz, o czym mówię.

Skurcz przeradza się w ból. No to jesteśmy w domu. Równie dobrze mogę to nazwać po imieniu.

Wyłożyć kawę na ławę. Bo on wie, że ja wiem.

- O rodzinnym biznesie - przyznaję. Zaciska usta w ponurą kreskę.

- Tak. Mój rodzinny biznes to polowanie na twoją rodzinę.

Wciągam powietrze. Boję się tego pytania, ale muszę to wiedzieć:

- Powiedziałeś im o...

- Czy naprawdę myślisz, że żyłabyś jeszcze, gdybym to zrobił? - odpowiada zjadliwym tonem, a jego oczy ciskają we mnie gniewne gromy.

Opadam na kanapę, skubię brzeg moich szortów.

- Chyba nie... Kręci głową.

- Widziałaś tamten gabinet w moim domu...

- Tak - odpowiadam szybko, nie mam ochoty rozprawiać o tej komnacie trofeów rodzinnych. Jej widok prześladowuje mnie za każdym razem, gdy tylko zamykam oczy. - Wiem, do czego zdolna jest twoja rodzina.

- I mimo to do mnie przyszłaś? - warczy. - Życie ci niemiłe?

- Nie miałam wyboru! - opasuję się ramionami, zaciskam je mocno, jakbym w ten sposób mogła osłonić się przed jego gniewem.

Wzdychając, siada obok mnie. Bliżej, niż się spodziewałam. Bliżej, niżbym teraz chciała. Czuję zapach mydła. Jego skóry. W moich płucach wzbiera żar, gorąco dociera aż do ust, a dym do nosa.

- Ty chyba nie jesteś enkronką - mówi. - Jesteś... smoczyką.

Widzę, że mówi to z ciężkim sercem i niemalże się uśmiecham.

- Nie, nie jestem enkronką. Nie jesteśmy też smokami, już od dawna. Od nich po prostu się wywodzimy. Nazywamy siebie dragonami.

- Dragony. - Powoli kiwa głową. Potem nachyla się bliżej, w jego oczach widać gniew. - Pewnie nieźle się tym wszystkim bawisz, co? - Jego głos jest tak cichy i miękki jak muśnięcie piórkiem na skórze.

- Nie. - Drzę. Nie wiem, czy to ze strachu, czy z przyjemności. Może z obu powodów. On naprawdę nie powinien być tak blisko mnie. - Niczego nie nazwałabym zabawnym.

- Może i nie, ale wiesz co... mogłaś mi powiedzieć... -Mogłam? - Pocieram dłonią czoło, dokładnie na środku, tam, gdzie zaczyna mnie mrowić. - Tak samo, jak ty byłeś szczery ze mną. - Przynajmniej mój głos sprawia wrażenie silnego, chociaż w środku cała się trzęsę. Jego twarz przybiera kamienny wyraz.

- A czego się spodziewałaś? Że dziewczynie, której nie potrafię sobie wybić z głowy, powiem, że moja rodzinka poluje na mityczne stworzenia? Że te łowy to obsesja moich krewnych? Ze kręci ich mordowanie, zbijanie kasy na szlachtowaniu...

- Przestań! - Podnoszę rękę, dotykam warg, próbuję odpędzić z ust nieprzyjemny smak, powstrzymać żołądek podjeżdżający mi do gardła. Nie chcę znać tych wszystkich szczegółów. Nie mogę słuchać, co jego rodzina wyprawia z moimi ziomkami. Które z tych działań widział na własne oczy... a może nawet maczał w nich palce. Muszę wymazać z mej pamięci obraz tego sklepu z horrorami, który on nazywa domem.

- Ale ty przecież wiedziałaś - mówi. - Widziałaś mnie wcześniej. - W oczach ma wściekłość, wyrzuca z siebie

słowa w dzikim pośpiechu, każde z nich przypomina dźgnięcie ostrym nożem. - Znałaś mnie z gór. Pierwszego dnia rozpoznałaś mnie na korytarzu. - Jego spojrzenie koncentruje się na mojej twarzy, potem przesuwa na szyję i niżej, na resztę ciała. Znowu patrzy, tak jak kiedyś w jaskini. Jak w toalecie. Pod ludzką skórą wypatruje dra-gonki. - Przecież musiałaś wiedzieć, że nie skrzywdziłbym cię. Nie zrobiłem tego wtedy. Jak mógłbym zrobić to teraz?

Wstaję i przechodzę do kuchni, rozpaczliwie próbując się od niego oddalić, ale on nie zamierza dać mi tej swobody. Nie odstępuję mnie na krok.

- Przez cały czas wiedziałem, że to ty. Przestań się łudzić! - Patrzy na mnie rozgorączkowanymi, jasnymi oczyma. Ujmuje dłońmi moją twarz, jakby chciał mnie pocałować.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Odsuwam się i staję za małym blatem na środku kuchni, który pozwala mi zachować pewien dystans.

Zmarszczywszy brwi, wpatruje się we mnie i ciągnie dalej:

- Zanim zdołałem to zrozumieć, ja... pamiętałem cię. Wyczuwałem ciebie.

Jakoś nie jestem zaskoczona. Gdy wtedy stałam przy swojej szafce z Tamrą, było coś takiego w jego oczach, w jego minie.

Podnosi znowu rękę i tym razem pozwalam mu dotknąć swojej twarzy. Przysuwam policzek do jego dłoni. Moja skóra wzdycha pod dotykiem jego palców. Poruszam ustami, czuję słone piżmo jego ciała.

Jego głos wznieca we mnie płomień.

- Pamiętam cię. W tej grocie byłaś jak blask ognia, jak migoczący taniec kolorów. - Nachylam się nad blatem ku niemu, zahipnotyzowana jego słowami, dotykiem dło-

ni na twarzy. Jeśli będzie tak dalej mówił, to znów mnie w tej postaci zobaczy. - Powiedz mi, że myślałaś o mnie, że myślisz o mnie teraz.

Moje wargi poruszają się, ale nie jestem w stanie mówić. Opuszcza rękę i nagle czuję zimno.

Osamotnienie. Tak czuję się od dłuższego czasu. Nawet zanim przyjechałam do Chaparral. Od czasu mojej pierwszej przemiany i zatracenia samej siebie. Od kiedy dla wszystkich znanych mi istot stałam się po prostu ognioziewką. Dla rodziców. Dla mojej siostry. Dla Cassiana. Dla nich byłam przede wszystkim dragonką ziewającą ogniem. I chyba sama też jestem temu winna. Winna postrzegania siebie samej wyłącznie jako ognioziewki.

Dopiero teraz, tutaj z Willem, uświadamiam sobie, że jestem kimś więcej. Kimś nieskrepowanym przez reguły stada, rasy, rodziny. Kimś, kto może być kochany za to, jaki jest, niezależnie od tego, czy jest dragonem, czy nie.

- Myślałam o tobie - szepczę nie swoim głosem. Głosem, który należy do kogoś innego. Kogoś odważnego, gotowego postawić wszystko na jedną kartę i podążyć za tym, co dyktuje mu serce. - Nigdy nie przestałam o tobie myśleć. - I mam dziwną pewność, że chyba nigdy nie przestanę.

I wtedy Will wynagradza mi to ponownym dotknięciem mojej twarzy. Ustami na moich wargach, muskaniem ich miękko, czule. To nie łagodzi jednak głodu, który wciąż jest pod kontrolą. Czuję go jak burzę wiszącą w powietrzu. Mój oddech drży i wtedy on całuje mnie mocniej, jego dłonie zaciskają się na moich policzkach. Na chwilę zapominam o szalejącej we mnie pożodze. Gdy jego ręce przechylają moją głowę, chwytam twarde wypukłości jego bicepsów i rozkoszuję się bliskością jego ciała.

Jego wargi zaczynają się robić zimne, lodowate. I zdaję sobie sprawę, że to nie on stygnie, tylko ja się rozpalam.

Za bardzo. Odrywam się od niego, głęboko zaczerpując powietrza. Okrażam blat i dłońmi chwytam się jego brzegu. Burza we mnie się wycisza. Will nie wie nic o moim szczególnym talencie i lepiej, żeby nie dowiedział się o nim w ten sposób.

Oddycha raptownie, nierówno. Wypowiada moje imię z takim pragnieniem, że na długo przymykam powieki. Gdy ponownie otwieram oczy, wygląda, jakby odzyskał spokój i grunt pod nogami. Nie czuję się już tak spłoszona, kiedy znów wyciąga ku mnie dłoń. Jego oczy obiecują azyl, którego potrzebuję. Podaję mu rękę, a on prowadzi mnie z powrotem do salonu.

- A teraz mów - nalega. W jego oczach migocze zdecydowanie i głód prawdy. - Chcę wiedzieć o tobie wszystko.

Przecież już wie. W każdym razie poznał tę największą tajemnicę. I chociaż logika podpowiada, że powinnam jak najwięcej zatrzymać dla siebie - dla dobra stada i mojego gatunku, to nie potrafię milczeć. Już nie.

Nie w stosunku do niego. Nie mogę niczego zatajać. Nie przed chłopakiem, który tyle razy mnie osłonił. W górach. W swoim domu. Nawet wtedy w szkole. Gdyby chciał mnie skrzywdzić, zrobiłby to już dawno. Gdyby chciał mnie zranić, nie patrzyłby na mnie w taki sposób. Nie potrafiłby tego udawać. Nie chcę, żeby cokolwiek znów stało pomiędzy nami. Nadeszła chwila prawdy.

-Moja matka, Tamra... one nie są takie jak ja. Nie są... dragonkami.

Patrzy na mnie oszołomiony i ujmuje moją drugą dłoń. Puszczają tamy, opowiadam mu o stadzie, naszym życiu i przemianach. O tym, jak ewolucja wyposażyła nas w najważniejszy mechanizm obronny pozwalający przybierać ludzką postać.

- Gdy się boimy lub czujemy się zagrożeni, nie możemy zachować ludzkiej postaci. Na tym polega mechanizm obronny naszego gatunku... powracamy do naszego prawdziwego wcielenia, w którym jesteśmy silniejsi i możemy wykorzystywać nasze talenty. Dlatego właśnie zaczęłam się przemieniać w toalecie, gdy Brooklyn i jej koleżanki mnie zaatakowały.

Przez chwilę milczymy, a potem Will pyta:

- Wspominałaś o talentach. Jaki jest twój? Odwracam wzrok.

- Chyba już zauważyłaś.

Trudny kawałek prawdy. Ciężko mi o tym mówić. Ostatecznie Will już przecież wie, że jestem dragonką, tyle że to są kolejne schody, bo nie jestem zwykłą dragonką, lecz istotą, która jest dziwołagiem nawet wśród swoich.

Biorę głęboki oddech i spoglądam mu w oczy.

-Jestem ognioziejka.

Wygląda na zbitego z tropu, a mnie aż korci, żeby wygładzić zmarszczkę na jego czole.

- To niemożliwe. Takie zjawisko już nie istnieje - mówi. - Nie ma żadnych wzmianek o ziejących ogniem...

- Chyba załapałam się na jakieś geny recesywne. Nie uśmiecha się. Jego dłoń unosi się ku mojej twarzy,

lecz zastyga w powietrzu i nie dotyka mnie. Stopniowo jego oczy wypełniają się zrozumieniem.

-Na schodach... twoja skóra była taka gorąca. A teraz... twoje usta...

Twarz mi płonie, chociaż jego słowa budzą we mnie chłodną gorycz. Kiwam głową.

- Tak. Ja trochę... się rozgrzewam, gdy mnie całujesz.

- Co to znaczy? Czy gdy się całujemy, mogę zająć się ogniem czy coś w tym rodzaju? - Jego oczy się rozszerza-

ją. - To dlatego mnie unikałaś. Dlatego uciekałaś, gdy całowaliśmy się w samochodzie.

Jakoś udaje mi się powstrzymać od dodania, że uciekałam za każdym razem, a nie tylko tamtego wieczoru.

Dotyka dłonią swoich ust, jakby na wspomnienie moich warg sprzed paru chwil. Śmieję się. Żaloszny to śmiech. Czy może być coś bardziej żenującego?

- Mogę komuś zrobić krzywdę, tylko wtedy, gdy wypuszczę ogień lub parę - wyznaję. W każdym razie myślę, że to prawda.

Gdy mówię, jego palce przesuwają się po mojej ręce. Czuję ulgę, widząc, że Will po tym, co mu powiedziałam, nadal chce mnie dotykać. Odwraca moją dłoń i wodzi palcem po moich liniach papilarnych.

-1? - spogląda na mnie spod ciężkich powiek. - Co jeszcze powinienem o tobie wiedzieć?

- Moja skóra... - milknę, przetykam ślinę. Nachyla się i delikatnie całuje mój nadgarstek.

- Co z twoją skórą?

- No wiesz... widziałeś. - Chrypię. - Zmienia się. Nabiera barwy...

- ...ognia. - Podnosi spojrzenie znad mego nadgarstka i wymawia słowo, które wypowiedział dawno temu pośród zimnych mgieł, w zaciszu kryjówki nad szumiącym stawem. - Piękna.

- Powiedziałeś to wtedy. W górach.

- I tak też myślałem. Nadal tak uważam. Odpowiadam słabym uśmiechem.

- To chyba znaczy, że nie jesteś na mnie zły?

- Byłbym zły, gdybym tylko mógł. - Marszczy brwi. - Powinienem. - Przysuwa się do mnie bliżej.

Zapadamy się głębiej w stare poduchy kanapy. - Nie do wiary.

- Co takiego? - chwytam palcami kołnierz jego koszuli. Teraz jego twarz jest bardzo blisko.

Przyglądam się zmieniającym się barwom jego oczu.

Przez dłuższą chwilę nic nie mówi. Wpatruje się we mnie w taki sposób, że prawie mnie peszy. Przez moment wydaje się, jakby jego tęczęwki jarzyły się, a źrenice zwężyły w pionowe szparki. A zaraz potem mamrocze:

- Myśliwy zakochany w swej ofierze. To raczej niespotykane.

Czuję ucisk w klatce piersiowej. Wciągam powietrze. Wspaniale, myślę sobie, ale jestem zbyt zmieszana, by to powiedzieć. Nawet po tym, co właśnie usłyszałam.

Kocha mnie?

Przyglądam mu się badawczo i zastanawiam się, czy mówi poważnie. Ale jak inaczej to wytłumaczyć? Cóż innego mogłoby go popchnąć do znalezienia się tu ze mną? Do wyrzeczenia się życiowej drogi własnej rodziny?

Gdy patrzy na mnie w ten zdecydowany, zachłanny sposób, przypominam sobie, jak gładził palcami skaleczenie na mej dłoni i jak dotknął mojej nogi. Czuję skurcz żołądka.

Rozglądam się wokół i widzę, jak niebezpiecznie sami w tej chwili jesteśmy. Bardziej wyizolowani niż na klatce schodowej czy nawet wtedy, gdy pierwszy raz spotkaliśmy się w grocie. Zwilżam usta. Teraz jesteśmy tu sami - bez szkolnych dzwonek, które mogłyby nas w każdej chwili rozdzielić. A co jeszcze bardziej niepokojące, bez tajemnic. Bez barier. Bez niczego, co byłoby nas w stanie powstrzymać.

Wstrzymuję oddech, aż czuję pierwsze muśnięcie jego warg. Jestem pewna, że nigdy dotąd nie znajdowałam się tak blisko innej istoty, nigdy nie byłam tak bezbronna. Wijąc się na kanapie, całujemy się do utraty tchu, aż obydwójce jesteśmy rozpaleni i zarumienieni. Jego dłonie

gładzą moje nagie plecy pod koszulką, badają każde wybrzuszenie kręgosłupa. Czuję mrowienie na łopatkach, skrzydła pulsują tuż pod skórą. Spijam z jego ust chłodne powietrze i wciągam w swoje rozpalone płuca.

Nie mam nawet nic przeciwko temu, gdy Will przestaje mnie całować i przygląda się, jak moja skóra zmienia barwy, albo gdy dotyka mojej twarzy, kiedy ta się przekształca, i obsypuje ją pocałunkami. Policzki, nos, kąciki moich oczu. I szepcze moje imię jak błogosławieństwo pomiędzy pieszczotami. Przesuwa usta na moją szyję, a ja mruczę, wyginam się, zapominam o wszystkim oprócz niego. Teraz, z nim... jestem bliżej nieba, niż kiedykolwiek udało mi się dolecieć.

Na lunch przyrządzam tosty z serem - jeden dla siebie, drugi dla Willa. Nie mamy frytek, ale w spiżarni znajduję słoik z korniszonami.

- W życiu nie jadłem nic lepszego. - Przerywa jedzenie, by się napić, i spogląda na mnie znad brzegu szklanki z sokiem.

- To zasługa tego sera - mówię, połykając ostatni kęs.

- To zasługa szefowej kuchni. Uśmiecham się i odwracam wzrok.

Słuchamy muzyki. Rozmawiamy. Całujemy się, aż moje ciało iskrzy się złotem i czerwienią, aż rozgrzewa się pod wpływem dotyku i żaru w głębi mojej istoty. Will przestaje je obserwować. Zamiast tego zbliża nos do mojej szyi i wacha moją skórę. Jakbym była czymś, czego można posmakować. Gładzi dłońmi moje ręce... sprawiając, że rozpalam się jeszcze bardziej.

- Czy inni ogniozbieje też tak mają? - pyta i mruga do mnie, unosząc moją rękę w swojej szerokiej dłoni. - Czy to po prostu i mój magiczny dotyk?

Potrząsam głową.

- Nie wiem. Jestem jedyną w stadzie. Gwałtownie podnosi na mnie wzrok, przestaje się śmiać.

- Poważnie? Kiwam głową.

- Właśnie dlatego opuściliśmy stado. Mama mówi, że tam już nie jest dla mnie bezpiecznie.

Zaciska rękę na mojej dłoni.

- Chcą cię skrzywdzić?

Drzę na myśl o grożącym mi podcięciu skrzydeł. Otaczam dłonią rękę Willa i zmuszam jego palce do rozluźnienia uścisku.

- Nie. Nie tak, jak myślisz. Oni po prostu zaplanowali moje życie. - Myślę o Cassianie i znowu przechodzi mnie dreszcz. - Jakbym była ich własnością.

Marszczy brwi.

- Co masz na myśli?

- Twoje informacje nie były wcale takie błędne. Ognioziewe uznawano za wymarłe, bezpowrotnie stracone istoty. Aż tu nagle pojawiłam się ja. Pierwsza ognioziewka w stadzie od pokoleń. - Wzruszam ramionami, usiłując zbanalizować własne słowa. - I zapragnęli takich więcej. Więcej takich jak ja. To wszystko. Proste jak drut.

Umyślnie nie mówię mu o podcięciu skrzydeł. Być może nie chcę, żeby uważał nas za barbarzyńskie istoty. Mając na uwadze zwyczaje jego rodziny, nie powinnam się tym w ogóle przejmować. Ale jest inaczej. Wstyd mi, że moi pobratymcy planowali tak okrutnie mnie wykorzystać.

Przed dłuższą chwilę Will wpatruje się we mnie. Jego oczy są poważne, przenikliwe, zamyślane. Aż w końcu pojmuje. Rozumie, w jaki sposób stado zamierza związk-

szyć liczebność ognioziejów. Orzechowe oczy przybierają odcień leśnej zieleni. Z ust wyrywa mu się przekleństwo.

- Twoje stado oczekuje, że ty...

- Nie całe stado - przerywam mu. Nie sędzę, że Nidia tak myśli. Pewnie dlatego pozwoliła nam uciec. Az i inni moi przyjaciele też nie popieraliby takiego wykorzystywania mnie. - Nasz alfa, to znaczy nasz wódz, przeznaczył mnie swojemu synowi Cassianowi... - Wzdrygam się na widok wyrazu twarzy Willa, głaszczę palcami wierzch jego dłoni. - Ale nie ma się czym przejmować. - Nachylam się i całuję go w usta. - Teraz jestem tutaj. Z tobą. A oni mnie nie znajdują. - Poza Cassianem, rzecz jasna. On już mnie odszukał. Z nim jednak rozmówię się później. Wciąż jeszcze zostało mi kilka tygodni do jego powrotu.

Odwraca dłoń, by spleść swoje palce z moimi.

- Przyrzeknij mi, że nie wyjedziesz.

Wstrzymuję oddech, patrzę mu w oczy i wiem, że teraz muszę podjąć decyzję. Nie chodzi o to, czy wracać do stada. To już przesądzone. Nigdy nie mogę tam wrócić. Muszę raz na zawsze rozstrzygnąć, czy zostanę tutaj w Chaparral i zapomnę o poszukiwaniu innej dragońskiej społeczności.

Will mógłby pomóc mi wyjechać. Jestem pewna, że zrobiłby to, gdybym go poprosiła i przekonała o tym, że muszę stąd odejść. Gdybym mu wyjaśniła, że Cassian wkrótce po mnie przybędzie. Zależy mu na mnie w wystarczającym stopniu, by to dla mnie zrobić, nawet jeżeli nie chce, bym wyjeżdżała.

Ściska moją dłoń.

- Przyrzeknij.

- Przyrzekam - szepczę. Mimo że nie powinnam, bo jakaś cząsteczka mnie nigdy nie będzie i nie może czuć się tutaj bezpieczna.

W każdym razie nie muszę już wyjeżdżać po to, by utrzymać przy życiu dragonkę. Jeżeli Will będzie przy mnie, nigdy nie zgasnę. Razem zdołamy utrzymać w tajemnicy moją tożsamość. Wierzę, że razem możemy wszystko. A mama i Tamra będą miały takie życie, jakiego pragną. To korzystny układ dla każdej ze stron.

Gdzieś w oddali słyszę jakiś dźwięk. Odurzone, urywane ka-kaaa-ka-kaaa. To znowu ten ptak. Albo taki sam jak tamten, którego krzyk słyszałam w deszczową noc. Ten sam, którego uznałam za frajera, bo nie znalazł sobie schronienia.

- Co to jest? - pytam.

Przez chwilę Will sprawia wrażenie, jakby nie wiedział, o co mi chodzi, ale potem też go słyszy.

- Przepiór czubaty. Specyficzny, nie? Przylatują do miasta, gdy zaczyna się robić gorąco. Szukają wody, pożywienia. I partnera.

Z jakiegoś powodu znowu drzę.

- Zimno ci? - pociera moje ramiona.

Odkąd tu mieszkam, nigdy nie marznę. Ale to już inna sprawa.

- Nie, ale i tak możesz mnie przytulić.

Tego samego dnia po południu przychodzi po szkole Catherine.

- Tęsknisz za mną? - pyta z typową dla niej kpina w głosie, rzuca plecak na podłogę i sadowi się obok mnie na łóżku, jakby zawsze mnie odwiedzała. - Przez znajomość z tobą czuję się jak buntowniczka.

Każdy mnie pyta, czy naprawdę podpaliłaś Brooklyn.

Unoszę brew.

- Podpaliłam?

Catherine wzrusza poduszkę za głową.

- Prawdziwe wydarzenie zostało trochę wyolbrzymione. - Usta jej drgają. - Niewykluczone, że ja się do tego przyczyniłam.
- Świetnie. Dzięki.
- Nie ma za co.
- Wygląda więc na to, że w szkole mam raczej przerabane. - Po raz pierwszy ma to dla mnie znaczenie. Jeżeli mam tutaj zostać i urządzić sobie życie, przydałoby się mieć paru przyjaciół, żeby nie być wyrzutkiem społecznym. Zwłaszcza że zdaje się to mieć też wpływ na sukcesy Tamry.
- Żartujesz? Jesteś bohaterką. - Wykrzywia usta w uśmiechu. - Myślę, że chyba dostałaś nominację do konkursu na królową jesiennego zjazdu absolwentów.
- Parskam krótkim śmiechem, ale potem jej słowa do mnie docierają. Jesień. Czy wtedy tu będę? Z Willem? To brzmi zbyt pięknie, by mogło się sprawdzić.
- A więc - zaczyna Catherine, biorąc do ręki luźną kartkę wystającą z mojego notesu - Rutledge był dziś nieobecny.
- Tak? - silę się na nonszalancję.
- Tak. - Przeciąga słowo, a jej niebieskozielone oczy badawczo mnie świdrują. - A jego kuzyni byli w szkole, więc z nimi nigdzie nie wyjechał. Zastanawiałam się... - przekrzywia głowę, tymczasem długa, poszarpana grzywka przesuwana się po jej czole - gdzie on mógł się podziewać? Wzruszam ramionami i skubię pooblupywany koniec ołówka.
- Wiem, jaką teorię ma na ten temat Xander. Podnoszę wzrok i spoglądam jej w oczy.
- Xander z tobą rozmawiał?
- Nieźle, co? Czyżby moje dni jako pariaski dobiegały końca?

- I co wymyślił?
- Ze Will był oczywiście z tobą.
- Ze mną? - zwilżam wargi. - Tak powiedział?
- No, właściwie tak. Spodziewał się, że to potwierdzę, gdy przyparł mnie do muru podczas zajęć własnych.

Przełykam ślinę. Czyli sprawa nie przyschła. Xander nadal jest przekonany, że mam coś wspólnego z enkronami i związek Willa ze mną tego nie zmieni. Tylko dlaczego? Czy tak bardzo ze sobą rywalizują i on myśli, że Will za jego plecami ubija interesy z enkronami? Nie potrafię tego rozgryźć.

- Dlaczego ten koleś tak się ciebie czepia? - pyta Catherine.

- Nie wiem.

- No cóż, mnie odrzuca na jego widok. Przypomina mi Chada, byłego chłopaka mojej mamy. Ma to samo natarczywe spojrzenie. Ostatecznie musiałyśmy postarać się dla niego o nakaz sądowy, żeby trzymał się od nas z daleka.

- Nie sądzę, że do tego dojdzie. Catherine kręci głową jak mędrzec.

- Różnie to bywa, Jacindo. Tak naprawdę, nigdy nie wiadomo, jak kto się zachowa.

- To prawda - mówię pod nosem. Ach, gdybym tak mogła widzieć świat i wszystkich takimi, jakimi naprawdę są. Bez kłamstw, pozorów, masek. Tyle że wtedy ja, sama nie mogąc się maskować, długo bym nie pożyła.

Wieczorem moja skóra wciąż jeszcze pulsuje ciepłem i słabo skrzy się po dniu spędzonym z Willem. Jestem sama w domu. Catherine została na kolację, ale pożegnała się na chwilę przed pójściem mamy do pracy. Zaraz potem Tamra wyszła na spotkanie kółka naukowego. Leżąc na łóżku, czytam *Zabić drozda*. Książka mi się

podoba, mimo to od pół godziny nie zdołałam przeczytać ani jednej strony. Nie mogę się skoncentrować.

Drapanie za oknem jest najpierw bardzo delikatne. Mija chwila, zanim je zauważam. Początkowo myślę, że to tylko jakaś gałąź. Poruszana nieistniejącym wiatrem...

Przebiega mnie dreszcz. Cicho wstaję i badawczo spoglądam w okno między łóżkiem moim a Tamry. W słabym świetle lampy dostrzegam za żaluzjami jakiś cień. Natychmiast wyobrażam sobie Xandra, który poznawszy mój sekret, przyszedł upomnieć się o moją skórę. Oczywiście nie dlatego, że Will mu powiedział, tylko dlatego, że Xander sam na to wpadł.

Potem przychodzi mi do głowy stado. Cassian. Severin.

Głęboko wciągam powietrze, rozdynam płuca. Przypominam sobie, że nie jestem ofiarą.

- Kto tam? - pytam.

Odgłos za oknem przybiera na sile, jakby ktoś majstrował przy moskitierze. Słyszę trzask, a potem skrzypnięcie. Moskitiera została zdjęta.

- Kto tam? - powtarzam. Dym wypełnia mi usta, rozpycha policzki, potokiem obłoczków przedziera się przez wargi. Plecy mrowią. Skrzydła, poruszając się, podchodzą pod samą skórę - niczym bestie rwące się do ucieczki.

Okno się otwiera. Żaluzje głośno szcękają, falują pod wpływem ruchu. Moja skóra też faluje. Oblewa mnie żar. Otwieram usta gotowa ziać ogniem.

Żaluzje podnoszą się, a spod nich wychyla się głowa Willa. Jasne oczy spotykają się z moimi.

- Hej - mówi zziębnięty.

- Will! - podbiegam do okna i przytrzymuję żaluzje, żeby mógł wejść do środka. - Co ty wyprawiasz? O mało zawału przez ciebie nie dostałam.

-Widziałem, jak twoja siostra wychodzi, ale uznałem, że nie powinienem pukać do drzwi. Twoja mama jest w domu?

- W pracy.

Na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech. Will podchodzi bliżej i luźno otacza mnie ramionami.

- No to mam cię tylko dla siebie.

Uśmiecham się i przytulam do niego. To cudowne uczucie wiedzieć, że on tęskni za mną tak samo jak ja za nim. Choć dziś już się widzieliśmy, jego obecność sprawia, że teraz czuję się silniejsza, a świat nie wydaje się tak straszliwy i przytłaczający.

Siadamy na podłodze, opierając plecy o moje łóżko. Splótłszy dłonie, rozmawiamy. Opowiada mi więcej o swojej rodzinie. O kuzynach. Wszystkich, również tych innych. To Xander budzi jednak mój największy niepokój.

- Xander szczerze mnie nienawidzi.

- Dlaczego?

Will milknie na chwilę i czuję w jego ciele napięcie.

- Mój tato, wujkowie... faworyzują mnie.

- Dlaczego?

Wzdycha i słycać w tym cierpienie.

- Nie chcę mówić o...

- Powiedz - nalegam, zdecydowana rozgryźć do końca problem z Xandrem.

- Chyba jestem lepszy w pewnych sprawach.

-Jakich sprawach? - pytam, mimo że jakiś wewnętrzny podszept nakazuje mi wyhamować, zakończyć tę linię przesłuchania. Mówi mi, że tak naprawdę nie chcę tego wiedzieć.

-Jestem lepszym myśliwym.

Moja ręka w jego dłoni nieruchomieje. Spoglądam na nią, dziwiąc się, że tak ufnie spoczywa. I robi mi się trochę

niedobrze. Próbuję uwolnić rękę, bo to za dużo. Jak ja się mam z tym uporać?

- Nie chcę cię okłamywać, Jacindo - mówi zdecydowanym tonem. - Jestem najlepszym tropicielem w mojej rodzinie. Zupełnie jakbym był dostrojony do częstotliwości twojego gatunku... Nie potrafię tego wyjaśnić. Po prostu zawsze czuję, gdy się zbliżam...

Kiwam głową. To wiele wyjaśnia. Sposób, w jaki zareagował pierwszego dnia na korytarzu.

Wyglądało to tak, jakby wyczuł moją obecność, jeszcze zanim mnie dostrzegł.

- W porządku - mamrocze i uświadamiam sobie, że faktycznie tak myślę. Jeżeli to częściowo tłumaczy jego pociąg do mnie, nie mogę mu tego nie powiedzieć. Nie w sytuacji, gdy łąknę go jak tlenu dla utrzymania przy życiu dragonki. - To dlatego twoja rodzina tak bardzo cię potrzebuje.

- Tak. - Kiwa głową, miodowe włosy opadają mu na czoło. - Ale zawsze miałem poczucie, że to niewłaściwe. Nigdy nie wierzyłem, że smoki, hm, to znaczy dragony, to niebezpieczne stworzenia, które należy zabijać. Wbrew mojemu ojcu, który chce, bym tak myślał. Od kiedy w górach ujrzałem ciebie, nie doprowadziłem ich już do żadnego dragona. Nie potrafię. I nie zrobię tego.

Uśmiecham się i zastanawiam, czy to może nie jest sens mojego przyjazdu tutaj. Dla Willa. Dla mnie. Dla wszystkich istnień mojego gatunku.

W końcu dochodzimy do pytania, co do którego miałam nadzieję, że nigdy nie padnie. Kolejna rzecz, o której muszę starać się za dużo nie myśleć, bo nie mogę znieść takiej wizji przyszłości.

- A co z długością życia? - Patrząc na mnie, Will opiera tył głowy o brzeg łóżka. - Czy to prawda? - Tak spo-

kojnie. Tak lekko. Tak naturalnie. *Zawsze* tak z nim jest. Jakby mnie wcale nie pytał o mój „termin przydatności”.

- Czy możesz żyć wiecznie?

- Nie jesteśmy nieśmiertelni. - Próbuję zdobyć się na uśmiech. Bezskutecznie. - Nie żyjemy wiecznie. Przez chwilę milczy. Nadal spogląda na mnie ze spokojem, który kontrastuje z jasnym iskrzeniem w jego oczach. On wie. Wie, że nawet jeżeli nie jesteśmy nieśmiertelni, to wcale nie jest to samo co bycie śmiertelnikiem.

-Jak długo żyjecie?

Zwilżam wargi.

- Różnie. To oczywiście kwestia indywidualna... -Jak długo?

- Nidia, najstarsza dragonka w naszym stadzie, ma trzysta osiemdziesiąt siedem lat. - Przez ułamek sekundy sprawia wrażenie poruszonego, ale zaraz ten wyraz, znika z jego twarzy. Powraca chłodna neutralność. - To dużo

- dodaję. - Naprawdę dużo jak na nas. Średnia to jakieś dwieście, trzysta lat.

- Średnia - powtarza jak echo.

Mówię dalej, jakbym w ten sposób mogła powstrzymać go od myślenia o... o przepaści, jaką między nami stworzyły moje słowa. Jakbyśmy i tak nie mieli dość przeszkód do pokonania.

- Uważamy, że Nidię utrzymuje przy życiu tylko silna wola. Ma szczególne znaczenie dla naszego stada. Tak bardzo jej potrzebujemy, że ona trzyma się dla nas. - Cicho się śmieję, chociaż z trudem znoszę jego milczenie.

- Nie zaczniesz więc wyglądać staro, aż... do kiedy? Z zażenowaniem wzruszam ramionami.

- My właściwie nigdy nie wyglądamy... staro. - W każdym razie nie „po ludzku”.

- To na ile wygląda ta Nidia?

Przygryzam wargę i kłamię:

- Na jakieś pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt.

To niezupełnie pokrywa się z prawdą. Wygląda raczej na czterdzieści parę i nigdy nie widziałam dragona czy dragonki, którzy wyglądaliby starzej. My po prostu nie starzejemy się w taki sposób jak ludzie. Po mojej mamie widać upływ czasu tylko dlatego, że od tak dawna tłumi w sobie dragońską naturę.

- Czyli gdy ja będę siwowłosym sześćdziesięciolat-kciem, ty będziesz wyglądała... jak?

- Młódziej - mówię, a ból ściska mi gardło. I nie dlatego, że on będzie wyglądał starzej albo mniej przystojnie. A dlatego, że będąc przy nim, nie będę mogła niczego zrobić. Tylko przyglądać się, jak będzie więdnąć, słabnąć, aż w końcu umrze.

- Czy możemy pogadać o czymś innym? - wrywam rękę z jego dłoni, by ogarnąć gąszcz swoich włosów w nadziei, że Will nie zauważy, jak ukradkiem ocieram oczy.

W tej samej chwili słyszę trzaśnięcie drzwi wejściowych.

W dzikim pośpiechu zrywamy się na nogi. Will wyskakuje przez okno na parę chwil przed wejściem Tamry do pokoju.

Siedząc na łóżku, staram się sprawiać niedbałe wrażenie, próbuję nie zerkać w stronę okna, przez które zniknął. Usiłuję nie myśleć o naszych ostatnich słowach, o wyrazie jego twarzy... i o chłodzie, który przeszywa mi serce na myśl, że on umrze na długo przede mną.

Nigdy przedtem nie dopuszczałam do siebie tej myśli, nigdy nie snułam rozważań nad tą odległą perspektywą. Jednak wiedząc to, co wiem teraz - że on mnie kocha, że nigdy stąd nie wyjadę, że chcę, abyśmy byli razem na zawsze - nie sposób powstrzymać lęku wbijającego we mnie swe szpony.

„Na zawsze” potrwa dla niego znacznie krócej.

ROZDZIAŁ 27

Budzi mnie zapach kawy i bekonu. Wącham uważniej. Nie. To kiełbaska. Na pewno. I sadzone jajka. Rzucam okiem na puste łóżko Tamry po drugiej stronie pokoju, a potem na zegarek. Ósma piętnaście. Aromat unosi się w powietrzu. Przecierając zaspane oczy, podpieram się na łokciach i zastanawiam, czy mama nie zapomniała wyłączyć ekspresu do kawy. W brzuchu mi burczy, ale to nie tłumaczy zapachu jedzenia.

- No to mam odpowiedź na moje pytanie - odzywa się nagle głęboki aksamitny głos.

Wystraszona podskakuję w łóżku i łapię poduszkę, jakbym zamierzała wykorzystać ją jako broń. W drzwiach stoi Will, popijając kawę z metalowego kubka-termosu. Szara koszulka opina jego ramiona i tors w taki sposób, że aż zapiera mi dech.

-Jakie pytanie? - odzywam się, z trudem wypowiadając słowa.

- Czy rano jesteś taka piękna jak przez resztę dnia.

- O - mówię w osłupieniu i odgarniam potargane włosy. Na pewno nie wyglądam dobrze akurat teraz, gdy wygrzebuję się z łóżka. Co prawda, przeważnie nie troszczę

się zbyt o swoją prezencję, ale kto wygląda świetnie zaraz po przebudzeniu? - Znowu tu jesteś - bełkoczę.

- Najwyraźniej tak.

- Nie możesz beze mnie wytrzymać?

- Najwyraźniej nie.

No i dobrze. A właściwie to fantastycznie.

- Zrobiłem ci śniadanie - dodaje.

- Umiesz gotować? - Jestem pod wrażeniem. Szeroko się uśmiecha.

- Mieszkam w domu pozbawionym kobiecej ręki, pamiętasz? Moja mama umarła, gdy byłem dzieckiem. Prawie jej nie pamiętam. Nie miałem wyboru, musiałem nauczyć się gotować.

- Aha - mamrocę i siadam bardziej wyprostowana. - Czeka, a jak ty się tu dostałeś?

- Otworzyłem drzwi wejściowe. - Pociąga kolejny łyk kawy i patrzy na mnie z z troskaniem. - Twoja mama powinna zamykać drzwi na klucz, gdy wychodzi.

Unoszę brew.

- I to by cię powstrzymało? Uśmiecha się lekko.

- Dobrze mnie znasz.

Chyba tak. Świetnie rozumiem, co to znaczy być kimś, kto nie spełnia oczekiwań rodziny. Rozumiem, jak się czuje ktoś nieustannie sprawiający zawód. Pod tym względem jesteśmy tacy sami.

Z twarzy Willa znika uśmiech.

- Są jeszcze inne zagrożenia...

- A zaryglowane drzwi powstrzymałyby je?

Powiedziawszy to, natychmiast żałuję, że mu o tym przypomniałam. Przykro mi, że przywołałam cień, który zasnuwa mu twarz i sprawia, że jego oczy przybierają barwę ciemnej zieleni.

- Hej, daj spokój - mówię i wstaję z łóżka, postanowiwszy sprawić, że zapomni o istnieniu złowrogich sił gotowych mnie skrzywdzić... i nas rozdzielić. O tym, że żyje tuż obok jednej z nich.

Prawdopodobnie najgorszej z nich. Ostatecznie stado nie chce przecież mojej śmierci. Nawet enkrony nie stanowią bezpośredniego zagrożenia. Są dla mnie anonimowymi, mglistymi demonami groźnymi tylko wtedy, gdyby schwytali mnie myśliwi i wydali w ich ręce.

- Zostańmy tu - mówię, obejmując go w pasie. Przytula mnie tak mocno, że o mało mnie nie udusi.

- Nie chcę, żeby kiedykolwiek coś ci się stało.

W jego głosie, w tym uścisku jest coś - jakaś surowość, intensywność - co przyprawia mnie o dreszcze i skurcz żołądka.

Zastanawiam się, czy on wie coś więcej. Czy czegoś przede mną nie przemilczał.

Co takiego mogłoby to jeszcze być?

Ignoruję to przeczucie i wtulam w niego twarz. Miękka, chłodna bawełna na jego piersi jest pieśczętą dla mojej skóry.

- W takim razie lepiej rozluźnij trochę uścisk, bo inaczej mnie zmiażdżysz - żartuję.

- Chodź - mówi, biorąc mnie za rękę i prowadząc do kuchni. - Umieram z głodu. Zjedzmy coś.

Znow ma normalny głos. Przyjemnie głęboki. Wręcz aksamitny. Cokolwiek w nim przedtem słyszałam, zniknęło. Zastanawiam się nawet, czy mi się przypadkiem nie wydawało.

- Willa ostatnio nie ma w szkole.

Nonszalancki komentarz siostry odciąga mój wzrok od książki. Tamra pracuje na podłodze przy swoim łóżku. Patrzy na mnie uważnie z długopisem w ręku.

- Tak? - mówię, dumna ze spokoju w moim głosie i z tego, że nie połknęłam haczyka z przynętą. -
Może znowu wyjechał z miasta.

- Nie. Jego kuzyni są w szkole. - Najwyraźniej wie o ich wędkarskich wyprawach, chociaż nie zdaje
sobie sprawy, na co naprawdę polują.

Wzruszam ramionami i wracam do lektury. Po chwili znowu słyszę drapanie jej długopisu o papier i z
ulgą oddycham... w nadziei, że przeszłam tę próbę. Na szczęście pani Hennessey nie wspomniała o
wizytach Willa i nie sądzę, że zrobi to w przyszłości. Zawarliśmy swoje przymierze.

- Odzywał się do ciebie?

Chyba jednak nie skończyła. Zaczynają się schody. Okłamywanie siostry nigdy nie było łatwe, ale
wyjawienie jej prawdy może prowadzić do odsłonięcia innych prawd, na których przyjęcie nie jest
gotowa... a ja nie jestem gotowa o nich mówić.

- Nie.

- Hm. Wygląda na to, że jednak nie taki znowu z niego książę. - Spogląda mi prosto w oczy.

Powstrzymuję się od zapewnienia, że owszem, Will jest wszystkim. Księciem, a nawet kimś więcej. -
Jakoś sobie z tym radzisz? - pyta.

- Tak. Nigdy nie wierzyłam w książąt z bajki.

- Akurat. - Wzrusza ramionami, a ja nie mogę opędzić się od myśli o Cassianie. Kiedyś Tamra
wierzyła, że on jest księciem. I nie jestem pewna, czy nadal tak nie jest. - Tyle że natykanie się na żaby
to dla ciebie coś nowego.

Chrząkam i w nadziei, że uda mi się odwrócić jej myśli, pytam:

- Co u Bena?

- Chyba okej.

Czyli jednak nie przypadł Tamrze do gustu. No cóż, ostatecznie nie jest Cassianem. Niezależnie od tego, jak bardzo moja siostra chce się odciąć od przeszłości, nadal o nim myśli. Jaka szkoda. Chłopak odciągnąłby ją od zamartwiania się o mnie i o to, czy nie zrujnuję jej życia tutaj. To znaczy, czy nie zrujnuję go w większym stopniu, niż to już zrobiłam. Chłopak dałby jej też to poczucie normalności, którego Tamra tak bardzo pragnie. Coś, na co w stadzie nigdy nie miała szansy. To zabawne, jak normalność potrafi się różnić w zależności od otoczenia i sytuacji.

Może powinnam powiedzieć jej o Willu? Wy tłumaczyć, że teraz chcę tu zostać i zrobić wszystko, by się nam tu udało. Tak bardzo lubię Willa... to jest nawet coś więcej. Dzięki niemu mogę tutaj zostać. To jednak prowadziłoby do poważniejszej rozmowy. Poważniejszej, niżbym w tej chwili chciała.

Jutro wieczorem Tamra i tak się domyśli, gdy on przyjdzie, by zabrać mnie na randkę.

- Teraz ktoś inny wpadł mi w oko - mówi, zanim udaje mi się cokolwiek powiedzieć.

Podnoszę wzrok znad książki.

- Tak? Znalazłaś swojego księcia?

- Hm. Może. - Kiwa głową, ale nie rozwija tematu, a ja nie naciskam. Tamra nie powie więcej, niż chce. Pod tym względem jesteśmy chyba podobne. Od dawna żyjemy razem, ale osobno, nie otwierając przed sobą najgłębszych zakamarków serc, bo to, co w nich jest, nie spodobałoby się tej drugiej. Problem jednak polega na tym, że znamy się na tyle dobrze, że trudno jest cokolwiek przed sobą ukrywać.

Przyglądam się jej przez chwilę i już otwieram usta, gotowa zmienić tę tradycję, ale nie padają żadne słowa. Niektóre nawyki trudno wykorzenić. A ja też jeszcze nie

dojrzałam do tego, by opowiedzieć jej o Willu. Teraz to jest mój mały sekretik, który tulę tuż przy sercu - jak pięknego motyla, którego udało mi się schwytać i którego ostrożnie trzymam w złożonych dłoniach.

Tamra wkrótce się dowie. Na razie jednak zachowam mego ślicznego motylka dla siebie, starając się go nie zmiażdżyć.

Nazajutrz Will zmienia dotychczasowy plan dnia i nie pojawia się u mnie.

Nie jestem zaskoczona. Powiedział mi, że dziś pójdzie do szkoły... nalegałam, aż mi to przyrzekł. Nie chcę, żeby przeze mnie wpakował się w kłopoty albo wyleciał, a ja już nie chcę ściągać na siebie uwagi jego rodziny.

Ponieważ wcześniej też mi to obiecywał, a mimo to przychodził, nie obywa się bez rozczarowania, gdy dzień upływa bez niego. Nawet z perspektywą naszej wieczornej randki to jednak wiele długich i samotnych godzin.

Odwiadam panią Hennessey. Trochę oglądamy razem telewizję, potem ona ucina sobie drzemkę, a ja wracam do domu i rozkładam się na łóżku, by zabrać się do nadganiań szkolnych zaległości. Gładko przerabiam chemię i zaczynam algebrę: funkcję kwadratową. Uczyłam się tego dwa lata temu, więc spokojnie podchodzę do tych zagadnień i nie mam problemów z przyswojeniem materiału.

Bułka z masłem.

Skrzypnięcie deski w podłodze.

Gęsia skórka i radość. Will. Odkładam ołówek, siadam i pośpiesznie poprawiam włosy.

- Hej, mamó, to ty? - jestem pewna, że to nie ona, ale i tak pytam. Na wszelki wypadek.

Nic. Cisza.

- Pani Hennessey?

Wstaję, podchodzę do drzwi i zaglądam do salonu. Drzwi wejściowe są otwarte. Do środka wpadają promienie słoneczne, w których tańczą małe drobiny kurzu. W tle basen migocze błękitem tak, że aż razi mnie w oczy.

- Will? - zdobywam się na ryzykowne pytanie, a w moim głosie pobrzmiewa nadzieja.

Idę dalej, rzucając okiem na pustą kuchnię. Na wypadek gdyby w niej był i szykował dla nas coś na ząb. Ale nic się tam nie dzieje. Wyglądam na zewnątrz. Dalej nic.

Ogarnia mnie rozczarowanie. To nie Will.

Powoli zamykam drzwi, upewniając się, że zamek porządnie się zatrzaskuje. Moja skóra nadal mrowi, pulsuje energią. Tym samym rodzajem energii, którą czuję w obecności Willa. Tylko że on by mi odpowiedział.

Wpatrując się w drzwi, pocieram ramiona pokryte gęsią skórą mimo ciepłoty własnego ciała. Na wszelki wypadek rygluję drzwi. Cisza wydaje się gęsta, przytłaczająca. Zbyt intensywna.

Moja skóra tętni gorącem, jest nieprzyjemnie rozgrzana. Może pomogłaby chwila w basenie.

Chwyciwszy brzeg koszulki, odwracam się, by ruszyć po strój kąpielowy. I krzyczę.

ROZDZIAŁ 28

Czym prędzej dławię swój krzyk, by nie obudzić pani Hennessey i nie ściągnąć jej tutaj.

- Cześć, Jacindo.

Na dźwięk tego głosu przerażenie na wskroś przesywa mi serce. Wiedziałam, że ta chwila w końcu nadejdzie, ale się na nią jeszcze nie przygotowałam. Obiecał przecież pięć tygodni. Z mozołem przetykam ślinę, bo wiem, że namówienie go do odejścia po raz drugi będzie trudniejsze.

W płucach wzbiera mi żar. Tchawica rozszerza się, wypełnia gorącym powietrzem w pełnej gotowości do obrony. Wewnętrzny ogień nasila się, gdy myślę o czekającym mnie podcięciu skrzydeł... na które on chce mnie zabrać.

- Wynocha - chrypię.

Jego oczy roziskrzają się, źrenice zwężają w pionowe szpary.

- Matka ci powiedziała - stwierdza beznamiętnie.

- Tak - odparowuję. - Powiedziała.

-Ona nie wie wszystkiego. Nie zna mnie... moich uczuć. Nigdy nie zmuszałbym cię do zrobienia czegokolwiek wbrew twojej woli i nigdy nikomu nie pozwoliłbym cię skrzywdzić.

Jego słowa rozwścieczają mnie. Jestem przekonana, że kłamie. Moja ręka strzela w górę, by zbić tę szczerą minę z jego twarzy. Tę samą szczerą minę, którą zaserwował mi, gdy po raz pierwszy okłamał mnie prosto w oczy.

Chwyta moją dłoń i mocno ściska nadgarstek.

-Jacinda...

- Nie wierzę ci. Dałeś słowo. Pięć tygodni...

- Pięć tygodni to za długo. Nie mogłem zostawić cię na tyle czasu bez sprawdzania.

-Jesteś kłamcą - mówię stanowczo.

Coś w wyrazie jego twarzy pęka. Przebijają emocje. Wie, że nie chodzi mi tylko o tych pięć tygodni.

Kręcąc głową, odzywa się niemal skruszonym tonem:

- Może nie powiedziałem ci wszystkiego, ale to nie zmienia tego, co deklarowałem. Nigdy cię nie skrzywdzę. Chcę próbować cię ochronić.

- Próbować - powtarzam. Zaciska zęby.

- Mogę. Zdołam ich powstrzymać.

Po kilku chwilach wykręcam rękę, by ją uwolnić. Wypuszcza ją z dłoni. Piorunuję go wzrokiem, rozcierając nadgarstek.

- Teraz tutaj mam swoje życie. - Palce mi się wydłużają i skręcają w szpony gotowe do walki. - Zmusz mnie do wyjazdu stąd, a nigdy ci tego nie wybaczę.

Głęboko wciąga powietrze, wysoko unosząc klatkę piersiową.

- Nie mogę do tego dopuścić.

- Odejdiesz? Zostawisz mnie w spokoju? - Budzi się we mnie iskierka nadziei.

Potrząsa głową.

- Tego nie powiedziałem.

- Oczywiście, że nie - rzucam szyderczo. - W takim razie co to znaczy? - Ogarnia mnie panika na myśl o tym, że mógłby tu pozostać i dowiedzieć się o Willu i jego rodzinie. - Nie ma powodu, byś tu przychodził.

Ciemne oczy iskrzą.

- Ty tu jesteś. Mogę dać ci więcej czasu. Nigdy nie zdołasz dostosować się do tego świata. Zobacysz, zmienisz zdanie.

-Nie!

-Nie opuszczę cię! - Jego głos wstrząsa powietrzem jak piorun. - Czy wiesz, jak nieznośnie było bez ciebie? Nie jesteś taka jak inne. - Dziko wymachuje ręką. Wpatruję się oczyma pełnymi zdumienia i bólu. - Nie jesteś jak jakiś wytresowany piesek, który grzecznie wypełnia komendy. Masz w sobie ogień. - Śmieje się łamiącym się głosem. - Nie mówię tego dosłownie, chociaż to też prawda. Masz w sobie coś, Jacindo. Tylko w tobie widzę autentyczność, tylko ty mnie naprawdę fascynujesz. - Patrzy na mnie stanowczo, a ja nie oddycham. Wygląda tak, jakby miał zaraz wyciągnąć ręce, dotknąć mnie, a potem otoczyć ramionami.

Pośpiesznie odskakuję do tyłu. Nie do wiary, ale wygląda na zranionego. Opuściwszy wielkie dłonie, znów się odzywa spokojnym, zrównoważonym głosem:

- Dam ci więcej swobody. Czas, abyś sobie uświadomiła, że to - wskazuje gestem salon - nie jest miejsce dla ciebie. Ty potrzebujesz mgieł, gór i przestworzy. Latania. Jak możesz tu zostać, nie mając żadnej z tych rzeczy? Jak możesz mieć nadzieję na przeżycie? Jeżeli jeszcze do tego nie doszłaś, to wkrótce to nastąpi.

Oczami wyobraźni widzę Willa. Myślę o tym, jak stał się dla mnie mgłą, niebem, wszystkim. Ja tu nie tylko da-

ję radę przeżyć. Ja kocham. A Cassian nigdy nie może się o tym dowiedzieć.

- To, co mam tutaj, bije na głowę to, co czeka na mnie w stadzie. Podcięcie skrzydeł, które niby przypadkiem pominąłeś milczeniem...

- Nie zrobią tego, Jacindo. - Podchodzi bliżej. Pochyliła głowę, by spojrzeć mi prosto w oczy. - Masz moje słowo. Jeżeli wrócisz ze mną, nie stanie ci się żadna krzywda. Chyba że po moim trupie.

Jego słowa przenikają mnie jak lodowaty wiatr.

- Ale twój ojciec...

- Mój ojciec nie będzie wiecznie alfą. Pewnego dnia ja obejmę władzę. Wszyscy to wiedzą. Stado będzie mi posłuszne. Przyrzekam, że będziesz bezpieczna.

Nie mogę mu zaufać. Nie znowu. Nawet po tym wszystkim, co powiedział. Jeżeli to zrobię i się pomylę, zbyt słono za to zapłacę. Chodzi o moje życie.

- Zaczekasz na moją zgodę na powrót z tobą? - Chcę mieć co do tego pewność. - Nie będziesz mnie w żaden sposób zmuszał? Nie zdradzisz się przed nikim, choćby nie wiem co? - Może zostało w nim coś więcej z tego chłopca, którego znałam w dzieciństwie, niż myślałam?

- Zaczekam - obiecuje. - Dam ci tyle czasu, ile potrzebujesz.

Zaczeka, ale będzie się czaił. Gdzieś w pobliżu. Będzie obserwował. A ja nie zawsze będę o tym wiedziała.

To zabawne, jak wszystko się zmienia. Na początku myślałam, że nie mogę tutaj zostać. Teraz nie chcę odejść. Głównie ze względu na Willa, ale również dlatego, że postanowiłam dać mamie i siostrze to, czego pragną. Jakaś szansę. Nie może być tak, że zawsze wszystko kręci się wokół mnie. Jeżeli będę dość silna, dość mądra, to moja dra-gonka przetrwa. Will może mi oczywiście w tym pomóc.

Parę pocałunków. Uśmiech. Muśnięcie jego dłoni i dragon-ka ożywa. A ja nie muszę jej już przed nim ukrywać.

Wytrzymam do końca liceum. Dla mamy, dla Tamry. Po maturze mogę wyjechać z Willem, jeżeli on uwolni się od swojej rodziny. Jeszcze tylko dwa lata. Dopracujemy szczegóły co i jak. Po raz pierwszy od przyjazdu tutaj czuję przypływ nadziei. Nie pozwolę Cassianowi tego zniszczyć.

- Będziesz czekał wiecznie - oznajmiam. - Nie zmienię zdania.

Usta Cassiana przybierają zagadkowy wyraz. Jakby wiedział o czymś, czego ja nie wiem. Ma dziewiętnaście lat, ale w tej chwili można by uznać, że jest ode mnie paręnaście lat starszy.

- Wciąż coś się zmienia. Ludzie się zmieniają. Zaryzykuję.

Kręcę głową.

- Zobaczysz. Nie zmienię zdania.

I wtedy sobie pójdzie. Bo nie może przecież czekać wiecznie. Choćby nie wiem co mówił. Ma stado, któremu musi przewodniczyć. Nie będzie się tutaj kręcił przez dwa lata. Niezależnie od tego, jak bardzo go fascynuję.

- Zobaczymy.

Zerkam na zegar migający na telewizorze.

- Lepiej idź, zanim wróci mama.

- Racja. - Rusza ku drzwiom. - Pa, Jacindo.

Nie odpowiadam na pożegnanie. Nie zamierzam udawać, że osiągnęliśmy poziom zachowywania konwenansów. Nie jesteśmy przyjaciółmi. Daleko nam na do tego. I nigdy nimi nie będziemy.

ROZDZIAŁ 29

O piątej mama wsuwa głowę do naszego pokoju.

- Jacindo, co chcesz dzisiaj na kolację?

Wymieniła się z kimś na zmiany, żeby raz zostać z nami w piątkowy wieczór. Mam lekkie poczucie winy, bo choć zadała sobie tyle trudu, będzie sama jak palec.

Tamra oczywiście też ma plany. A ja jeszcze żadnej z nich nie powiedziałam o mojej randce z Willem. Teraz, spoglądając na mnie, mama myśli, że spędzi miły wieczór przynajmniej z jedną z córek.

Moja siostra przymierza ubrania. Nie ujawniła nic poza informacją, że wychodzi z przyjaciółmi. Nie dopytuję się. Nawet gdyby powiedziała, kim są, i tak pewnie okazałoby się, że ich nie znam. A biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, jestem pewna, że to nie cheerleaderki.

Zauważam ładną ażurową bluzkę, którą jako nienadającą się odrzuciła na łóżko, i uznaję, że będzie idealna na randkę z Willem.

Nabrawszy powietrza, oznajmiam:

- Hm. Ja właściwie też wychodzę. Tamra błyskawicznie się odwraca.

- Tak? - pyta mama, zakłada ręce i wchodzi do pokoju. - Z kim? - W jej głosie pobrzmiwa nutka nadziei, że

jej trudna córka może jakoś sobie radzi i się dostosowuje. Zawiera przyjaźnie.

- Z Willem. - Unikam nazywania tego randką. Nie ma sensu jej niepokoić.

- Will? - wtrąca się Tamra. - Czy to nie jest trochę... głupie?

Mama w skupieniu marszczy brwi.

-To z jego powodu tamte dziewczyny dokuczały ci w toalecie, prawda? - Tamra najwyraźniej rozmawiała z mamą. - To ten chłopak, który wywołuje u ciebie...

Przemiany. Jakby to było coś ohydneho, czego nazwy nie jest już w stanie wypowiedzieć.

- Teraz już umiem panować nad sobą w jego obecności - kłamię. Lepsze to, niż przyznać się, że nie muszę się kontrolować.

W oczach mamy pojawia się stanowczość.

- Nie chcę, żebyś się z nim spotykała - rzuca kategorycznie.

- Tak. I ja też - wtóruje jej Tamra, jakby miała nade mną jakąś władzę.

- Ty tu nie masz nic do gadania - odparowuję jej. Moja siostra jest wściekła. Na pewno dlatego, że ją okłamałam, gdy pytała mnie o Willa. Chyba powinnam była powiedzieć jej prawdę, zamiast zachowywać tę małą, słodką tajemnicę dla siebie.

- On ściąga na nas tylko same kłopoty... Dźgam palcem powietrze.

- On jest jedynym powodem, dla którego w ogóle chcę tutaj pozostać! Jedynym powodem, dla którego jeszcze stąd nie uciekłam! Powinniście być wdzięczne, że go poznałam. - To nie do końca prawda.

Mama i Tamra też mają w tym swój udział... ale jestem zbyt wkurzona, by to przyznać.

Mama wzdryga się, mruga oczami. Blednie.

-Jacinda - cicho wypowiada moje imię na wydechu. Jakbym powiedziała coś strasznego, jakbym zrobiła coś jeszcze gorszego.

- Co? Myślisz, że nie myślałam o ucieczce? - krzyczę. - Byłam w okropnym stanie, dopóki nie spotkałam Willa! Gdyby nie on, nie wytrzymałabym tu chyba ani dnia więcej!

Tamra prychnęła z niesmakiem i odwraca się do szafy.

Mama milczy. Sprawia wrażenie bladej i przerażonej. Widzę, że myśli, rozważa. Wpatruję się w nią, próbuję zaszczepić w niej moją nadzieję. Sprawić, iż zrozumie, że dopóki mam Willa, wszystko jest i będzie dobrze.

Z żalem kręci głową.

- Przebywanie z nim jest dla ciebie zbyt niebezpieczne. Gdyby tylko wiedziała, jak niebezpieczne.

- Świetnie - mówię napiętym głosem, unosząc w górę ręce. - Dlaczego nie zamkniesz mnie w akwarium? Albo nie załatwisz nauczania indywidualnego w domu. Nie uważasz, że każdy chłopak, który mi się podoba... który mnie pociąga, może ożywić moją dragonkę? - Nie sądzę, żeby to była prawda, ale i tak to mówię. Chodzi wyłącznie o Willa. To w nim coś jest. Coś, co dociera do głębi mojego jestestwa. Żaden inny chłopak nie mógłby mieć takiego wpływu na mnie jak on.

Mama kręci głową. -Jacindo...

- Mam umawiać się z jakimś facetem, który przyprawia mnie o mdłości?

- Oczywiście, że nie - mówi szybko - ale może nie powinnaś spotykać się z nikim, dopóki twoja dragonka nie...

- ...umrze? - kończę zgryźliwie i wymachuję rękoma. - Wiem, że to będzie wielkie wydarzenie, na które

czekasz. Dzień, w którym będziesz mogła nazwać mnie człowiekiem.

I to boli. Jak rana, która się nie goi, tylko otwarta pulsuje i krwawi. Świadomość, że nie spełniam jej oczekiwań. Żeby pozyskać jej akceptację, muszę być kimś, kim być nie chcę...

Cała ta niesprawiedliwość sprawia, że łzy cisną mi się do oczu. Głęboko wciągam powietrze.

- Czy przyszło ci w ogóle do głowy, że moja dragonka może nie umrzeć? Że to nie jest część mnie, którą da się po prostu uśmiercić? To jestem ja. Zawsze taka będę. Cała. Ja. Taka. Jestem. -

Rozczapierzam dłonie na sercu. - Wiem, że myślisz, że niebawem tutaj uschnę, ale ja jestem ogniozijką, pamiętasz? To odróżnia mnie od wszystkiego, co dotychczas wiedzieliśmy na temat naszego gatunku.

Kręci głową. Wygląda na zmęczoną, starą i trochę przestraszoną.

- Nie spotkasz się z nim.

Zaciskam ręce, aż czuję ból w kościach.

- Nie możesz mi tego robić...

- Czego? Być twoją matką? - odparowuje, a jej bursztynowe oczy znowu ozywają. - To nigdy się nie zmieni, Jacindo. Przyzwyczaj się do tego.

Oczywiście wiem, że ma rację. Kocha mnie i zawsze będzie robić to, co uzna za właściwe, by mnie ochronić. Nawet jeżeli mnie tym unieszczęśliwia. Po prostu robi to, co musi.

Zakładam ręce i gniewnie zaciskam usta. Ja w takim razie też tak postąpię.

Na dwie minuty przed planowym przyjazdem Willa wyślizguję się przez okno i cichutko je zamykam.

Mama jest w kuchni. Przygotowuje picie i jedzenie na film, który zgodziłam się z nią obejrzeć. W powietrzu unosi się maślany aromat popcornu, a szaleńczy terkot prażącej się kukurydzy maskuje wszystkie odgłosy moich działań.

Tamra wyszła pół godziny temu. Wciąż na mnie obrażona, nawet nie powiedziała dobranoc.

Gdy okrążam basen, dostrzegam panią Hennessey wyglądającą przez okno. Za jej plecami pulsuje niebieskawe światło telewizora. Macham do niej w nadziei, że zbytnio nie przypominam aresztanta uciekającego z więzienia. Od pośpiechu dostaję zadyszki.

Will jest już na ulicy, właśnie wysiada z samochodu. Na mój widok jego twarz się rozluźnia, na ustach pojawia się swobodny uśmiech.

- Hej. Właśnie wchodziłem...

- Dobrze. Jedźmy. - Otwieram drzwi od strony pasażera i wskakuję do hummera, zanim Willowi udaje się do nich dojść.

Powoli wsiada do środka, posyłając mi zaciekawione spojrzenie. Moje dłonie niecierpliwie bębnią o uda.

- Na pewno wszystko w porządku? Chciałem poznać twoją mamę...

- W tej chwili nie jest to akurat najlepszy pomysł. - Rzucam okiem w stronę domu. Na horyzoncie szczęśliwie ani śladu mamy. - Spadajmy stąd.

Powoli, niepewnie kiwa głową.

- Dobrze.

Widzę, że jest niezadowolony: chce być porządnym chłopakiem i tak dalej. I chciałabym mu na to pozwolić, lecz wiem, że nie dogadamy się z moją matką. Jeszcze nie.

- Tęskniłam za tobą - mówię w nadziei, że to wystarczy, by poprawić mu nastrój. - To był długi dzień.

Śmieje się.

-Ja też za tobą tęskniłem. Mogłem urwać się ze szkoły. Wiesz, że ty jesteś...

- Wiem, wiem. - Potrząsam głową. - Nie chcę, żebyś dla mnie opuszczał lekcje.

-Już nie będzie takiej potrzeby. Przecież w poniedziałek wracasz.

Uruchamia stacyjkę i rusza z miejsca. Gdy odjeżdżamy, oddycham z ulgą. Nasza randka nareszcie się zaczęła.

Wpatruję się w zapadający zmierzch. W przytłaczającej ciszy hipnotyzują mnie migotliwe światła jadących z przeciwka samochodów. Moje myśli przenoszą się z mamy na kogoś innego. Kogoś, kto najprawdopodobniej jest gdzieś blisko. Mam nadzieję, że nie za blisko.

Wmawiam sobie, że dotrzyma słowa i będzie trzymał się na uboczu. Nawet jeżeli zobaczy mnie z innym chłopakiem. Ale nie mam stuprocentowej pewności.

Zerkam przez ramię, na samochód jadący tuż za nami. Nie sposób dojrzeć kierowcy. Stwierdzić, czy to Cas-sian. Po chwili auto zjeżdża na sąsiedni pas i nas wyprzedza. Wzdycham.

- Dlaczego mam wrażenie, że cię uprowadzam? Czy mam się mieć na baczności przed syrenami w lusterku wstecznym?

- Wsiadłam do tego samochodu z własnej woli. - Zmuszam się do uśmiechu i żartuję. - Nie sądzę, żeby cię aresztowali.

- Super. Ty nie sądzisz. To pokrzepiające. - Rzuca mi krzywy uśmiech. - Ale może się mylisz.

Ostatecznie mam przecież osiemnaście lat, więc...

- Osiemnaście? Przecież jesteś w drugiej klasie. Po jego twarzy przemyka wyraz zakłopotania.

- Kilka lat temu długo nie chodziłem do szkoły. Połowę siódmej klasy i właściwie całą ósmą. Byłem chory.

- Chory? - powtarzam jak echo. Czuję się zdruzgotana na wspomnienie o jego śmiertelności. Ona zawsze będzie pomiędzy nami jak dym unoszący się w powietrzu. Xander mówił coś o chorobie Willa, ale nigdy nie sądziłam, że to coś tak poważnego.

-Jak? To znaczy, co...

Wzrusza ramionami, jakby to nie było nic takiego, ale nie patrzy na mnie tylko na drogę.

- Białaczka. Ale już jest lepiej. Jestem całkowicie wyleczony.

- A było bardzo... źle?

-Mniej więcej rok. Prognozy nie były.... - nagle urywa, jakby powiedział za dużo. I znowu mam wrażenie, że czegoś mi nie mówi, coś ukrywa. Ma bardzo napięte mięśnie twarzy. Zaciska zęby. - Nie przejmuj się tym. Czyż nie jestem teraz wzorcowym samcem? - Puszcza do mnie oko. - Czy nie wyglądam zdrowo?

Owszem. Wszystko w nim aż emanuje wigorem młodego mężczyzny, ale pozory mogą mylić. Sama najlepiej

o tym wiem.

- Lekarze potrafią dokonywać dzisiaj niewiarygodnych rzeczy. - Will znów uważnie wpatruje się w jezdnię, a ja jestem przekonana, że jest coś, o czym mi nie mówi.

i może nigdy nie powie. Dlaczego miałby coś przede mną ukrywać? Po tym wszystkim, co teraz o sobie wiemy? Jaki miałoby to sens?

Kiwam głową. W środku czuję chłód. Nie lubię podejrzewać, że coś przede mną zataja. Podobnie jak nie znoszę myśli o tym, że mogłabym go stracić albo że mogliśmy się nigdy nie spotkać, bo zginęłabym w tej grocie, gdyby jego krewni mnie znaleźli.

Poza tym jest jeszcze kwestia jego śmierci. Ona nastąpi. Oczywiście nie teraz, ale kiedyś. Na długo przed moją. W skroniach czuję tępy, pulsujący ból. Staram się go wyciszyć uciskiem palców. To nasza pierwsza prawdziwa randka. Nie chcę jej zepsuć, więc zmieniam temat.

- Dokąd jedziemy?

- Lubisz grecką kuchnię? To kawałek drogi, ale warto. Mają tam świetny humus. Nasza pierwsza randka powinna być wyjątkowa.

Uśmiecha się szeroko i rzuca mi krótkie spojrzenie.

- Nareszcie, co?

Odważam się uśmiech, ale moje wargi wydają się wątle, drżą. Udaje mi się jakoś opanować.

Przynajmniej na chwilę mogę poudawać, że wszystko jest w porządku, nigdzie w pobliżu nie czai się Cassian... a dalej, za tą pustynią nie wyczekuje mnie żadne stado.

Reflektory bombardują nasze lusterko wsteczne. Odwracam się w fotelu i mrużę oczy w oślepiającym snopie światła. Samochód trzyma się blisko. Tuż za nami. Tym razem to nie jest ktoś, komu się śpieszy. Nie zamierza nas wyprzedzić.

Serce mi wali jak młotem, w uszach słyszę szybki puls. Mimowolnie nachodzą mnie myśli o Cassianie. I jeszcze gorsze, o stadzie. O Severinie. Nie wyobrażam sobie, by Cassian podejmował tak ewidentne działania. Już doprowadził do konfrontacji ze mną. Może mnie śledzić, obserwować gdzieś z ukrycia, ale nie ujawniałby się w taki sposób. Obiecał.

Wyłamuję palce u rąk i zerkam na Willa. Sięga po moją dłoń, splata palce z moimi i zaciska. Ten dotyk daje mi poczucie siły i bezpieczeństwa.

To dziwne, że czuję się tak bezpieczna u boku łowcy dragonów, ale to bezsporna prawda. Już nawet nie próbuję jej zaprzeczać. Podobnie jak nie neguję iskierki nadziei, które napełniają mnie wiarą, że mogę tu pozostać. Na zawsze. Pośród tej pustyni. Że z nim ułożę sobie tutaj życie.

Samochód za nami trąbi. Skóra mnie mrowi, ostro się iskrzy.

- Czy oni nam nie siedzą na ogonie? - pytam, łudząc się, że przesadzam i po prostu wpadam w paranoję z powodu niedawnej wizyty Cassiana.

Will z determinacją zaciska usta.

- Owszem.

- Kto to? Czego oni chcą?

- To Xander.

Moje serce pod rozżarzonymi płucami ścina chłód. -Och.

W duchu przyznaję, że wołałabym Cassiana. Will spogląda na mnie:

- Nie musimy się zatrzymywać. Zgubimy ich. Nie chcę, by się do ciebie zbliżał. To zbyt ryzykowne.

- Nie. - Potrząsam głową. - Zatrzymajmy się. Dlaczego nie mielibyśmy tego zrobić? Więcej podejrzeń wzbudzisz, trzymając mnie z dala od niego...

- To nasza randka...

- Załatwmy to, a potem wieczór będzie należał już tylko do nas. - Macham ręką. - Niech ma, czego chce...

Will wybucha ostrym śmiechem, który brzmi nieswojo.

- Co cię tak bawi?

- Ty w ogóle nic nie kapujesz?

Wlepiam w niego wzrok, obserwuję jego silny profil.

- Chyba nie. Może mi wyjaśnisz?

Prowadzi, gniewnie patrząc przed siebie. W końcu odburkuje:

- On chce ciebie. Wzdrygam się.
 - Mnie? - Jego słowa wstrząsają mną, jakby ktoś mnie trzepnął. - Dlaczego?
 - No cóż, on myśli, że masz w sobie coś szczególnego. Nadal podejrzewa, że jesteś enkronką. A poza tym jeszcze ta ciągła rywalizacja między nami... - Długie palce zaciskają się na kierownicy. - Wiesz, między nami są trzy miesiące różnicy.
- Nie wiedziałam. Will ciągnie dalej:
- Jest o klasę do tyłu, bo poluje. Kiedy tylko może. Wysuwa oskarżenia pod moim adresem, a tymczasem to właśnie on wypuszcza się na samotne wyprawy. Wyjeżdża nawet bez Angusa. Słyszając to, unoszę brew.
 - Wiem, to szaleństwo. Nosi go, odkąd... - urywa.
 - Odkąd?
 - Odkąd ja stałem się dobrym tropicielem i przez to zyskałem ważną pozycję w rodzinie. Ważniejszą niż Xander.
- Sztywnieję na wspomnienie tego, że Will jest tropicielem, najlepszym wśród swoich krewniaków. Ile dragonów zostało zabitych lub schwytanych dzięki niemu? A mimo to czuję empatię, bo wiem, co to znaczy być wykorzystywanym, cenionym tylko za to, co się potrafi... a nie za to, kim się jest i chce być.
- Od urodzenia byliśmy szczeni przeciwko sobie. Zadbali o to nasi ojcowie nauczeni przez własnego ojca. - Kiwa głową. - To chyba naturalne. By nas wzmocnić. Kiedyś polowania na dragony były bardziej niebezpieczne, bo nie mieliśmy takiego sprzętu. Wielu łowców wyruszających na wyprawy nigdy z nich nie wracało.

Słyszałam o tym. W każdym razie wiem, że dragony nigdy nie były tak bezbronne jak teraz. Myśliwi stali się mądrzejszymi przeciwnikami i są jeszcze groźniejsi dla naszych kurczących się stad. Obecnie, w dobie wyrzutni sieci, wozów terenowych i narzędzi komunikacyjnych, łatwiej jest nas osaczyć i złapać. I to wszystko w czasie gdy dragony tracą smocze cechy, które od pokoleń stanowiły ich obronę. Ja jestem pod tym względem wyjątkiem.

Teraz przewagę mają Will i jego ludzie...

Wyobrażenie sobie nas jako przeciwników wywołuje dreszcze. Ja kontra on. Jakaś część mnie przeszywa lodowaty strach, że już zawsze tak będzie.

- Xander mnie nienawidzi. - Will wzrusza ramionami, jakby to było coś naturalnego.

Nie potrafię tego pojąć. Mimo wszystkiego, co zrobiła mama, pomimo napięć między Tamrą a mną moja rodzina nigdy umyślnie nie zrobiłaby mi krzywdy. Łączy nas zbyt głęboka więź.

Will spogląda na mnie, zdejmując nogę z gazu.

-Jesteś pewna, że chcesz, bym się zatrzymał? Przy pierwszej lepszej okazji on cię wykradnie, choćby tylko po to, by mnie wkurzyć.

Zakładam ręce. Unoszę brodę.

- On nie może mnie ukraść. Nie jestem zabawką, o którą chłopcy mogą się bić. Zatrzymaj się.

Mimo to na dno mojego żołądka wpełza niepokój i przyczają się tam jak zwinięty w kłębek wąż.

Teraz to przyprawiające o gęsią skórkę uczucie, które dopada mnie w pobliżu Xandra, ma swoje uzasadnienie. Stało się czymś więcej niż tylko mglistym przecuciem. Gdy zwalniamy, strach ściska mi serce. Jeżeli Xander kiedykolwiek dowie się prawdy, zrobi wszystko, by mnie zniszczyć. Nie tylko ze względu na to, kim jestem, ale też

po to, żeby zranić Willa. Ta pewność osadza się we mnie powoli i głęboko.

Zjeżdżamy na parking. W powietrzu unosi się zapach tłustego bekonu. Zatrzymujemy się na końcu placu, z dala od kilku samochodów stojących tuż przy restauracji.

Obok nas zajeżdża wielka ciężarówka z napędem na cztery koła. Szyby otwierają się. Spoglądamy przez okno Willa. Z przodu siedzą Xander i Angus, sztucznie się uśmiechają. Robią to w tak spokojny i przyjazny sposób, że przyprawia mnie to o dreszcz.

- Cześć, zajrzeliśmy po drodze do ciebie! - woła Xander. - Twój tato powiedział, że wyszedłeś na cały wieczór.

- Tak. - Will ściska moją dłoń. - Mam plany.

- Widzę - kiwa głową Xander ze wzrokiem utkwionym we mnie. - Wybieramy się na Big Rock.

Chcesz z nami pojechać?

- Mamy inne zamiary.

Mięsiste wargi Angusa wykrzywają się. -Ach, kapuję, już cię wytresowała. Nie cierpię go.

- Stul pysk! - rzuca Will, sięgając już do skrzyni biegów, by odjechać, ale w tej samej chwili dostrzegam jakiś ruch za plecami jego kuzynów. Z tylnego siedzenia wysuwa się czyjaś ręka i otacza zagłówek nad fotelem Xandra.

- Zaraz, poczekaj - szepczę.

Z tylnego siedzenia wychyla się głowa Tamry.

- Tamra? - krzyczę, prawie leżąc na kolanach Willa. Spotyka się z Xandrem? To on jest tym chłopakiem,

o którym mówiła... tym nowym facetem, który się jej podoba? Nic dziwnego, że nie chciała, bym zobaczyła się dziś z Willem. Musiała wiedzieć, że możemy na siebie wpaść. Żołądek podjeżdża mi do gardła na myśl, że być może zdołałabym powstrzymać ten rozwój wydarzeń,

gdybym nie była zawieszona i chodziła do szkoły. Gdybym domagała się informacji na temat jej życia. Gdybym poświęcała mojej siostrze więcej uwagi. Gdybym po prostu powiedziała jej prawdę, zrozumiałaby czające się niebezpieczeństwo. Zaciskam palce na dłoni Willa.

Tamra posyła mi szeroki uśmiech, w jej oczach migocze szelmowski błysk. Świetnie się bawi tą sytuacją. Wie, że nie spodoba mi się, że spędza czas z tymi chłopakami.

- Hej, Jacinda. Widzę, że w końcu jednak udało ci się dzisiaj wyjść.

Spoglądam na Willa w nadziei, że odczyta wiadomość wypisaną w moich oczach: Nie mogę zostawić z nimi Tamry.

-Jesteś pewna? - szepcze, nachylając się ku mnie. Kiwam głową i wyduszam z siebie „tak”. Wzdycha ze zrozumieniem.

- Dobrze - mówi zdecydowanym tonem, odwróciwszy się w stronę kuzynów. - Zajrzymy tam na chwilę.

Xander uśmiecha się triumfalnie, a ja wiem, że to nie przypadek. On dokładnie wie, co robi. Zrobił z mojej siostry przynętę. Z jakiegoś powodu chce ściągnąć mnie i Willa na Big Rock. Pułapka została zastawiona.

ROZDZIAŁ 30

Wraz z nami u podnóża Big Rock zajeżdża kilkanaście innych samochodów.

W przydymionym półmroku nocy wysiadają z nich pasażerowie - anonimowe cienie. Słysząc trzaskanie drzwi. Gdy ruszamy dalej pieszo, rozglądamy się za Tamrą w nadziei, że uda się nam ściągnąć ją na bok i wszystko powiedzieć. Namówić do zabrania się stąd ze mną i Willem.

Przenośne lampki kołyszą się w mroku, oświetlając drogę podczas naszego wejścia na wzniesienie. Dostrzegam jej płomiennie rude włosy. Lśnią nawet w ciemnościach. Unika mnie, sprytnie lawirując w grupie i nie patrząc w moją stronę.

- Hej, wszystko w porządku? - szepcze mi do ucha Will.

- Co to za miejsce? - pytam pod nosem.

- Ludzie lubią tu imprezować.

Potrząsam głową, wpatruję się w gęstą ciemność, gdzie nie dociera światło.

- Co ona tutaj robi? - mamroczę.

- Chce się trochę zabawić. Tak jak reszta.

No tak, jak każdy normalny dzieciak pakuje się w kłopoty. Tyle tylko, że nie mogła sobie wybrać gorszego towarzystwa.

Znowu zastanawiam się, co ona robiła przez ten tydzień. Czy w te wieczory, w które wychodziła, uczyła się z Xandrem? Niedobrze mi się robi na myśl o niej w jego domu, niewątpliwie w pobliżu jakiegoś pokoju z horrorami w stylu tego, co widziałam u Rutledge'ów.

Rozglądam się i w grupie osób wspinających się na szczyt rozpoznaję kilku starszych kuzynów Willa. Innych nie znam. Mają kanciaste rysy twarzy. Ich oczy w ciemnościach są rozpustne, płytkie i mroczne. Mroczne i nieruchome jak otaczająca nas czerń. Gdy docieramy na szczyt, Will skinieniem głowy pozdrawia kilkunastu z nich. Robi to w cichy, stonowany sposób, trzymając mnie tuż przy sobie, niemal zasłaniając mnie swoim ciałem.

Skóra mnie mrowi, mięśnie napinają się, na plecach czuję gorące ciarki, skrzydła szykujące się do lotu. Do ucieczki.

Will uważnie się rozgląda. Czujnie obserwuje otoczenie -jak rasowy drapieżnik.

Wyrywam dłoń z jego ręki, by spojrzeć mu w twarz. Gdy staram się pochwycić jego spojrzenie, serce bije mi wolniej, nieomal przystaje w przyciasnej klatce piersiowej.

- Czy to jest... - Rozglądam się i zauważam kilku mężczyzn w wieku dwudziestu, trzydziestu paru lat. Xander z jedną ręką zawieszoną na ramieniu Tamry jowialnie się z nimi wita, poklepując ich po plecach. Ściszam głos i nachylam się bliżej Willa. - Czy to coś w rodzaju zlotu myśliwych?

Jego spojrzenie jest nad wyraz jasne, przepraszające. Kiwa głową tylko raz, ale to mi wystarczy. Tyle wilków. A ja zapuściłam się wprost do ich jaskini.

Obchodzimy wierzchołek Big Rock, łagodnego wzniesienia, które przyczaiło się przy jednym z krańców Chaparral. Spoglądam na miasto w pustynnej kotlinie. Przepiękny widok.

Mija godzina, która wydaje się wiecznością. Miałam być teraz na randce i siedzieć gdzieś w restauracji w tym rozjarzonym tysiącami świateł mieście. Zamiast tego znalazłam się tutaj w tłumie, w którym przeważają myśliwi. Lamy ustawiono w mały, poszarpany krąg, pośrodku którego stoi pulsujący muzyką odtwarzacz stereo.

Cieszę się, że jest ciemno. Nikt przynajmniej nie widzi bursztynowego połysku i migotania mojej skóry, ostrzegawczych sygnałów do ucieczki wysyłanych przez moje ciało. I gdybym tylko mogła... Ale nie, nie bez Tamry.

- Możemy pójść, kiedy zechcesz - mówi do mnie Will. Trzyma mnie za rękę, muska kciukiem moją zmieniającą się skórę i wiem, że wyczuwa jej nieustanne pulsowanie.

Gdy Tamra podchodzi do beczki z piwem, podążam za jej bujną rudą czupryną. Gdzieś w tle zastanawiam się, jak udało im się wtaszczyć tę beczkę aż tutaj.

- Daj mi chwilę.

Oddalam się od Willa i zdecydowanym krokiem podchodzę do niej. Łapię ją za rękę, odciągam od hałaśliwej grupy, poza krąg świateł.

Xander rusza za nami, ale Will go zatrzymuje. Obydwaj czekają w pobliżu, zacięcie dyskutując, tymczasem ja zaciągam moją siostrę dalej w mrok.

Tamra ściska w dłoni pusty kubek. Przenoszę gniewny wzrok z naczynia na nią.

- Przecież ty nawet nie lubisz smaku piwa.

W ciemności dostrzegam jej uśmiech. Oczy jej błyszczą.

- Po prostu się integruję. Jedna z nas musi. Ignoruję drwinę i kręcę głową.

- Nie jesteś sobą.

- Uważaj, Jacindo - ostrzega mnie kpiarskim tonem. - Trochę się jarzysz. Ale co tam, najwyżej powiesz swojemu chłopakowi, że lubisz balsam z brokatem.

- Co ty tutaj robisz? - pytam ostro.

- A co ty tutaj robisz?

-Jestem tu ze względu na ciebie. Xander Rutledge? Rany, Tamra! Powinnaś znać jego reputację.

Dziewczyny, które się z nim zadają...

- O, proszę, starsza siostrunia przemówiła. Czy tych jedenaście minut naprawdę coś znaczy? - Nachyla się bliżej. - Wtajemniczę cię w taki mój jeden mały sekret. Ja już mam mamusię. Mało tego - dodaje ze śmiechem - tę samą mamusię co ty.

Czy ona jest pijana?

- Wiem, że jesteś na mnie wściekła, ale nie powinnaś być tutaj z tymi...

- A ty powinnaś? - Tamra macha ręką w stronę grupy, w kierunku Willa, który stoi na jej obrzeżu i czeka na mnie. - Miałaś zostać w domu. Mama powiedziała, że nie możesz się z nim spotkać, więc skąd się tu wzięłaś?

Patrzę wymownie na pusty plastikowy kubek w jej dłoni.

- Powiedzmy oględnie, że mama nie cieszyłaby się z obecności tutaj żadnej z nas.

Moja siostra wzrusza ramionami, szura nogą. Drobne kamyki podskakują i zboczem osuwają się w ciemność.

-Taaak, masz rację. I co z tym fantem zrobisz? Zadzwonisz do niej?

- Tamra, proszę, chodź ze mną...

- I co? Popsuję ci randkę? - Parska krótkim śmiechem.

- Dzięki, ale nie skorzystam.

-Will nie będzie miał nic przeciwko temu.

- Nie. - Przechyla na bok głowę i nieprzyjemnie chrząka. - Ale ja mam. Już wystarczająco długo żyłam w twoim cieniu. Podobam się Xandrowi, a on mnie.

- W tym miejscu głos Tamry lekko się załamuje i nie

wierzę w to, co mówi. Xander jej się nie podoba. Po prostu za wszelką cenę chce się odnaleźć w tutejszym otoczeniu, a jeżeli przy okazji uda się jej mnie wkurzyć, to tym bardziej ją kręci. - Idź sobie i daj mi spokój. - Odwraca się i odchodzi, by przyłączyć się do rozbawionego towarzystwa.

- Jacinda? - Will zbliża się do mnie w mroku. Roztrzęsiona chowam się w jego ramionach. Gładzi mnie ręką po policzku, odgarnia mi włosy za ucho, przytula.

- Wszystko w porządku? Chcesz iść?

Iść? Owszem. Ale zostawić tu Tamrę? Czuję lodowaty dreszcz.

Wciągam powietrze i mówię z twarzą na jego piersi.

- Nie mogę znieść myśli, że ona zostanie tu z...

- Xandrem - kończy ponuro.

Kiwam głową. Po tym wszystkim, co Will opowiedział mi o swoim kuzynie, jestem przekonana, że Xander ją wykorzysta. Zrani. Nie zdoła zbliżyć się do mnie ani do Willa, ale może podejść Tamrę. Jeżeli myśli, że mam jakiś sekret, że mogę być enkronką, zakłada pewnie, że moja siostra też coś ukrywa, bo jest na mnie zła, bo ma serdecznie dość życia, do którego ją zmuszano.

- Nie dała się namówić do zabrania się z nami? - pyta. - Jest na mnie wściekła - szepczę, lekko łkam.

- Ach, Jacindo. - Odciąga moją głowę od swego torsu i opiera czoło o moje. Całuje mnie wysuszonymi, chłodnymi ustami. - Nie możesz się tym zadrećzać. Jesteś, kim jesteś. Nic na to nie poradzisz.

Kiwam głową, ale nie jestem tego taka pewna.

Właściwie to nawet nie próbowałam być taka, jaką chciałyby mnie widzieć mama i Tamra. Na każdym kroku zwalczam tę wizję - walczę z nimi. Trzymam się kurczowo dragonki, chociaż bezpieczniej dla nas wszystkich byłoby,

gdybym pozwoliła jej zniknąć. Zostałam tutaj nawet po wytropieniu przez Cassiana. Może jednak jestem egoistką.

Również teraz, niezależnie od tego, co usiłuję sobie wmówić, jedynym powodem, dla którego postanowiłam zostać, dla którego, co gorsza, znalazłam się tutaj, jest Will. On stanowi dla mnie narkotyk. Jestem od niego uzależniona i nie potrafię go rzucić. Kolejny dowód mojego egoizmu. Całuje mnie po raz drugi, a ja pozwałam, by ten pocałunek odwrócił moją uwagę. Daję się mu ponieść - szczęśliwa, że mogę zapomnieć o tym, gdzie jestem.

To szaleństwo, ale Will jest moim azylem. Kimś, kto wie o mnie wszystko. I bezwarunkowo mnie lubi. Kocha. Rozumie. Nie dąży do tego, by mnie zmienić. Jest jedyną istotą, o której to mogę powiedzieć. Odrywam się, by na niego spojrzeć, gładząc dłońmi jego twarde ramiona. Nasze oddechy się ze sobą mieszają, stapiają w jedno. Są coraz szybsze i głębsze. Oczy mu błyszczą jak małe złociste pochodnie w ciemnościach. Zaciskam palce na jego koszuli. Nasze wargi znowu się muskają. Raz. Drugi. Delektując się wzajemnie swoim smakiem.

Nagle jego usta się zmieniają. Stają się zimne. Lodowate. Głuchy lęk podpowiada mi, że to ja. To nie on się oziębia, tylko ja się rozpalam. Skóra mi skwierczy. Jest zbyt rozpalona, syczy jak kropla wody spadająca na rozgrzaną kuchenkę.

Pulsująca muzyka cichnie. Głosy i śmiechy znikają, gdy tymczasem we mnie narasta żar, kotłując się niczym buchający płomień.

Wzdycham. Czuję parę uchodzącą mi z ust. Ulatuje, zanim udaje mi się ją powstrzymać.

Will wzdryga się i gwałtownie odrywa od moich warg.

-Jacinda...

Jeszcze zanim udaje mi się odsunąć i wciągnąć chłodne powietrze, by nie oparzyć mojego chłopaka - rozlega się głos, który robi to za mnie. Żar w mych płucach gaśnie. Wypuściwszy z objęć Willa, powoli się odwracam.

- A więc to dlatego chcesz tutaj zostać.

Moje oczy natychmiast namierzają Cassiana, wielką, ciemną postać wynurzającą się z mroku. Gdy idzie, jego włosy falują i muskają szerokie barki.

- Czyli tyle jest warta twoja obietnica - rzucam. Will spina się, przyciąga mnie bliżej siebie, by mnie osłonić.

Cassian. Każda cząstka mojego ciała pulsuje, wibruje wściekłością.

Nawet na mnie nie patrzy. Jakby zupełnie nie zauważał mojej obecności. Piorunuje wzrokiem Willa, usta ma wykrzywione grymasem:

- Nie dotykaj jej.

- Cassian, przestań. - Przerrywam mu z zażenowaniem, na moment mocno zaciskając powieki i żałując, że wypowiedziałam jego imię.

Teraz Will wie.

Błyskawicznie spogląda na mnie. Nerw przy jego oku drga.

- Cassian? - pyta ostrym tonem.

Nie odpowiadam. Nie oddycham. Nie ryzykuję wypuszczeniem kolejnej porcji żaru narastającego w krtani. Żaru, którym chciałabym storpedować Cassiana. Odwracam się i nie mrugając, patrzę na niego. Oczyma ostrzegam go, by się odpowiednio zachowywał.

- To jest Cassian? - powtarza nieustępliwie Will. I trudno mu się dziwić.

- Will, pozwól mi to załatwić.

- Wiedziałaś, że tu jest? - nalega Will, zaciska usta. - I nie powiedziałaś mi?

Krzywię się i przyznaję:

- Obiecał, że będzie się trzymał na uboczu.

- Ale nie obiecywałem - wtrąca się Cassian - że będę siedział cicho i się przyglądał, jak zadajesz się z jakimś...

- Zamknij się! - odparowuję. Z nosa uchodzi mi dym. Wzrok Cassiana podąża za smużkami pary.

Uśmiecha

się z zadowoleniem. Śmieje się cicho, gardłowo. Złowrogo. Jego słowa unoszą się w powietrzu jak ukradkowy szept:

- Widzisz, Jacindo. Nie możesz przestać być tym, kim jesteś. - Spogląda na Willa, jego uśmiech znika.

Cassian przypomina sobie, że ktoś nas słucha... i zakłada, że Will nic nie wie o mojej prawdziwej naturze. - A teraz chodź ze mną, zanim zrobisz coś, czego obydwójce pożałujemy.

A ja naprawdę to widzę - patrzę na swe ręce, a moje ciało puszcza do mnie oko, migocze ognistym złotem.

- Jesteś taka jak ja - dodaje. - To nie tu i nie przy nim jest twoje miejsce.

Słyszę, jak z krtani Willa wydobywa się cichy pomruk. Jego ręka zaciska się na mojej dłoni.

Ciało Cassiana iskrzy się, przebłyskuje antracytową czernią. Wyciąga do mnie rękę.

- Kończ tę grę. Chodź ze mną.

Otwieram usta, by coś powiedzieć, wyrazić sprzeciw, ale wydobywa się z nich tylko krótki, suchy, ochryply dźwięk. Przełykam ślinę, zwilżam wargi, lecz już jest za późno.

Will w okamgnieniu śmiga obok mnie i w nurkującym rzucie przewraca Cassiana. Ciężko uderzają o ziemię, wzbijając przy tym kłęby czerwonego kurzu, który pochłania ich obu. Trzęsąc się, wlepiam w nich wytrzeszczone do bólu oczy. Co ja narobiłam?

ROZDZIAŁ 31

Natychmiast znikają w płataninie szamoczących się ciał. Słysząc stęknienia, przekleństwa, uderzenia, soczyste ciosy.

- Przestańcie! Przestańcie! - wołam, skacząc wokół nich. Spleceni ze sobą przewalają się po ziemi.

Potrącane

kamienie i żwir z łoskotem staczają się po zboczu i nikną w żarłocznej, pazernej gardzieli mroku.

-Jacinda! - obok mnie pojawia się Tamra. A wraz z nią Xander. Na szczęście reszta grupy jest zatopiona we własnym podchmielonym światku i balandze dostatecznie daleko, by nie zauważyć bijatyki. - Czy to Cassian?

Z niepokojem kiwam głową.

- Kto to jest Cassian? - pyta Xander.

Will wije się, przygniata Cassiana. Zamachuje się pięścią, która ląduje na twarzy przeciwnika.

Wzdrygam się, słysząc gruchot ścierających się kości. Na zębach czuję miedzianą cierpkość krwi i uświadamiam sobie, że przygryzam wargę.

Cassian parska lodowatym śmiechem, dotknąwszy krwi, która cieknie mu z nosa. Coś w tym wszystkim nie daje mi spokoju. Will nie powinien być silniejszy od Cas-

siana. On jest najsilniejszym dragonem, jakiego znam. To stalowy onyks.

Moja siostra otacza mnie ramionami, wszystko, co nas dzieliło, odchodzi w zapomnienie.

- Tamra - szepczę, przytulając się do niej. -Już dobrze. Jestem z tobą.

Oblewa mnie straszny, gorący żal. Powinnam jej była powiedzieć. O wszystkim.

Cassian z pełnym impetem - z dragońską siłą - stopami zrzuca z siebie Willa, który z wykrzywioną twarzą ląduje na boku. Onyks rzuca się na niego. Szamoczą się, splatają ze sobą. Razem staczają się po pochyłej skale.

Krzyczę, gdy turlają się dalej, nabierając rozpędu i cały czas okładając się pięściami.

W pewnym momencie Will chyba zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje. Przestaje bić rywala, kurczowo próbuje złapać się podłóża. Z ziemi wzbijają się tumany czerwonego pyłu. Dłonie Willa pozostają puste, chwytają powietrze. Wszystko dzieje się bardzo szybko. Widzę jego twarz. Oszalałe oczy. Krzyk zamierający mu na ustach. Łoskot spadających kamieni.

Wyrywam się siostrze i biegnę ku niemu, zatrzymując się w miejscu, gdzie pochyłość przechodzi w stromiznę. Z sercem w gardle przyglądam się, jak znikają z pola widzenia, gwałtownie spadając po skalistym zboczu.

- Will!

Ryzykuję i podbiegam jeszcze bliżej. Wyhamowuję tuż nad krawędzią stromizny. Tam, gdzie znikł. Gdzie kończy się skała i zaczyna nieprzebrana ciemność. Przez ułamek sekundy nie słyszę nic oprócz rytmicznej muzyki za moimi plecami.

Z głębokiej pustynnej studni dociera do mnie kilka tępych uderzeń o skałę. Na dźwięk każdego z nich kulę się, usycham, zamieram. Will wylądował u podnóża góry.

Wiem, że to nie Cassian. On by nie upadł.

Zaciskam dłonie w ciasne, pobielale pięści. Gwałtownie się obracam. Czuję, jak pęka mi serce. Ból. Potworny ból. Tak silny, że nie mogę nawet oddychać. Po policzkach płyną łzy.

Tamra potrząsa przecząco głową, oczy jej płoną niemal tak dziko jak ostatnie spojrzenie Willa.

Łapię oddech. Z ust uchodzi mi gorący, gęsty dym.

W okamgnieniu ogarniam wszystko: szok na twarzy Tamry, bladość Xandra, jego oczy tak ciemne jak otaczająca nas noc. Jak czarny atrament. Przepastne i niezgłębione. Obserwuje mnie. Widzi obłoczki wydobywające się spomiędzy moich warg.

Już się tym nie przejmuję.

Może to i głupie, ale nie mogę inaczej. Tamra to zauważa. RzUCA się w moim kierunku, wyciąga rękę, jakby tylko ona mogła mnie dosięgnąć, dotknąć, powstrzymać.

-Jacinda, nie!

Wszystko dzieje się błyskawicznie. Nie wiem nawet, kiedy moje kończyny wydłużają się i układają do lotu. Mostek nosa i nozdrza rozrastają się. Skóra skrzy się i mrowi. Krótkie rękawy mojej bluzki zsuwają mi się z rąk i cicho opadają na ziemię. Skrzydła na plecach rozpościerają się i trzepoczą.

Unosząc twarz o wyostrzonych rysach, zapieram się nogami. Wyciągam ręce, a moja skóra migocze blaskiem ognia, gdy wzbijam się w powietrze.

Zaraz potem niżam lot i poprzez mrok szybuję ku Willowi. W powietrzu słycać tylko uderzenia moich skrzydeł.

Instynkt mi pomaga i wzrok dostosowuje się do ciemności.

Gdy lecę, owiewa mnie gorące tchnienie nocy. Płynę na skrzydłach wiatru, nie zastanawiając się nad jego roz-

rzedzoną konsystencją. Powietrze jest tak ciepłe i suche, że aż iskrzy w zetknięciu z moim ciałem. Usta ścina mi metaliczno-kwaśny smak lęku. Nie o siebie. Nie przejmuję się nawet tym, co zrobiłam, przemieniając się na oczach Xandra. Po głowie kołacze mi się tylko jedno słowo. Jedno imię. Will. O konsekwencjach przemiany w obecności Xandra pomyślę później. Nie teraz. Jeszcze nie teraz. Później. Gdy odnajdę Willa. Żywego. Wtedy razem temu zaradzimy.

Łąduję u podnóża góry. Nic nie widzę. Ani śladu Willa. Wzbijam się w powietrze. Daleko w górze, ze szczytu Big Rock niosą się dźwięki muzyki. Powoli lustruję zarośla szaławii i kaktusów, moje skrzydła tną ciepłe, suche powietrze. Will musi być gdzieś niedaleko.

Nie odleciał - w przeciwieństwie do Cassiana. Zerkam przez ramię. On też gdzieś tu jest. Czai się. Szybkuje gdzieś w pobliżu. Obserwuje. Nie uszczęśliwi go fakt, że się zdemaskowałam w obecności ludzi. Zwłaszcza by ratować człowieka. I to jeszcze chłopaka, którego przyłapał na całowaniu mnie.

- Jacinda! - rozlega się głos Willa.

Serce mi ożywa. Podążam za tym wołaniem i odnajduję Willa wiszącego na wystającej skale. Naprężone ramiona drżą od wysiłku.

Połowę twarzy ma zalaną krwią. Prawą powiekę nad za-puchniętym okiem rozcina głęboka, sącząca się rana. Trudno powiedzieć, czy to od ciosu Cassiana, czy od upadku.

Zbliżam się, dotykam go i wtedy zauważam, że coś jest nie tak.

Nietknięte oko Willa rozszerza się na widok mojego wcielenia.

-Jacinda? - syczy. Jest wściekły. Na mnie? - Co ty do cholery robisz?

Mój wzrok koncentruje się na krwi, która zalewa mu twarz. Na krwi kapiącej z łuku brwiowego. Na krwi o barwie purpury.

Szloch pali mi krtań.

- Ty masz dragońską krew! - krzyczę, a zaraz potem uświadamiam sobie, że on nie rozumie mojego pomruku. Przeciągam dłoń po twarzy Willa, a następnie odsuwam od niej czerwonozłociste palce poplamione jego krwią i pokazuję mu je.

Kurczowo trzymając się skalnego uskoku, spogląda na moją dłoń i przeklina.

- Przepraszam, Jacindo! Chciałem ci powiedzieć. Jest tak poruszony, że jego ręce ześlizgują się ze skały.

Zaczyna spadać.

Nurkuję i udaje mi się go złapać w locie.

Jest ciężki, masywny. Dostaję zadyszki, starając się uchronić nas od gruchnięcia o ziemię. Rozpalony wysiłkiem oddech świszczy mi między zębami.

Moje przeciążone skrzydła trzepoczą jak opętane, powoli znosząc nas w dół. Pieczenie wzmaga się, dotkliwie przesywa mięśnie na plecach, ale przez cały czas jestem w stanie myśleć tylko o jednym: on ma dragońską krew.

Po wylądowaniu przeprowadzam oględziny jego ciała. Sprawdzam, czy nie ma poważnych obrażeń, chociaż sama mam właściwie ochotę mu dołożyć.

Pożera mnie wzrokiem. Błado się uśmiecha i dotyka dłonią mojego policzka:

-Jesteś dokładnie taka, jaką cię zapamiętałem.

Warczę na niego, nie posiadam się z wściekłości. Jakim cudem on może mieć dragońską krew?

Myślałam, że już nie mamy przed sobą tajemnic. Właśnie skoczyłam za nim z urwiska.

Zdemaskowałam się przed Xandrem.

Teraz wszystko nabiera strasznego znaczenia. Nasza więź, jego tropicielski talent, jego pociąg do mnie. To wrażenie, że się znamy. Nagle wszystko wydaje się nierzeczywiste. Nie jest już tym, co... mieliśmy.

Kręci głowę, krzywi się przy tym, jakby ten ruch sprawiał mu ból.

- Proszę, nie gniewaj się. Mogę ci to wytłumaczyć. To zdarzyło się, gdy byłem chory. Miałem raka... umierałem. Mój ojciec podał mi dragońską krew. Nie pozostawił mi wyboru. Stracił już moją mamę i nie chciał stracić także mnie...

Pochylam głowę, staram się zapanować nad gniewem, nad sprzecznymi uczuciami. Jego słowa stapiają się w jeden szmer przypominający odległy warkot silnika.

Nagły powiew wiatru zsuwa mi włosy z ramion. Wiatr w bezwietrzną noc?

Błyskawicznie się odwracam, żar kotłuje mi się w piersi. Wypuszczam z ust rozpalone tchnienie, gdy nieopodal ląduje kształtna czarna postać o olbrzymich opalizujących skrzydłach, które skrzą się purpurą. Cassian.

Zaraz potem zauważam, że nie jest sam. Trzyma Tamrę tak blisko siebie, że początkowo jej nie dostrzegam. Widzę dopiero, gdy wypuszczają z uścisku. Moja siostra pośpiesznie oddala się od niego chwiejnym krokiem. Jej bursztynowe oczy ciskają ogniste błyskawice, aleja cieszę się, że po nią wrócił... czuję ulgę, że nie zostawił jej na szczycie Big Rock z Xandrem i innymi myśliwymi.

Cassian jednak nie patrzy na Tamrę. Jego purpurowo-czarne oczy złowrogo przeszywają mrok... wymierzone najpierw we mnie, a potem w Willa.

Narastające przerażenie wpija się we mnie ostrymi kłami, ale ignoruję je i ustawiam się tak, by własnym ciałem osłonić, ukryć Willa.

ROZDZIAŁ 32

Wiele razy widziałam Cassiana po całkowitej przemianie. Jednak tutaj, teraz, poza stadem to przerażający widok. W tym wcieleniu jest wyższy, potężniejszy niż w ludzkim kamuflażu. W lśniącym ciele prężą się mięśnie i ścięgna. Ogromne skrzydła sprawiają wrażenie twardych, szorstkich. W niczym nie przypominają moich membran delikatnych jak pajęczyna.

Przykucam i głęboko nabieram powietrza, kumuluję w sobie żar, przygotowując się do obrony siebie i Willa.

Wyczuwam, że Will za moimi plecami chwiejnie staje na nogi, i żałuję, że nie mogę go powstrzymać. Dosięga go purpurowoczarne spojrzenie Cassiana - wygłodniałego drapieżnika zbierającego się do skoku. Ciemne skrzydła migoczą. Spomiędzy zębów wydobywa się syczenie.

- Odsuń się - warczę.

Przechyla głowę na bok, jakby słyszał coś w oddali, i odzywa się grubym głosem:

- Idą tu.

Nadstawiam uszu i wtedy też ich słyszę. Głosy Xandra i innych. Schodzą z góry, szukają nas.

Zaczerpnąwszy tchu, Cassian apodyktycznie stwierdza:

- Czas na nas, Jacindo.

Tamra się nam przygląda. Jest dziwnie wyciszona.

Zrozumiawszy, że odchodzę - prawdopodobnie na zawsze - Will chwytą mnie za rękę, przyciąga do siebie i z zaciętym wyrazem twarzy mówi:

- Nie, Jacindo. Nie rób tego. Nawet o tym nie myśl. Nie odchodź z nim.

Wraz z każdym słowem jego uścisk na mojej ręce się nasila.

Jego obraz rozmywa mi się przed oczami. Usiłuję połknąć łzy i zdławić wzbierający we mnie szloch.

- Nie pozwolę ci...

Na usta cisną mi się słowa, których nie wypowiadam. Nie mogę zostać, Will. Nie teraz. Przepraszam, tak bardzo mi przykro. Gdybym mogła je wymówić - tak, żeby on je zrozumiał.

Mimo to reaguje tak, jakby je słyszał.

- Nie, Jacindo! - Przenosi wzrok na stojącego tuż za mną Cassiana. Grymas wykrzywia mu usta. - Ty nie pójdziesz z nim. Nie wrócisz do stada. - Mówi to tak, jakbym szła na śmierć. A ja zdaję sobie sprawę, że w pewnym sensie tak jest.

- Nie! - rozlega się z boku krzyk Tamry, jakby wybudzała się ze snu i zaczynała rozumieć tę sytuację. Potrząsam głową i gładzę płomiennie złocistymi palcami twarz Willa, próbując go uspokoić.

- Nie dopuszczę do tego, by cię miał. Cassian złowrogo się do nas przybliży.

- W tej sprawie nie masz nic do powiedzenia, człowieku - dudni po dragońsku, chociaż Will nie jest w stanie go zrozumieć. Potem Cassian przenosi wzrok na mnie. Patrząc w te przenikliwe ciemne oczy i mimo otrzymanej od niego obietnicy niewywierania na mnie presji, odczuwam niepokój na widok mrocznej zaborczości, która w nich płonie.

Will też ją dostrzega. Wypuszcza moją rękę i chwiejnym krokiem rzuca się w stronę Cassiana.

- Ona nie jest twoją własnością - mamrocze ponurym tonem.

Wtedy Cassian zauważa to, co ja odkryłam już wcześniej. Purpurową krew spływającą po twarzy Willa, kapiącą jak atrament z pióra. Widzi. Rozumie. Wstrzymuję oddech w nadziei, że nie zareaguje...

Cassian z dzikim rykiem przypuszcza atak na Willa. W samą porę wskakuję pomiędzy nich, przyciskam dłonie do ich piersi i czuję pod palcami dzikie bicie obydwu serc.

- Przestańcie! Obydwaj! Dość tego, Cassian! Nie! Will chwyta moją dłoń, mocno przyciska ją do serca i uważnie na mnie patrzy. Mrugam i odwracam wzrok od jego zakrwawionej twarzy. Nie potrafię spoglądać na tę krew... ten purpurowy dowód życia, które skradł dla niego ojciec.

W gardle Cassiana narasta dudniący pomruk. Unoszę ostrzegawczo palec, tak jakby to wystarczyło, by go powstrzymać od rozerwania Willa na strzępy. I wtedy słyszę, jak ktoś nas woła. Mnie i Willa. Schodzący z góry są coraz bliżej.

Will patrzy w stronę, z której słycać nawoływania. Jest wyraźnie poruszony.

- Czy widzieli cię w tej postaci? - Spogląda na mnie swym zdrowym okiem, które jasno się szkli. - Czy widział cię Xander?

- Oczywiście! - syczy Tamra. Jej twarz jest nienaturalnie blada. - Przemieniła się, by cię ratować!

Will nadal na mnie patrzy, oczekując potwierdzenia. Kiwam głową raz, nerwowo, ze zboląłą miną. Cały zapada się w sobie, ulatuje z niego duch walki. Opuszcza głowę i przeczesuje dłońmi włosy.

-Jacindo... - mówi cicho smutnym i załamany głosem. Nareszcie rozumie.

Zginę, jeśli zostanę. Teraz oboje wiemy, że nie mam wyboru. Muszę uciekać.

Odgłosy kroków słycać coraz bliżej. Szybki tupot. Odsuwam się od Willa i podchodzę do Cassiana.

- Jacinda - głos Willa jest teraz zdławiony, przeładowany emocjami. Wygląda, jakby był gotów odbić mnie z rąk dragona. I jakaś część mnie tego pragnie, wbrew wszystkiemu marzy o tym.

Przesyłam mu wymowne spojrzenie, wyrażając to, czego nie śmiem wypowiedzieć w obecności Cassiana. Kocham cię. Mimo że nie powinnam. Mimo że przy życiu utrzymuje cię skradziona krew dragońska.

Cassian nie może się o tym uczuciu dowiedzieć. Zabiłby go za to. Już i tak jest bliski zamordowania go.

Will rozumie moje przesłanie. Widzę to w jego oczach. I w jego bólu. Takim samym, jaki odczuwam ja.

Intensywnie patrząc w jego oczy, potrząsam głową, przepraszam za zaprzepaszczenie naszej szansy. Szansy, której być może nigdy nie mieliśmy. Jednak za ocalenie go nie przepraszam. Zrobiłabym to znowu, bez względu na cenę.

Zostawiam Cassiana. Nie przejmuję się tym, że mnie obserwuje. Podchodzę szybko do Willa i tuż przy jego ustach mówię w moim języku „kocham cię”. Bardzo chcę go pocałować, przycisnąć me rozpalone wargi do jego ust, lecz nie śmiem tego zrobić.

Will nieruchomieje, na zakrwawionej twarzy maluje się ból. Chwyta mnie i przytula.

-To nie koniec, Jacindo. Jeszcze nie wszystko między nami skończone. - Jego oczy się iskrzą, ponuro migoczą. - Odnajdę cię. Na pewno. Znowu będziemy razem.

- Uciekajmy!- krzyczy Tamra.

Oczy mnie bołą, pieką. Chociaż to niepojęte, chcę być do końca szczerą. A nie powinnam. Bo to nierealne. On nie może ruszyć moim śladem. Zginie, jeśli to zrobi.

Zaprzeczam ruchem głowy, ale w tym geście brakuje siły przekonywania.

Palce Willa głębiej wbijają się w wyostrzone kontury moich policzków.

- Nigdy w to nie wątp. Odnajdę cię.

-Jacinda! - warczy Cassian. - Oni zaraz tu będą!

Odrywam się od Willa. W klatce piersiowej czuję tak głęboki ból i ucisk, że płuca nie są w stanie oddychać. Dłonie Willa zsuwają się z mojej twarzy.

Cassian już jest w powietrzu, krąży nade mną, trzymając w ramionach Tamrę.

Patrzę na Willa możliwie jak najdłużej, nie odrywamy od siebie wzroku, gdy tymczasem rozwijam skrzydła, odbijam się od ziemi i wznoszę w rzadkim powietrzu. Nadal spoglądam w dół, wypatruję go, aż zamienia się w ledwie widoczny punkcik. Aż zupełnie znika mi z oczu.

Po kilku kilometrach na znak Cassiana obniżamy lot i lądujemy przy samochodzie zaparkowanym przy jakiejś zapomnianej szosie.

W okamgnieniu Cassian przybiera ludzką postać.

Usiłuję zrobić to samo, podpierając się ręką o maskę samochodu. Zajmuje mi to więcej czasu, bo jestem zbyt zdenerwowana. Roztrzęsiona. Zamykam oczy i koncentruję się. Widzę siebie jako człowieka. W końcu czuję, jak moje skrzydła zwijają się i chowają w plecach. Ich ucisk sprawia, że dyszę z wysiłku.

Żar w moim wnętrzu wygasa i wreszcie otwieram oczy, by napotkać piorunujący wzrok Tamry.

-Jak mogłaś? - Moja siostra trzęsie się, jest tak blada, jakby miała za chwilę zemdleć. Nigdy nie widziałam

jej w takim stanie i serce przeszywa mi poczucie winy. Z powodu wszystkiego, na co ją naraziłam...

- Wsiadać! Obydwie! - dudni Cassian, otwiera drzwi i wyjmuję kluczyki, które ukrył za osłoną przeciwsłoneczną.

Tamra sadowi się na tylnym siedzeniu.

Nawet nie drgnę. Nadal stoję w pobliżu drzwi kierowcy, trzęsę się pod osłoną pustynnej nocy. Nie mam ubrań, które porwane gdzieś pogubiłam.

Cassian wkłada wielką dłonią kluczyki do stacyjki. Patrzy na mnie.

-Jacinda. - Mówi takim tonem, jakby poganiał dziecko. Nienawidzę go. Naprawdę nienawidzę. -

Wsiadaj do samochodu. Jedziemy.

- Zrobiłeś to! Złamałeś obietnicę! Przewraca oczami.

- Nieumyślnie. A czy cieszę się, że zburzyłem twój romansik z tym mordercą? - Kiwa zamaszycie głową, przybrawszy surowy wyraz twarzy. - Tak. Cieszę się. Nie masz pojęcia, jak bardzo.

- Will nie jest mordercą. - W głębi serca to wiem, bo go znam.

- Mordercą? - woła Tamra z tylnego siedzenia, jej głos ma ostrą, piskliwą barwę. - O czym wy mówicie?

- To rzeźnik - oznajmia Cassian.

Mam ochotę go uderzyć. Zranić. Po mojemu. W płucach narasta mi fala żaru. W obawie, że mogłabym to naprawdę zrobić, odsuwam się od samochodu.

Jego oczy iskrzą purpurą, źrenice zwężają się w szpary.

-Wsiadaj do samochodu. Nie możesz tu zostać. Nie po tym, co się dzisiaj stało.

Dławię w sobie płomień. Kiwam głową. Nie mam wyboru, dokonano go za mnie.

- Wiem. - Obchodząc z przodu samochód, mówię pod nosem. - Pośpiesz się. Musimy zabrać mamę.
- Dlaczego?

Zatrzymuję się, przez okurzoną przednią szybę posyłam jego cieniowi gniewne spojrzenie i dopiero potem wsiadam do samochodu.

- Oni mogą ją zabić za powiązanie ze mną.

- Kto? Xander? - odzywa się z tyłu Tamra. - Dlaczego mieliby zabić mamę? Tylko dlatego, że on widział przemianę Jacindy? On przecież nawet nie wie i nie rozumie, co widział.

Cassian ignoruje konsternację mojej siostry. Jestem mu za to wdzięczna. To nie czas na tłumaczenie jej, czym zajmuje się Will i jego rodzina.

- Niepokoję się tylko o ciebie - odpowiada Cassian zrównoważonym tonem. - Zależy mi na tym, by zabrać cię do domu. Tamra też jest tam mile widziana...

- Dzięki, łaskawco... - mruży pod nosem moja siostra.

- Ale to twoja matka zabrała cię ze stada. Nie ucieszą się na jej widok.

- Albo zabierzesz moją matkę, albo ja nigdzie nie jadę - grożę, zaciskając pięści.

- Dobrze, ale oni ciepło jej nie przyjmą... a ona nawet nie chce już należeć do stada - przypomina rzeczowo Cassian. Tak jakbym przypadkiem zapomniała o tym fakcie.

- Ja też nie chcę. - Tamra uderza pięścią w fotel Cassiana.

Na chwilę Cassian przenosi uwagę na nią. Wyraz jego twarzy jest nieodgadniony. Teraz w niczym nie przypomina chłopaka, który rozmawiał ze mną w domu przy basenie. Nie ma w nim ani śladu tamtej łagodności, którą wtedy dojrzałam. Ten Cassian nie wygląda jak ktoś, kto ma serce.

Otwieram usta, chcąc przypuścić na niego słowny atak. Zamierzam nalegać, by moja matka i siostra mogły dokonać wyboru i pojechać ze mną. To moja matka. I moja siostra. Powinniśmy trzymać się razem.

Nic nie mówię, bo po prostu nie wiem, co powiedzieć. Trudna prawda mnie powala. Od jakiegoś czasu żyłam, nie myśląc o nich, nie przejmując się nimi. Może nie zasługuję na nie.

Muszą się dowiedzieć, co się stało. O wszystkim. Nareszcie poznać całą prawdę. Odwracam się do Tamry.

- Niezależnie od tego, czy ty i mama chcecie jechać ze mną, czy nie, nie możecie już tutaj zostać. Nie teraz, gdy się zdemaskowałam.

Wlepia we mnie wzrok, jej ziemista bladość zaczyna mnie poważnie niepokoić.

- No cóż, ten świat nie jest idealny dla ciebie. Dostałaś to, czego od początku chciałaś.

Opuściwszy Willa? Niezupełnie.

- Nie roztrząsajmy tego. Sytuacja jest taka, że wy też musicie uciekać - stwierdzam ponuro. Z mojego powodu. To, co zrobiłam, nie pozostawia w tej sprawie cienia wątpliwości. Jedyna kwestia, jaka pozostaje, to ta, czy później mnie za to znienawidzą? Czy zostawią mnie Cassia-nowi i stadu, a same gdzie indziej wśród ludzi rozpoczną wszystko od nowa?

Czy mama będzie wciąż na nowo poświęcać dla mnie życie swoje i Tamry? Nie oczekuję tego od nich. I nie wezmę im za złe, jeżeli beze mnie uciekną w przeciwnym kierunku.

Dziś wieczorem straciłam wolność. Straciłam Willa. Czy stracę również mamę i siostrę?

Cassian zawraca samochód i rusza w kierunku miasta. Wpatruję się w mrok za oknem, wspominając okropną

podróż miesiąc temu, gdy opuszczaliśmy stado. Byłam tak pełna obaw, tak niechętna.

Teraz jest tak samo. Siedzę w samochodzie i znów jadę na spotkanie niechcianej przyszłości. Gryzę się tym, że muszę uciekać z Cassianem, i zastanawiam się, czy kiedykolwiek uda mi się wrócić do Willa. Bo wbrew temu, co powiedział, nie sądzę, że mnie odnajdzie.

- Za twoje dzisiejsze wyczyny czeka cię sąd - mówi Cassian, gdy na oślepe pędzimy przez noc.

Nie jestem zaskoczona. Sąd. Za wyjawienie największej tajemnicy mojego gatunku. A przede wszystkim za ucieczkę. I za Willa. Tak, za Willa.

Powoli zerkam na Cassiana. Jadący z przeciwka samochód oblewa go jaskrawym światłem. Na jego twarzy maluje się zaciętość. Przewyciężam blokadę w krtani.

-Będę próbował cię ochronić... - jego głos zawisa w powietrzu jak gęsty dym.

- Nie pozwól, żeby podcięli mi skrzydła - błagam. Ponurym spojrzeniem omiata moją twarz i na chwilę

łagodnieje.

- Spróbuję, Jacindo. Spróbuję.

Kiepska gwarancja. Nierówno oddycham i znów wlepiam wzrok w ciemność. Rzucam okiem przez ramię. Za nami drzemie wielka bryła Big Rock.

W ciemnościach rozlega się jakiś dźwięk, który przebija się przez niski warkot silnika. Niespokojny, rozpaczliwy i bezustanny krzyk ptaka przeszywa mnie dreszczem. Zagubiona dusza. Will mówił, że to przepiór czubaty. Szuka partnera. Rodziny. Domu.

To bratnia dusza. Słyszając ten żaloszny głos, zamykam oczy i opieram głowę o fotel. Wkrótce dotrzemy na miejsce.

PODZIĘKOWANIA

Nigdy nie zabrałabym się do kreowania świata dragonów, gdyby nie wsparcie i entuzjazm mojej agentki Maury Kye-Caselli, która ani na chwilę nie zwątpiła we mnie, gdy oznajmiłam, że chciałabym pisać powieści dla młodych czytelników. Twój entuzjazm w tym względzie rzucił na kolana wszystkich w HarperTeen. Farrin Jacobs i Kari Sutherland - obydwie jesteście cudowne! Dzięki Waszym spostrzeżeniom tak wiele dowiedziałam się o swoim pisarstwie. Gdyby nie Wy, życie Jacindy nie stałoby się aż tak trudne i skomplikowane.

Mam szczęście być otoczona rodziną i przyjaciółmi, którzy rozumieją moje wytrwałe dążenia. Rozumiecie obraną przeze mnie drogę, docenicie wysiłki i świętujecie ze mną sukcesy. Największy wkład w to ma Jared. Kochanie, dziękuję Ci za to, że wsiadłeś ze mną do tej diabelskiej kolejki. Wdzięczna jestem też księciu i księżniczce z mojego pałacu... bez Was te strony nie stałyby się tym, czym są. Obydwoje sprawiacie, że wszystko nabiera sensu.

Pozdrawiam i dziękuję moim cudownym rodzicom, Eugene i Marilyn Michelsom, za to, że zawsze dostrze-

galiście we mnie najlepsze strony. Na wyrazy wdzięczności zasługuje również moja wspaniała przyjaciółka i utalentowana pisarka Tera Lynn Childs: Ty chyba wiedziałaś, że niesie mnie w tym kierunku, zanim ja sama zdałam sobie z tego sprawę. Dziękuję Ci za niezliczone godziny spędzone na rozmowach o książkach, życiu i całej jego otocze. Carlye, Lindsay, Jane, Lark i Ginny - co ja bym bez Was zrobiła? Moje życie nie miałoby tyle smaku, gdyby nie wsparcie, miłość i śmiech, jakimi mnie obdarzacie.